

egz. dost. sygn. 112 123 *AT. 395.*

W SPRAWIE PISOWNI

ODPOWIEDŹ

PANU H. CEGIELSKIEMU

filozofji Doktorowi

NA JEGO BROSZURĘ POD TYTUŁEM:

„O PISOWNI PANA L. RZEPECKIEGO
I TOWARZYSZÓW“

NAPISÁŁ

SZCZĘSNY.

[*Hardenberg* *Feliks*]



BIBLIOTEKA

rodzinna

CHRZANOWSKICH

z UNII pod Wrześnią
woj. poznańskiego.

Liczba porządkowa:

Cena 10 sgr.

Dział:

POZNAŃ.

Wydawcy:

W KOMISIE KSIĘGARNI M. LEITGEBRA.

1868.

BIBLIOTEKA UNIW. W POZNANIU



H
112123

Zygmunt Chrzanowski

Oddział

Je

Nr.

120

Z. CHRZANOWSKI



egz. dost. sygn. 112 123 II
395.

W SPRAWIE PISOWNI

ODPOWIEDŹ

PANU H. CEGIELSKIEMU

filozofji Doktorowi

NA JEGO BROSZURĘ POD TYTUŁEM:

„O PISOWNI PANA L. RZEPECKIEGO
I TOWARZYSZÓW“

NAPISÁŁ

SZCZĘSNY.

[Hardenberg]

Feliks
BIBLIOTEKA



rodzinna

CHRZANOWSKICH

z UNII pod Wrześnią
woj. poznańska.

Liczba porządkowa:

Cena 10 sgr.

Dział

POZNAŃ.

Wydawcy:

W KOMISIE KSIĘGARNI M. LEITGEBRA.

1868.

W SPRAWIE PIŚMOWNI

ODPOWIEDŹ

PANU H. CIEGIELSKIEMU

Wrocław, 1905

NA JEGO PROSZENIE POD TYTUŁEM:

1121237
"O PIŚMOWNI PANI L. RZEPICKIEJ"

"I TOWARZYSTW"

Uwaga.

S powodu, że sám autor nie prowadził korekty, wkradły się niektóre usterki, które baczny czytelnik sám z łatwością poprawi. Mianowicie na str. 53 w. 13 od g. czytać należy *w* za *s*, w. 5 od d. *s* za *w*; na str. 54 w. 15 i połowę 16go opuścić.



1950 D 3066

POZNAN

W KRAJOWEJ BIBLIOTECZNI I KRAJOWYM ARCHIWUM

1868

„Pan Hipolit Cegielski, filozofii doktor, znany zaszczytnie jako obywatel pełen zasług na polu pracy społecznej, jako jeden z filarów Towarzystwa Przyjaciół Nauk i Pomocy Naukowej, jako prezes Centralnego Towarzystwa agronomicznego, wreszcie jako właściciel fabryki najpierwszej w Księstwie naszym, podaje nam przyczynek ważny do zasad pisowni, którą w ostatnich czasach zmienić usiłowano.“ — Temi słowy zaleca fejletonista Dziennika Poznańskiego w Nrze 59 r. b. zaraz na wstępie swój recenzji broszurę Dr. Cegielskiego: „O pisowni p. L. Rzepeckiego i Towarzyszów, napisał H. C. filozofii doktor.“

Czy jistotnie tak ważnym przyczynkiem do rozświecenia i ustalenia zasad pisowni jest broszura Dra Cegielskiego: o tym wątpić wolno i można, ba, wątpić należy i trzeba.

Jakże można winszować, że przyczynił się do rozświecenia zasad pisowni, autorowi, który nawet nie zna dokładnie zasad swych przeciwników? który, o jile je zna, nie może jim odmówić prawdziwości choć względnej, a mimo to przeciw nim daremny w obec logiki protest zanosí, choć się sili na wyidealizowanie swych pobudek do oporu na jak najszlachetniejsze? Który, co najgorszą, miasto bić przeciw zasadom przeciwników, niegodne przeciw jich osobom wycieczki czyni, może w tej nadziei, że jak odrze ze czci osoby propagatorów pisowni, najsukuteczniej zapobieży i szerzeniu się jich zasad, bo i te przez to samo zdyskredytuje?

Dr. Cegielski tak Dr. Rzepeckiemu jak ks. Malinowskiemu, którego i wręcz i pośrednio zaczepia ciągle, utrudnił dyskusyją, sprowadzając spór naukowy na poziom sprzeczki i obelg: boć i nie łącno i nie bardzo miło mówić pro domo sua. Pozwoli

więc, że jeden s „Towarzyszów“ na polu grammatycznym zapisa-
ny wraz z Drem Rzepeckim pod jeden znak tegoż badacza, ks. Ma-
linowskiego, podejmie z nim rozprawę. Czynię to tym chętniej, róz
że dopełniam przez to chrześcijańskiej przysługi względem poni-
żonych tak niesprawiedliwie przez Dra Cegielskiego mężów; a po-
tym i dla tego téż, żeby się Dr. Cegielski przekonał, iż, choć
swym „nieco ostrzejszym piórem“ chciał wykluć i wymieść „To-
warzyszów,“ i nie wykluć i nie wymiółł jich do czysta z areny.

Wszystko co Dr. Cegielski powiedział w swój broszurze,
w trzy zbijemy kategoryje. Pierwszą obejmie wszystkie autora
sądy doraźne, nie tylko apodyktycznie, lecz impertynencko wypo-
wiedziane; oskarżenia fałszywe, insynuacje niegodne, dowcipy
takóž cięte, ale bodaj czy stósowne w broszurze naukowej.
Drugą, patryjotyczne pobudki, dla których rzeczą má być nie
dobrą, ba zgubną, wprowadzać ks. Malinowskiego zmiany w piso-
wni; trzecią, dowody nieświadomości autora co do zásád jego
przeciwników, i argumenta jego rzekomo naukowe przeciw wszyst-
kim z osobna prawidłóm téj pisowni.

I.

Że przeciw pisowni ks. Malinowskiego (tak ją zawsze zwać
będziemy, gdyż Dra Cegielskiego nazwanie jój mianem Dra Rze-
peckiego zgoła nie uzasadnione), w ogóle ktoś wystąpił, mogło
być dla nás tylko pożądaną. Bo czegoż bardziej lękają się
autorowie, jak milczenia krytyki, jak pogrzebaniá w niepamięci,
jak strasznego dekretu z rozmysłem ferowanego w koteryjach
i partyjach, mianowicie u Niemców, że jakieś dzieło skázane na
wieczne o nim milczenie, a przez to na zabicie, co technicznie
tam wyrażają przez *totdgeschwiegen*?

Że właśnie Dr. Cegielski przeciw niej wystąpił, to mogło chyba
jeszcze więcéj uradować kázdego jój zwolennika. Bo jim silniejszy
przeciwnik, tym prędzej i snadniej wypróbuje się wartość doktryny,
a więc tym prędszą śmierć jój lub zwycięstwo; a że nie bez wiel-
kiej wartości naukowej będzie polemika Dra Cegielskiego, autora
rozprawy „*O słowie Polskiem*,“ któž mógł o tym wątpić?

Niestety! już sprawozdanie fejletonisty Dziennikowe-
go rozwiáło illuzyje; bo jakże spodziewać się téj wielkiej wár-
tości, kiedy wedle niego „sám P. Cegielski oświádczá, że prawa
do wystąpienia w szranki nie może wpráwdzie czerpać z głębo-
kiego i obszernego znáwstwa rzeczy gramatycznych, gdyż s te-

go polá zeszedł był już temu lát przeszło dwadzieścia, że chwyta za pióro głównie dla tego, ponieważ dotąd z ludzi powołanych i fachowych nikt się ządania tego nie podjął“. (Dz. Nr. 51 Brosz. str. 6.)

Ale przynajmniej bez jakiegóś wartości nie będzie broszura, pomyśleli wtedy sobie zapewne zwolennicy Ks. Malinowskiego pisowni, czytając to wyznanie Dra Cegielskiego. — Dr C., jeżeli nie jest fachowym lingwistą, będzie zapewne światłym amatorem. — Niestety! i tu rozwiły się we mgłę nadzieje, bo zaprawdę, nie „wykazał on ze stanowiska naukowego, że zmiany przez Ks. Malinowskiego wprowadzone nie mają naukowej podstawy“, jakto fejletonista chce wmówić w czytelnika.

Cóż dopiero, gdy kto po fejletonie Dziennikowym, który można by nazwać *uszlachetnioną broszurą* Dra Cegielskiego, wziął samoż pismo to do ręki! Wszystko: i ton rozprawy, w jakim przemawia, i argumenta, dają się chyba wytłómaczyć tym, iż jak Dr. Cegielski sám wyznaje, „prawo do wystąpienia w szranki czerpie s tego poczucia, że z ówczesnego rozbicia przed dwudziestu laty wyniósł i zachował jeszcze dość jasny i nieuprzedzony sąd o rzeczy.“ Po takim wyznaniu, jasną nám rzeczą, iż polemika jego skązaną była na to, by się rządzić poczuciami i uczuciami, sympatyją i antypatyją, uprzedzeniem wygórwanie pochlebnym o sobie i swym sądzie, o przeciwnikach zaś i jich nauce i jich przymiotach naukowych i jich opiniach oczywiście jak najnieprzychylniejszym.

Niechby to wszystko ostatecznie było już pobudką do broszury Dra Cegielskiego; ale żeby tego nie był wypowiedział przynajmniej tak szorstko i impertynencko na każdój karcie! W polemice niechajże każdy choć siebie uszanuje, niech sobie samemu nie ubliża sposobem i tonem niegodnym rozprów naukowych!

Dr Cegielski mógł bardzo dobrze zbijać zasady gramatyczne Ks. Malinowskiego, nie uwłócząc jego osobie, nie wdając się w sądy doraźne i o przymiotach jego i o nauce; mógł nie pytać się kto powiedział, lecz co powiedział.

W swym wygórowanym „poczuciu, że má sąd trzeźwy,“ poważa się Dr Cegielski odsadzić i od wielkich przymiotów uczonego i od głębokiej nauki — męża, który całe życie, odmiennie

od wszystkich prawie Polaków, co się rozrzucają na wszystkie życia i wiedzy kierunki, poświęcił zgłębianiu jednej umiejętności, i nie poprzestaje i dziś jeszcze badać, choć tylko przez lupę czytać może; — porywają się do sądzenia ten, który zeszedłszy s polą tej umiejętności lat przeszło temu 20, nie może dziś wcale mieć w ręku kryterjum do sądzenia go sprawiedliwie! „Jeżeli, mówi on — sąd o jego naukowych pracach tworzyć sobie mam z jednostronności zapatrywań i z żagorzałości w propagowaniu pisowni jego a pochylonego i t. p., oraz s pobłażania i potakiwania tej propagandzie, jaką się w jimię jego odbywają, to z żalem wyznać mi przychodzi, że obok wysokiego i szczerzego szacunku, jaki wyznają dla rzadkiej w położeniu jego (zapewne nie jeno u księży, lecz i u świeckich u nas bardzo rzadkiej) miłości do nauki, a z rzadszej jeszcze pracowitości, nie mogę a priori lub na zaręczenie p. Rzepeckiego przyznać mu tych właśnie wielkich przymiotów, jakich się po mężach głębokiej i na szerokich podstawach opartej nauki domagać mamy prawo.“

Na pierwszy rzut oka zdawałoby się mogło, że nie koniecznie odmawia Dr. Cegielski nauki ks. Malinowskiemu, boć mówi tylko o przymiotach uczonego, ależ czym filozof bez przymiotów filozofa, czym poeta bez przymiotów poety, czym wół bez przymiotów wołu, czym stół bez przymiotów stołu? Czym więc uczony bez przymiotów uczonego? Chybać ani uczonym, ani nieukiem, czymś nijakim, choćby sobie i może tam jeszcze komuś bez „trzeźwego i nieuprzedzonego sądu“, wydawać się mógł uczonym.

Dla czego zaś odmawia Dr. Cegielski przymiotów wielkich uczonego ks. Malinowskiemu, to jistotnie dziwaczne. W obec tego kryterjum Dra Cegielskiego nie ostałaby się żadna wielkość na świecie. Taki Kolumb, Kopernik, Newton, Galileusz, wynalazca kolei żelaznych, Watt, czy kto jinny — to wszystko mierne dusze. Każdy genjusz, mierzony piędzią Dra Cegielskiego, na karła wychodzi: bo któryż nie był z nich jednostronnie o prawdzie swój uprzedzony? któryż nie gorzał chęcią przelania jej w masy? i któryż naganiał jinnym jej propagandę? Wedle opiniji Dra Cegielskiego, ten kto prawdę odkrył, powinien ją zamknąć w sobie, powinien światło pod korzec chować. Ale czyż prawda nie dla wszystkich przeznaczoną, nie należy się wszystkim?

Dr. Cegielski tak jak masy na pół wykształconych, a choć wykształconych jistotnie, to nie troszczących się nigdy o grama-

tykę, sądzi o ks. Malinowskim s formy, którą go razi, nie s treści, nie z jistoty rzeczy. O treści, jak się później przekonamy, ledwie coś przez pół wie, i to jeszcze nie dobrze, autor rozprawy: „o *Słowie polskiem*.”

Wielkię niesprawiedliwości dopuszczają się Dr. Cegielski, że odmawia ks. Malinowskiego pracom wartości wszelkiej, kiedy jich wcale nie przyjmuje za dowody jego nauki. Gdyby je bowiem za dowody uważał, jakżeby mógł napisać, że „a priori lub na zaręczenie p. Rzepeckiego nie może mu przyznać wielkich przymiotów uczonego”? Bodaj czy i tu nie prawdzi się stare przysłowie już przez Chrystusa Pana przytoczone: „nikt prorokiem w domu i ojczyźnie.” Bo wszak po za granicami Księstwa sława ks. Malinowskiego już ustalona. Nasi nájznakomitsi obecni gramatycy, jak prof. Antoni Małeckie, który o jile wiem, sám go prosił o krytykę swęj gramatyki, wysoko ceniąc naukę jego; prof. Henryk Suchecki, który w Oświacie nazwał się jego przyjacielem; znakomity lingwista Ján Papłóński, który go w jimieniu Margr. Wielopolskiego powoływał na katedrę uniwersytetu warszawskiego: ks. Márcin Hattala, uczony Czech, zapewnie nie podpiszą wyroku Dra. Cegielskiego, który „już temu 20 lát zeszedł s polá umiejętności,” a wyrokuje „w poczuciu, że má sąd trzeźwy i nieuprzedzony.” —

Taki niezaprzeczenie znakomity historyk literatury, a surowy krytyk, jak Juliján Bartoszewicz, nie uważał prac naukowych ks. Malinowskiego za niebyłe, za niedowody umiejętności, jak to dziś uczynił Dr. Cegielski. W swęj historyji literatury na str. 641. pisze on: „W Poznańskiem jest znakomity filolog (raczej lingwista) ksiądz Xawery Malinowski, proboszcz w Komornikach. Ten uczony, naturę mowy polskiej bada inaczej jak wszyscy, bada ją albowiem w porównywaniu z innemi narzeczeniami słowiańskimi, które w tym celu poznał bliżej. Ta porównawcza filologia słowiańska, która gdzieindziej po za granicami Polski, jak np. w Czechach i Rossji, znakomite zrobiła postępy, u nas prawie zapomniana; jeden ks. Malinowski godnie ją podnosi.” — Albo czy snąc p. Bartoszewicz o ks. Malinowskim sądził a priori? lub na czyje zaręczenie?

Gdyby Dr. Cegielski już dlá tego samego, że jest „jednym s filarów Towarzystwa Przyjaciół Nauk”, był się obeznął dokładniej, aniżeli to uczynił, z rozprawami ks. Malinowskiego, drukowanymi w dwóch piérwszych tomach Roczników tegoż Towarzystwa; byłby się mógł dowodnie o nim przekonać: że

má gruntowną (jeżeli mu już chce odmówić głębokiej) i obszerną naukę; że stoi na stanowisku lingwisty najwyższym może u nas.

Prof. Henryk Suchecki w VII., VIII. zeszyte Oświaty, w rozprawie: „Jaką metodą dochodzić prawd w języku“ — określa to nowo zdobyte na polu umiejętności języka a wysokie stanowisko, przeciw któremu Ján Dieszkiewicz daremny ostatni protest zanosi w swęj krytyce (str. 5.) gramatyki prof. Małeckiego. Mówi na str. 396. prof. Suchecki: „Metodą umiejętną, którą wydobywać można prawdy językowe, jest historyczno-porównawcza czyli historyczna i doświadczalna; tamta opiera się na świadectwach bądź żywych w uściech narodu i ludu, bądź martwych t. j. pismem podawanych od najdawniejszych czasów; ta wyprowadza wnioski z porównań wszech odcieni językowych i wszech języków pobratymczych, pokrewnych, powinowatych i kolébkowych nawet, na podstawach fizylogiji mowy ludzkiej, praw głoskowych każdego języka i zasad mowy ludzkiej w ogólności; czyli gramatyki powszechnęj i filozoficznęj.“ Czyż na tym stanowisku wzniosłym nie stoi w swych badaniach ks. Malinowski? czyż nie widoczne ono z jego prac, zamieszczonych w Rocznikach? A przecież tak w krytyce grammatyk polskich, jak w uwagach krytycznych do wniosków Deputacyji Towarzystwa Przyjaciół Nauk warszawskiego dokumentuje: znajomość języków pobratymczych słowiańskich, i macierzy wszystkich tych nárzeczy, języka starosłowiańskiego; znajomość języków pokrewnych i powinowatych, nie tylko greckiego i łacińskiego i z nich wyrosłych nowogreckiego i romańskich, lecz gockiego i z niego pochodzących giermańskich, a przedewszystkim litewskiego, który łącznikiem jest języka słowiańskiego ze starym prarodzicem języków jafeckich, indoeuropejskich; znajomość nareszcie i tego „kolébkowego“ Sanskrytu i Zendu, nadto znajomość fizylogiji mowy ludzkiej większą, aniżeli dotąd któryby z grammatyków okazał; znajomość praw głosowych w ojczystym języku, praw nieraz wielce odmiennych od praw jinnych języków, co wielokroć z wielkim przyciskiem przypomina.

Dostateczny, sędzę, w tym wszystkim dowód na nicość apodyktycznego sądu Dr. Cegielskiego o przymiotach i nauce ks. Malinowskiego, dostateczny dowód, że sąd ten spowodowany chyba uczuciem zemsty nad tym, który wykázawszy w Bibliotece Warszawskiej błędność *zasad Dobrowskiego* powtórzonych w rozprawie „O Słowie polskim,“ dowiedział się dziś nareszcie, dla czego Dr. Cegielski dotąd tak wymownie milczał.

Zagniewał się Dr. Cegielski przedewszystkim na Dra. Rzepeckiego. Przyczyna gniewu oczywiście ta, że on to pchnął sprawę pisowni ks. Malinowskiego s polą teoryji na pole praktyki w życie i w użycie. Więc na Dra. Rzepeckiego gromy spadną straszliwsze, ciosy dotkliwsze. Już tu Dr. Cegielski nie przebieirą w słowach, żeby go jak nájwięcej poniżyć, odrzć ze czci: odmawia mu nauki i posylą go po takową do prof. Małeckiego; przypisuje mu ślepotę i fanatyzm, bo przysięganie na słowa mistrza, a wyrzeczenie się własnego sądu; przypisuje rozmyślne korzystanie s tego, że dla władz szkolnych „jest język polski piątém kołem u woza,” przypisuje niecne wyzyskiwanie smutnego stąnu bezkrólewia u nás, ażeby bezkarnie szćrzyć pisownią w sferach niezdolnych sądu, pomiędzy nauczycielami elementarnymi; obwinia go, że nadużywá katedry nauczycielskiej, żeby pisownią swą uczniom szkoły realnej narzucić.

Ktoś ze starych mędrców powiedział, że *gniew jest małym szaleństwem*. Prawdzi się to na Dr. Cegielskim. Traci on przytomność, kiedy zacznie mówić o Dr. Rzepeckim.

Nie dosyć, że mu zaraz na karcie tytułowój ubliżá, odmawiając tytułu *doktora*, choć sám pod nazwiskiem swoim tytuł ten kładzie, (może, wedle uwážania Dra. Cegielskiego stracił Dr. Rzepecki doń prawo, nazwáwszy ráz w Oświacie nauczycieli elementarnych *kolegami*, tak jak ongi tracił szlachcie polski przywilej urodzenia, gdy się parál łokciem lub wagą i pospolitowál z mieszczany); nie dosyć, że aluzyje złośliwe czyni do jego urzędu nauczycielskiego w swych rwiących dowcipach, jak np. „o djáble przeklętym, onym wyjątku, którego nie mogąc p. Rzepecki zamknąć do kozy, wziął w parentezę;“ nie dosyć, że mu wszystkiego, co człowiekowi miłe i drogie, odmawia, i to we formie jak nájobraźliwszój; że wprost szczuje na nięgo: ale posuwá się on nawet aż do takiego pogardliwego wyrażenia: „czemuż to Niemcy nie mają takich Rzepeckich?“ —

Wszędzie tu mówi námiętność, rozum — milczy.

Lekkomyślnie nawet, nietylko niesprawiewliwie postąpił sobie Dr. Cegielski, że czynił zarzuty Dr. Rzepeckiemu nie starając się wpiérw sám przekonać o jich prawdziwości. Lecz to co mówi o Dr. Rzepeckim, że „nadużywá powági i charakteru urzędu swego,“ aby wstęp czynić pisowni ks. Malinowskiego po-

między uczniów, młodzież niedoroslą, zakrąwá po prostu na denuncyjacyją.

Otóż stanowczo temu mogę zaprzeczyć, i to na mocy zeszytów, które przeszły korektę Dra. Rzepeckiego, a które przegłądać w różnych okolicznościach i czasach mieliśmy sposobność. Nie widzieliśmy **ani jednego miejsca**, gdzieby Dr. Rzepecki sposoby pisania: pan, z panem, ich, moi, Azya, dobrém dzieckiem itd. za błędy przeciw pisowni poczytał. Dr. Rzepecki nie propaguje zatym pisowni ks. Malinowskiego, bo nie żąda, aby wedle jój zásád młodzież pisała. Powtárzamy tedy, że niepropaguje nowych zásád pisowni Dr. Rzepecki, choćby, ściśle rzecz biorąc, miał nawet z urzędu prawo za sobą: już bowiem dawniej, nie przez niego, i to za czasu, kiedy do kuratorjum szkoły należał Dr. Cegielski, zaprowadzono na podręczną książkę w niższych klasach realnej szkoły grammatykę prof. Sucheckiego, który co do jotacyji, jako téż co do pisania **ym** w Miejscowniku i Narzędniku l. p. przymiotników wszystkich rodzajów, zgádza się s ks. Malinowskim. Że mimo to Dr. Rzepecki nie żądał takiej pisowni: w tym jak nájoczywstszy dowód jego wielkiej ogłędności, a nie zacieklego zagorzałstwa.

Siérdzi się wielce Dr. Cegielski, że Dr. Rzepecki „propagandę swą pisowni ks. Malinowskiego roznosił w sfery niezdolne rzeczy, o które idzie, dobrze zrozumieć i ocenić, a obowiązane z powołania do praktykowania i uczenia tego, co uczy szkoła jako szkoła i co uznaje ogół národu.“

Nie wiem czy podobnie się oburzá przeciw prof. Małeckiemu, który odmiennie od wszystkich gramatyków i zwyczaju národowego káże pisać: móc, strzyc, biéc, przez **c** zamiast przez **dz**, męszczyzna przez **sz** zamiast **ź**, a który sprawę pisowni takóž w pedagogicznym piśmie wytoczył przed sąd publiczności. Jeżeli nie, widoczną będzie, że má „dwie miary i dwie wági“ na osądzenie jednej rzeczy, a to wedle „względu na osoby.“

Dr. Rzepecki takóž samo jak zapewne i prof. Małecki nie chciał, żeby nauczyciele elementarni wyrokowali o prawdziwości zásád pisowni. Tego nigdzie nie powiedział: więc to o nim Dr. Cegielski (że użyję ludowego, ale wcale trafnego wyrażenia,) zniewiećhał. Dr. Rzepecki nie „wysławiał wielokrotnie nauczycieli elementarnych zdolności do ocenienia (krytycznego) podobnych kwestyji i sporów grammatycznych; ale jakimże Dr. Cegielski zasię prawem może jim odmawiać „zdolności jich zrozumienia“? Może to jego mniemanie było mu pobudką, że tak pó-

żno przeciw „nowej pisowni“ wystąpił; że nie napisał téj broszury wpiérw, zanim się zasady ks. Malinowskiego rozszerzyły w sferach, któreby niezdolne były zrozumieć jego uczonych wywodów. Ale czyż sądzi, że daleko więcej znajdzie zdolności i do zrozumienia i do ocenienia krytycznie zasad pisowni wpośród całej masy czytelników Dziennika poznańskiego, o których skorumpowanie w takiej serdecznej był obawie (str. 4), jak tylko Dr. Rzepecki „rzucił jim gąrsć erudycji (trzeba ją było rozmieść na wsze wiatry), zapewne celem nakázania należytego poszanowania dla naukowej powągi“ (!!)? — Czy nauczyciele elementarni, albo téż czy cała masa na pół wykształconych więcej wynosi nauki gramatycznej ze szkół: to wielkie pytanie, jile że nawet w wyższych klasach gimnazyjów, z niewytłomaczonych powodów, grammatyka języka ojczystego w kąć zarzuconą, a przynajmniej była za czasów moich.

Dr. Rzepecki bynajmniej pod sąd nauczycieli podawać nie myślał zasad ks. Malinowskiego. Zamiar swój dostatecznie wyłuszczył w II. zeszyte Oświaty str. 65: „redakeyjá, mającá zamiar otwierać stánowi nauczycielskiemu nowe drogi pod względem pedagogicznym, i pod językowym stanąć śmiało powinna na wysokości najnowszych, a dotąd niezbitych badań językowych, i prawdy przez siebie nábytėj trwożliwie nie tłumić.“

Przeciwnie od Dr. Cegielskiego sądząc, „że nauczyciele nasi nie znajdują się w stanie niemowlęctwa umysłowego,“ mniemał: „jż chcieć zakrywać przed nimi prawdy zasadnicze języka naszego, jest to szkodzić ogólnemu postępowi národu, a nauczycielom ubliżać.“ (zeszyt II. str. 68.)

Zresztą wyraźnie się odgrądzá przeciw przypuszczeniu, jakoby życzył sobie, aby nauczyciele elementarni zaprowadzali te zmiany; więc nie przeczy nawet zasadzie Dr. Cegielskiego: jż nauczycieli „obowiązkiem jest pisać i uczyć tak, jak uczą seminarya, bo te uczą tak, jak powázne ciała (!) (corps législatif) edukacyjne mieć chcą.“

Dr. Rzepecki wypowiada swe przekonanie, że nauczyciele i nie powinni i nie mogą, choćby i chcieli, zaprowadzać zmian w pisowni.

„Co do rzeczy samėj — mówi on dalej na str. 64 — łatwo z jednéj strony dostrzédz, że odmiany nasze w kilka bardzo jasnych dają się ująć prawideł i nie wielkiego wymagają przewrotu; a potym nie mylim się pewnie, pokładając w większych kolegach naszych tyle zaufania, że będą umieli rozró-

źnić, już co się pisze i jak się pisze dla jich własnego objaśnienia, nie jest zarazem zdatnym do bezpośredniego zastosowania w szkole, a do tego ludowej.... Zaufanie to nasze nie będzie zawiedzionym tym pewniej, że wszystkie nasze książki szkolne pisane są dawniejszą pisownią; nie miałby więc nauczyciel nawet i wzorów do uczenia pisowni naszej.“

Żeby go nikt nie mógł niezrozumieć, dodaje jeszcze: „Mamy tu głównie na myśli sposoby pisania: *jich, jinny, dobrym dzieckiem, s tobą* itp.“ Oświadczając się już teraz za pisownią: papieżki, blizki, mężki, zamiast bliski etc., nie stawa z sobą w sprzeczności, boć popiera Wnioski Deputacyji, którą tak pisać polecała; radząc zaś pisać: *Azyja, Francyya*, (s przyciskiem na trzeciej od końca), ma za sobą powagę Felińskiego, którego Towarzystwo Przyjaciół Nauk upatrzyło sobie na siedzieg wniosków Deputacyji, — i nie wprowadzą też nic nowego, lecz przypominają tylko to, czegośmy się wszyscy z gramatyki Muczkowskiego (cf. str. 280) uczyli. —

Spodziewamy się po tym naszym prostym przedstawieniu rzeczy, że filippika Dr. Cegielskiego przeciw Dr. Rzepeckiemu o propagandę w sferach nauczycieli jest bez celu i znaczenia. —

Jakąż dopiero niesprawiedliwością pomówienie Dr. Rzepeckiego, że rozmyślnie korzysta s tego, „iż władze szkolne nie wezwą go do porządku za jego propagandę ortograficzną dla tego, że języka tego nie uznają, albo tenże jest dla nich piątém kołem u woza.“ Zwracając Dr. Cegielski nawet wprost do Dr. Rzepeckiego swą mowę temi słowy: „Cóżby powiedzieli Niemcy, coby powiedziały władze, cóżby powiedział sam p. Rzepecki, gdyby który z niemieckich nauczycieli przy szkole, przy której on sprawuje urząd publiczny, wystąpił w jakiej Oświacie z propagandą zreformowanej pisowni,“ — bardzo wyraźnie natracą i nasuwą to: że Dr. Rzepecki czyni źle, wiedząc, że źle czyni; że czyni sám to, coby u jinnych musiał, powinien potępić.

Że Dr. Cegielski jak najbłędniej, najfałszywiej i pojął i przedstawił propagandę ortograficzną Dr. Rzepeckiego, tośmy wykazali dostatecznie. Ale niechby było to wszystko prawdą, jak i co rozumiał o niej i powiedział: czyż godziło się atoli przypisywać Dr. Rzepeckiemu złą, wyraźnie złą wolą? czyż zapomniął Dr. Cegielski o zasadzie *de internis non judicat praetor* — „nie sądzicie, abyście nie byli sądzeni,“ „sąd Bogu zostawcie?“

Nie jestże tu już grzeszną lekkomyślność?

Dr. Cegielski bez ogródki powiada Dr. Rzepeckiemu, że „nie

stoi na stanowisku naukowego, spokojnego i wyrozumiałego badacza języka i praw jego, tylko raczej na stanowisku żagorzałego wyznawcy upatrzonej i adoptowanej teoryjki, a z ludźmi tego stanowiska nie ma podobno porozumienia.“ „Jedno tylko na tę chorobę fanatyzmu widzi dłań lekarstwo — gruntowną systematyczną i na szerokich podstawach wspierającą się i wznoszącą naukę.“ A jizby Dr. Rzepecki wiedział, gdzie téj nauki szukać, wskazuje mu łaskawie prof. Małeckiego, „ażeby się od niego przynajmniej sposobu traktowania rzeczy gramatycznych nauczyć raczył!“

Jeżeli Dr. Rzepecki, odpowiemy na to, jest żagorzałym zwolennikiem ks. Malinowskiego, to odwrotnie Dr. Cegielski jest również żagorzałym przeciwnikiem. Żagorzałym, bo zaślepionym namiętnością, gdyż ani poznać się starał dokładnie jego zasady, (jak to poniżej wykazemy), a mimo to gromy z wysokości „swego jasnego i nieuprzedzonego sądu“ nán ciská.

Jeżeli Dr. Cegielski nie miał „nadzieji przekonania i náwrócenia (sic) samegoż Dr. Rzepeckiego,“ na cóż było polemizować? Przyczyna przez Dr. Cegielskiego podaná, że napisał broszurę, „aby mu pokazać, że dotychczasowe milczenie ze strony wykształconej i myślącej publiczności (czy tylko czytelnicy Dziennika poznańskiego myśla — a nauczyciele n. p. nie?) nie jest dowodem cichego przyznawania mu słuszności, aby mu pokazać, że owszém tam znajduje silne i stanowcze potępienie“ — nám nie dosyć trafną się zdaje. Dla pokázania tego wszystkiego trzeba było powszechnie zarządzić głosowanie, a przynajmniej adres napisać i kazać go podpisywać wszystkim potępiającym pisownią ks. Malinowskiego. Byłby to wtedy przynajmniej rzetelnie powszechny objaw opiniji — czy rozsądnej, w to nám nie wchodzić: ale bez tego jakoż może wyrokować Dr. Cegielski, że pisownia ta „ogółowi wstętná?“ i jakoż żądać może, aby Dr. Rzepecki uszanował opiniją národu?“ Ale może zdanie Dr. Cegielskiego obstoi za opiniją národu!

Jeżeli zaś miał zamiár „te właśnie koła wykształcone opiniji powszechnéj w obstawianiu przy dotychczasowych zasadach pisowni utwierdzić, a może i niejednego z obalamuconych na łono tychże zasad przywrócić“ (kto może, niech zrozumie logikę Dr. Cegielskiego, wedle którego koła opiniji stanowczo potępiają pisownią ks. Malinowskiego i zasię umocnienia w dáwnych zasadach potrzebują, a nawet po części sprowadzać je trzeba na macierzyńskie łono dáwnych zasad): na cóż tedy nie walczy

przeciw mistrzowi raczej, aniżeli przeciw uczniowi, zwłaszcza że ten uczeń Dr. Rzepecki „przysiągł na słowa swego mistrza, i odwołując się ciągle do niego, do powagi jego większą niemal przywiezywać zdaje się wartość, aniżeli do własnego w tej mierze sądu; a w Oświacie zeszyt II. str. 65 jawnie oświadczył, iż odstąpi przyjętej pisowni każdej chwili, gdy w sferach naukowych jej twórca pokonanym będzie? Czy nie dla tego, że chociaż odmówił ks. Malinowskiemu „wielkich przymiotów“ uczonemu, a o sobie tak najiwnie rozgłosił, iż má „poczucie, że wyniósł z rozbicia sąd trzeźwy a nieuprzedzony o rzeczy,“ nie rábby się rozpięrać z odsądzonym od nauki, zwłaszcza gdy się „już 20 lat temu zeszło s polá umiejętności“ i nie má się „głębokiego i szerokiego znáwstwa rzeczy grammatycznych?“

Dr. Cegielski robi zarzut s tego, co nie zdrożne, lecz właściwe naturze ludzkiej: że „większą niemal zdaje się Dr. Rzepecki przywiezywać wartość do powagi swego mistrza, aniżeli do własnego w tej mierze sądu.“ Dalekożby w nauce postąpił uczeń, gdyby nie zawierzał nauczycielowi więcej, aniżeli sobie?

Że Dr. Rzepecki nie chłopcem, to rzeczy nie zmienia wcale. „Właściwą mu bystrością,“ (jaką Dr. Cegielski łaskawie mu przyznaje, oczywistá w niekonsekwencyji ze zarzutem choroby fanatyzmu), może niezawodnie Dr. Rzepecki osądzić, czy rozumowanie ks. Malinowskiego jest ściśle logiczne, czy wniosek (consequentia) wyciągniony prawidłowo; ale samychże danych argumentu scholastycznej propositio major et minor, nie może sprawdzać, jeżeli np. wzięte z języków tak jemu, jak wszystkim poniekąd polskim uczonym i nieuczonym nieznanym, z Sanskrytu, Zendu, Litewskiego. W studyjach lingwistycznych, dla których dziś tak szeroka podstawa przyjęta w metodzie porównawczej, jakoż podobną by mogło być rozsądzenie uczniowi, choć nim jest i doktor filozofiji, któremu „bystrość właściwa,“ kázala więcej swój sąd wáżyć, a raczej pomysły choćby najświeższe a priori stawione, aniżeli zdánia ugruntowane a posteriori samodzielnego badacza języka? Zározumiałość to pierwszy stopień do nieactwa, ale nie do uczoneści, ani mądrości.

S czego Dr. Rzepeckiemu zarzut czyni Dr. Cegielski, skąd pochop nawet bierze do poniżenia go bez miary, jábym się raczej budował.

Tak powszechną dziś stáwianie siebie samego na piedestalu, tak powszechną chorobą umysłową uwielbienie siebie samego, gdy „człowiek każdy, robák każdy woła: Já Bogiem!“ że serca jakoś

nie mamy potępić téj „choroby fanatyzmu“ czci i szacunku dla męża niezaprzeczenie „głębokiej i obszernej nauki.“ —

Dopóki téż dowodniej, aniżeli to uczynił teraz, nie wykáže Dr. Cegielski, że złego przewodnika sobie na polu lingwistyki obrął, kto jidzie za nauką ks. Malinowskiego; tak długo jest bez znaczenia i bez celu jego zbyt niegrzeczne odsyłanie Dr. Rzepeckiego po naukę do prof. Małeckiego.

Nie myślę uwłóczyć zasługom prof. Małeckiego bynajmniej. Więcej jako literat zasłynął dawniej; dziś i na polu ścisłej umiejętności języka sięgnął po laury i zwycięztwo odniósł nad wielu. Jako gramatyk má niezaprzeczone zasługi; najwięcej w tym dziale, gdzie umiejętnie opracował składnię polską, którą dotąd mieliśmy prawie jedynie w obrobieniu Muczkowskiego, a którą ten żywcem poniekąd, bo aż s przykładami na reguły wziął od Niemców — od Wursta i Beckera. Ależ w uwielbieniu swym niechájże się Dr. Cegielski miarkuje! Má i prof. Małecki swe niedostatki, co sám przyznaje (cf. Szkoła Z. II. str. 117), a wszystkich ta głównie przyczyna, że przysiągł na słowa „mistrza swego“, którym wyznaje Franciszka Miklosicza (cf. przed. do gr. więk.) a stąd niejedne pomysły tegoż błędne żywcem przeniósł do gramatyki języka ojczystego.

Przedewszystkim zaś niech Dr. Cegielski w tym nie upatruje powodów do uwielbienia, w czym mu raczej wytknąć náleżało wcale nieuzasadnioną wobec logiki uległość dla złych nawyknień i błędnego a ulubionego zwyczaju. Znakomici mężowie nieráz nieszczęście to mają, że w nich uwielbiają to, co raczej náganne. Szkodliwe to dla nich samych, że gdy kto obłęd wykryje, tracą od razu na sławie; szkodliwe téż dla ogółu, że i jinni wryją się w też błędy, „zakują w uprzedzenia i uwidzenia.“

Żeby Dr. Rzepecki miał posłuchać Dr. Cegielskiego wskazówki i odstąpić ks. Malinowskiego a pójść za prof. Małeckim, do tego nie widzę słusznej przyczyny. Bo w czym się nie zgadzają, (a zgadzają się w wielu téż rzeczach), tam prof. Małecki powołuje się na trzecią osobę, a więc na powagę, a więc na rezultata, których sprawdzić nie może, nie zdołając się wynieść na wyższe od mistrza swego stanowisko dla nieznajomości pierwotnych języków, jak Sanskrit, Litewski; kiedy ks. Malinowski powołuje się na wyniki własnych badań obszernych, ogromnych.

Odstępować powągi większej dla mniejszej, jakizby w tym był rozum? —

II.

Do Dr. Cegielskiego możnaby zastosować słowa Kraszewskiego, i to słuszniej nawet, aniżeli były one wypowiedziane do J. Bartoszewicza z okazji recenzyji Margiera Syrokomli: „p. J. B. miał zupełne prawo powiedzieć, co lepiej wie, lub inaczej myśli; uczoności mu nikt nie przeczy, ani swobody mówienia nie odejmie. Chybił p. J. B., że to zrobił wedle swego zwyczaju z dumą, z szyderstwem, z urąganiem, z dyktatorską absolutnością w rzeczypospolitej literackiej, gdzieśmy, chwała Bogu! równi wszyscy w obliczu papieru i atramentu.“

Na usprawiedliwienie swego tonu polemiki przytacza Dr. C., że względ na dobro narodu zagrożone „niewczesną i nieszczęsną propagandą,“ podał mu słowa tak twarde pod „nieco ostrzejsze pióro.“ Szkoda że tego poetycznie nie wyraził słowy Mickiewicza:

„Żrącą jest i palącą gorycz mojej mowy,
Gorycz wyssana z łez i krwi mój ojczyzny.“

Cóż wedle Dra Cegielskiego jest tak niebezpiecznego dla narodu w Dra Rzepeckiego propagandzie pisowni ks. Malinowskiego?

Oto: „Naród, rozdzielony od wieku prawie na trzy dzielnice, szczerlnie od siebie odgraniczone i pod różnemi wpływami kształcące i wyrabiające swój język, ma to nieszczęście, iż pod temi wpływami język jego w trzech różnych rozbiega się kierunkach, i nieznacznie coraz bardziej i widoczniej odbiega w tych kierunkach od wspólnego swego charakteru. Jeśli więc jeszcze każda dzielnica rozmyślnie, a zarazem lekkomyślnie będzie zaprowadzała zmiany, które się w lokalnych wyrabiają okolicznościach, to po niejakiem czasie zamiast jednej, pięknej i wykształconej mowy polskiej będziemy ich mieli trzy z trzema jeśli nie z trzydziestu pisowniami.“

„Ten to względ powinienby p. Rzepecki wziąć (wziąć) do serca i pod rozwagę, i jeżeli w ciągu tej rozprawki tu i owdzie nieco ostrzejszego użył pióra przeciw nauce jego, to uczyniłem to przejęty głęboko uczuciem obowiązku wykazania mu, jak niewczesna i nieszczęсна jest jego propaganda ortograficzna, i jaka za to spada na niego odpowiedzialność. Jeżeli p. Rzepecki nie szanuje powagi opinii narodu, to niechże przynajmniej szanuje — nieszczęście jego.“

Na to odpowiadamy:

Że wielokroć prawdziwie i na podziw narodów idealną miłość nasza ojczyzny przechodzi w idololatrię, w cześć idolów, bałwanów; że dla wielu nie Bóg, lecz ojczyzna in abstracto jest najwyższym ideałem w życiu dla serca i myśli; że na ołtarzu serc swoich naród postawiwszy, a zepchnąwszy i wypchnąwszy Boga, chyba go w posługę dla swego bałwana wprzódzby radzi, nadużywając religiji do celów polityki: — to złe już dokładnie ks. Ján Koźmian w Przeglądzie poznańskim opisał i dobitnie oznaczył mianem — bałwochwalstwa Ojczyzny. Że miłość Ojczyzny nie już silną, lecz przesiloną, może wyrodzić chorobliwy stan duszy, może zwichnąć jeżeli już nie rozum, to rozsądek: o tym któżby jeszcze dziś nie wiedział, kiedy bez ustanku dotąd nasi pisarze i dziennikarze muszą walczyć przeciw gorącym patryjotom, którzy wciąż wołają, niepoprawieni: że „zbawieniem rzeż.“

Nikt jednak dotąd, o jile wiem, nie nazwał tej choroby patryjotycznej: diagnozę jej już mamy, miana nie mamy. Odpowiednim dla niej przewiskiem, sądzę, byłoby: hallucynacyją patryjotyczną.

W hallucynacyji człowiek widzi, czego nikt jinny nie widzi, słyszy, czego nikt jinny nie słyszy, strachem drży przejęty, gdzie nie ma przyczyny bojaźni. Podobną hallucynacyją patryjotyczną jest też Dra Cegielskiego obawa przed Dra Rzepeckiego „niewczesną i nieszczęsną propagandą“ pisowni ks. Malinowskiego. „Trepidaverunt timore, ubi non est timor.“

Pojmuję obawę autora artykułu zamieszczonego w Wiadomościach Polskich z r. 1857 pod tytułem: „Język polski i nasi pisarze“ (Roczniki polskie tom I. str. 488), że zwątpićby można o społeczeństwie polskim, które zdaje się „poprzestawać na nieśmiertelności biblijotecznej, „poklaskując“ jakoby dla sprawy narodowej bardzo pożytecznej fabrykacyi przyspieszonej wiedzy, powieści, artykułów pobieżnych i poniżenia literatury do rzędu przemysłu i handlu“, zamykając usta krytyce argumentem: że tu idzie „o zachowanie języka narodowego.“

Całym sercem piszemy się na jego słowa: „Zachować język narodowy!... Hasło to brzmi dla nas okropnie, ma w sobie coś złowieszczego. Ilekroć je słyszymy, przejmuję nas boleść i trwoga. Naród, który czuje że żył, że żyje i żyć będzie, nie może się troszczyć o zachowanie swój mowy. Mielizbyśmy i tu spotkać się z braćmi Czechami? — A przecież oni podnosząc się z upadku, chcą odzyskać mowę, jako piérwszy szczebel udzielnosci, i przez byt papierowy dążą do rzeczywistego; my zrzekając

się myśli o całym naszym 'dziedzictwie, i chcąc zachować mowę jako ostatnie dobro, nie zdołalibyśmy utrzymać i narodowości papierowej." Całym sercem piszemy się na te słowa, mając na pamięci, że „tak samo ongi prawodawca języka naszego," ks. Onufry Kopczyński (w przedmowie do swęj gramat. pośmiertnej") wzdychając do nieśmiertelności bibliotecznęj, jaką mają Grecy i Rzymianie, wyrzekł się jawnie (str. 184 gramatyki pośmiertnej) nadziei niepodległości na rzecz „federacyi z najpotężniejszém państwem rossyjskiém," nie przeczuwając oczywiście, co późnięj Mickiewicz wyrzekł: że „Polska była uosobieniem idei przeciwnęj Rosyi" (Literatura Słowiańska wyd. Wrotnowskiego T. II. str. 189.), co tak dobitnie wypowiedział Krasiński i o czasie dzisiejszym:

„Dziś wschodni łąd,

Dwóch bójką wiár:

Ty i Cár.

Cár, życia trąd;

Ty, życia prąd;

Ty, życia dár!"

Nie pojmuję atoli, pojąć nie mogę, z jakich powodów propagandę pisowni, za lepszą przez siebie uznanęj, możnaby poczytać za zbrodnią w obec národu mężowi, który nie zwątpił o przyszłości národu, dla národu pracuje i na urzędzie swym i po za urzędem, w czym mu aż z góry tamę kładą.

Chyba że u nás brak tak wygórowanego uczucia patryjotycznego, jakie má Dr Cegielski; może nám „Towarzyszom" on nawet zarzucić: „Nie wcieliłeś się w to ciało,

Co tak cierpieć miało!

Ach nie wzięłeś ran — przed ciosem

W pierś twą — magnetycznie"; może nas nawet potępić, że nie czujemy boleści národowęj nie tylko przed ciosem, lecz i po ciosach „nieszczęsnęj propagandy" Dra Rzepeckiego: my tylko zdziwieni, nie przestraszeni, powtórzać będziemy: ależ to hallucynacyjá patryjotyczná!

W tym wizyjonarskim swym usposobieniu Dr. Cegielski czuje się „przejęty głęboko uczuciem obowiązku wykazaniá Dr. Rzepeckiemu, jak niewczesná i nieszczęsná jest jego propaganda ortograficzná, i jaką za to na niego spada odpowiedzialność", a nie wié o tym, (jak zresztą w hallucynacyji inaczej być nie mogło), że bynajmnięj temu urojonemu obowiązkowi swojemu nie uczynił zadość."

Za „wykázanie owęj niewczesności i nieszczęsności" przyjąć

przecież nie można jego zdania niczym nie popartego i nieuzasadnionego: że gdy „każda dzielnica rożmyślnie, a zarazem lekko-myślnie będzie zaprowadzała zniany, które się w lokalnych wyrabiają okolicznościach, to po niejakiem czasie zamiast jednej pięknej i wykształconej mowy polskiej będziemy ich mieli trzy, z trzema jeśli nie z trzydziestu pisowniami!“

Chcąc wykazać niedorzeczność tego zdania, co má usprawiedliwić Dra Cegielskiego sposób polemiki, ton jego broszury: zapytamy się go najpierw: Od jakiejże to jedności w pisowni odstąpienie jest herezyją narodową? gdzie ta jedność? gdzie zákon, prawidła téj jedności?

Zákonom wedle Dra Cegielskiego jest „pisownia Kopczyńskiego co do *ém* w Nárzędniku i Miejscowniku l. p. przymiotników rodzaju nijakiego, Mrozińskiego zaś i Felińskiego pod innym względem“ (cf. brosz. str. 23).

Lepiej i słusniej byłoby uważać całą Deputacyją ortograficzną Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk za taką prowadzącą powagę, do której składu oprócz uproszonego na prezesa gien. Mrozińskiego weszli ks. Szwejkowski, Ludwik Osiński, Feliks Bentkowski, Ján Kruszyński, i Kazimierz Brodziński, s których każdy pewien dział pisowni opracował, a s których Osiński Felińskiego, nie należącego do deputacyi, zasady co do joty po części przyjął, po części odrzucił. Bartoszewicz wręcz ją „jedyną naszą powagą co do ortografii“ zowie.

Jedyną to jeszcze rzeczywiście mogłaby być powaga co do pisowni. Choć nie ludźmy się, nie jest i nie może być grzechem odstąpienie od jej zásád. Bo najpierw gdzie nie ma ogłoszonego prawa, tam nie ma przestępstwa prawa: Deputacyją wnioski tylko poczyniła, nie wydała uchwał, rogatio nie stała się jeszcze lex. Bardzo słuszny ona wniosek uczyniła do Towarzystwa, „ażeby do ostatecznego przyjęcia zásád Deputacyji nie przystępowało, dopóki przez sąd publiczny roztrząśnione nie będą.“ W skutek czego téż ogłosiła Deputacyją swą pracę nie jako dzieło Towarzystwa, lecz jako swe własne,“ (cf. historia liter. Bartoszewicza str. 491). Do tego roztrząśnienia i wydania uchwał nie przyszło s powodu wybuchu powstania w r. 1830, po czym Towarzystwo przez Cara było rozwiązane.

Nie było uchwały, nie ma prawa, nie może więc być i grzechu, a tym mniej zbrodni w obec národu w przestąpieniu przepisów Deputacyji.

Co więcéj: choćby było przyszło do onych wniosków roztrząśnienia przez światłą publiczność, choćby i uchwały ostateczne były wydane przez Towarzystwo na podstawie wniosków Deputacyji: przepisy te mogłyby mieć tylko to znaczenie, jakie „ma w takim razie głos zbiorowy w większej mierze, niż głos pojedynczy, nawet gienialny.“ (Bart.) O prawomocności w ścisłym tego wyrazu znaczeniu mowy być nie może: ani gramatycy bowiem, ani całe zbory uczonych, ani jakie Towarzystwa Przyjaciół Nauk nie są i nie mogą być prawodawcami języka, żeby z ramienia swego, z woli swéj nadawali ustawy językowi. Kto o legitymizmie w pisowni mówi, miesza rzeczy wcale do siebie niepodobne: gramatyk nie jest jako prawodawca w społeczeństwie, lecz raczéj jako bádacz przyrodzenia, który docieka praw natury, a nie nadaje jich bynajmniej.

Dla tego nie piszemy się wcale na zdanie przytoczonego już wyżej autora artykułu w Wiadomościach (str. 49), że „z prawidłami pisowni naszej stało się podobnie, jak z wszelką legalnością, której nadwergężenie, choćby dla zmian słusznych i koniecznych, otwiera pole do nadużyć i bezprawiów.“ (Tu autor *co wytykał błąd prawie wszystkim pisarzom, takóž przeciw gramatyce grzész.*)

Nie uważamy bynajmniej za nadużycie i bezprawie, że dziś, jak prof. Małecki w Szkole pisze, „faktyczną pod niejednym względem anarchiją w pisowni polskiej“ panuje. Bezprawiem mogłoby się nazwać káżenie języka ojczystego w jego ustroju, przyrodzie, przez zacieranie jego rodzimych dźwięków, przez nárzucanie mu toku obcego, wyrażén żywcem z obczyzny wziętych; ale nie odstępowanie od pisowni zboru jakiegoś uczonych w tym, co nám się zdaje przez nich mniej właściwie ujęte, zrozumiane i wyłożone.

Gdyby zmiany w pisowni Deputacyji uważać za zbrodnie národu, jak to nieopatrznie twierdzi Dr. Cegielski, któżby mógł powiedzieć: jám bez winy? Nájpierw wszyscy bez wyjątku pisarze, którzy nie przyjęli poleconej przez Deputacyją pisowni w obcych wyrazach przez **g** i **x**, lecz piszą **j** i **ks**, jenerał, ekskuza, byliby winni zbrodni! Náznakomitsi nawet pisarze, którzy, może w myśl Brodzińskiego, upatrującego piękność wielką w otwartym *e*, zaniedbywali kréskować *e*, gdzie to Deputacyją zalecała, zbrodniarzami!*) A cóż dopiéro mówić o reszcie przepisów, których

*) Com u jinnych nie znachodził: Karól Libelt w pismach pomniejszych, Henryk Szmyt, historyk, piszą **e** w zakończeniu Nárzęduka l. mn.

żadne prawie pismo literackie czy nieliterackie, żaden pisarz prawie nie przestrzegął ściśle (nawet X. Adam Czartoryski pisze też za téż), każde z nich pogwałcone, a gwałciciele jich — zbrodniarzami!

Nie mogę wytłómaczyć sobie lekkości sądu Dra. Cegielskiego, że wydał wyrok, który jego samego, jako téż uwielbionego przez prof. Małeckiego jak najsilniej potępią. Wszakże to bowiem Dr. Cegielski w téże broszurze, w której potępią tak srogo zmiany w pisowni, popełnia odstępstwa od przepisów Deputacyji, a więc i Mrozińskiego i Felińskiego, pisząc: swoją (za swoje) str. 6., francuski (zki) str. 11., stąd (ztąd) str. 27, loika (logika) str. 29, ową (owę) str. 31. niski, bliski, męski (nizki etc.) str. 43., broniąc potępionej przez Deputacyją pisowni: „Anglja, Francja (str. 37.). itd.

Prof. Małecki nie tylko że sám dla siebie odstępkuje od zásad Deputacyji, lecz wprowadzą nawet do szkół zmiany ogromne: káže pisać: strzyc, móc (za módz), męski, papieski, niski (za mężki etc.) i męszczyzna (za męż—) pisownię, groblę (za groblą), gołąb, drop (za gołąb), gryść, leść (za gryźć, léść) (cf. Pisownią w gramatyce Mał. § 812—827.)

Czy ci wszyscy pisarze, nie wyłączając samegoż Dr. Cegielskiego, nie wprowadzali „rozmyślnie tych zmian w pisowni?

Ktoby twierdzić chciał, że „nierozmyślnie“ to czynili, ubliżałby jim tym samym, pomawiając jich o nieuctwo. Ale jeżeli „rozmyślnie“ wprowadzili zmiany i wprowadzają, czy to czynią „lekkomyślnie“?

Powszechnie takie odstępowanie od zásad Deputacyji doprawdy nie w lekkomyślności swą może mieć przyczynę, lecz raczej w poczuciu, że one nie odpowiednie już dzisiąj, że się przestarzały. To téż Jul. Bartoszewicz powiada: „W swoim czasie Deputacyja niezmiernie wiele wprowadziła do pisowni nowości, ale dzisiąj już *Rozprawy i wnioski* te nie wystarczają, nauka poszła dalej. Tak postęp nauki był nágły i gwałtowny, że wszystkich uprowadził za sobą.“

Jakże téż mogło być jinać? Jeżeli pracą około pisowni podjętą przez komisyją edukacyjną, którą Kopczyńskiemu zdawała się już jak najdoskonalszą („przyszła szczęśliwie ostatnią Pisowni Epoka za Komisyji Edukacyjnój,“ mówi o niej w swój pośmiert. gram. str. 191), nie podążyła się przyjąć w szkołach przymiotników, a więc émi; oczywiście że takóž przeciw regule gramatyków; lecz czy błędnie, nie przesądzam.

(str. 192); „jeżeli sam ks. Kopczyński zestarzał się prawie w oczach narodu“ a tak „skutkiem większego postępu nauki, zamęt nadzwyczajny powstał, a każdy pisał po swojemu“ (Bartosz. str. 489): jakież daleko więcej dzieło Deputacyji, przez pół tylko dokonane, która oparła się na Felińskiego i Mrozińskiego znakomitych badańach, nie miało się przestarzeć dziś, kiedy lingwistyka tak olbrzymie zrobiła postępy przez nową metodę historycznoporównawczą, kiedy więc w niejednym już gruncie się usunął s pod „Rozpraw i wniosków Deputacyji?“ Dość porównać taką grammatykę prof. Małeckiego z jaką bądź grammatyką, nie tylko starszą, lecz i z nowszymi tych badaczy, którzy po dawnemu zasklepili się w uważaniu dzisiejszych gotowych form językowych za dobre, jakąż tam ogromna różnica?

Nie lekkomyślność powodowała pisarzy naszych do zmian w pisowni, ani nieuctwo, niedbalstwo, chyba wyjątkowo: czyż zatem jednego tylko ks. Malinowskiego i jego zwolenników ma spotkać ten zarzut grzecznej, zbrodniczej w obecną lekkości? I oni niezawodnie mają prawo być mierzeni z drugimi jedną piędzią, i wążeni na jednej szali.

Czy oni jedni „zmianami, które się według Dr. Cegielskiego“ w lokalnych wyrabiają okolicznościach,“ wytwarzają trzy języki, dzielą językowo naród na trzy narodki, a tak utwierdzają rozdarcie narodu, dokonane przez zabory ościennych mocarstw, jak to tak stanowczo twierdzi Dr. Cegielski?

Ależ najpięrsz zmiany w pisowni, polecane przez ks. Malinowskiego, nie wyrobiły się bynajmniej „w lokalnych okolicznościach,“ lecz ze studjum pisarzy złotego wieku dla literatury, s czasu Zygmunów; lecz z badania porównawczego i pobratymczych i zamarłych pokrewnych języków. Jakby z „lokalnych okoliczności“ mogły w ogóle urosć jakie nowe zasady pisowni, rzecz mi niepojęta. Chyba, żeby się jakie prowincjonalne skądzone formy w języku uświęcały. Ależ tego nie czyni ks. Malinowski. Z „lokalnych okoliczności“ t. j. pod wpływem n. p. nárzeczą ludowego, mogą się wcisnąć wyrażenia do mowy piśmienniej, jak potępione przez Dr. Cegielskiego: *docna*, (którego autor kroniki paryżkiej w Dzienniku poznańskim, piszący o skądzeniu mowy polskiej, użył w Nr. 47.); mogą wyrażenia żywem przejęte w całej swj surowości z obczyzny, nacisk wywierającej na polszczyznę, a więc téż wytworzone „w lokalnych okolicznościach,“ kazić język, jak n. p. przez Dr. Cegielskiego w broszurze użyte: *czczą słomę młócić* (str. 20), co jest żywiuteńkim niemieckim frazesem; *nie są w*

stanie (str. 20), które się już bodaj na dobre wżarło w nasz język; *męza nauki* (str. 7), co prof. Małecki (§ 652) zowie galicyzmem, a jest raczej niemieczyzną; *idąc za duchem języka*, (str. 34), *przestrzegać ducha języka*, (co wprost niedorzecznością trąci) (str. 48), a co, jak téż L. Libelt w swój filozofiji i krytyce, jeżeli się nie mylę, wypowiada, naśladowaniem jest niemieckiego frazesu nierozsądnego, wykrzywającego znaczenie słowa tak wielkiego, jak *duch* i t. d.

Zresztą niczym nie jest uzasadnione przypisywanie zmianom w pisowni tak straszliwych następstw, jak to czyni Dr. Cegielski.

Gdyby pisownia zmieniała język, tedy jinnym byłby język polski za Stojęńskiego, ks. Parkosza; na dwa języki rozdzielon by był przez pisownią ks. Zaborowskiego, a Seklucyjana, później Stanisława Orzechowskiego, później jeszcze Jána Kochanowskiego, Łukásza Górnickiego, ks. Jána Januszewskiego, którzy wszyscy nawet osobną grafikę ułożyli, osobne znaki na głoski abecadła. Gdyby pisownia zmieniała język, tedy byłby on jinny za czasów spisania statutu Wiślickiego, za czasów tłumaczenia psalterza Małgorzaty, za czasów wydawania biblij pierwszych polskich; jinny przez zmiany Grzegorza z Żárnowca w cztografiji zaprowadzone, znów jinnym przez Knapskiego; jeszcze jinny przez komisyją edukacyjną, przez Kopczyńskiego; znów jinny przez zmiany radykalne Felińskiego, Deputacyji; a ostatecznie rozstrzelonym na języki i mówki przez te rozliczne pisowni sposoby i zmiany tak gęste, że „faktyczną anarchija w pisowni“ panuje.

Zaprrawdę nie rozdziera ten národu, nie rozdziela języka, kto odstępuje zásad jakiegóś starój pisowni, bo wtedy obala dzieło ludzkie, dzieło uczonych, co może nie dość wejrzeli w głębi rzeczy, w naturę mowy; a bynajmniej nie targá się na prawa rządzące w organizmie języka, nie przejinacza natury mowy; owszem, może nim powoduje nájszlachetniejszą myśl, żeby tym prawom, co jako zásady, ideje rządzące, dają ruch i życie ojczystej mowie, nadać wyraz odpowiedniejszy, a przez to o nich więcéj świadomości wlać w umysły rodaków.

Kazi język i przetwórzá ten tylko, kto albo prowincjonalizmów, (co nawet mniejszą) albo cudzoziemskich wtretów wyrażen chętnie używá; albo słowa tworzy polskie nie z polskim zákrojem, lub przeciw analogiji w języku ojczystym wyrazy kuje, lub ostatecznie nadaje znaczenie nieodpowiednie wyrazom dáwnym.*)

*) Odznaczać się każeniem ojczystej mowy *Dziennik poznański*. Mniejszą już o żywceem przejęte łacińskie wyrazy, które z jego języka czynią

Nie potępiajmy się wzajemnie o zmiany w pisowni, gdy dziś już taká anarchijá, již nikt tego zámętu powiększyć nie może. A że ks. Malinowski téż podał zmiany w zasadach pisowni Deputacyji, to nikogo jątzyć nie powinno, lecz raczej radować: boć jeżeli mężowie wszechstronnie na polu umiejętności języka obeznani wezmą się do dzieła náprawy pisowni, prędjéj z onego nieładu wyjdziemy. Tylko, jeżeli wykształceni, fachowi gramatycy, lingwiści wezmą się do pracy nad ustáleniem pisowi, nie zwáżając na „niepozwałám“ piérwszego lepszego, który bez rozległych wiadomości gramatycznych, chciałby albo swoje zápatrywanie narzucić, albo cofnąć wszystko do starych, opuszczonych już stanowisk: tylko tak możemy się doczekać prawdziwie gramatycznej pisowni, którą zásád swych nie będzie brać z samego miłodźwięku, nie będzie téż do zwyczaju się stósować i wymowy skáżonej, żeby nie uświęcać bezpráwiá, lecz przedewszystkim do práw w języku złożonych.

Taká tylko pisowniá gramatyczná, nie zwyczajowá, nie wcho-dzącá w kompromis z náwyknieniami błędnymi, nie uświęcającá błędów przeciw prawidłom językowym, má przyszłość i ostoji się. Stosującá się do zwyczaju gramatyczná umiejętność, wskazaná będzie zawsze na tę smutną ostateczność, że jako niewolnica wléc się będzie za błędem, i sankcyjá dawać będzie czynom dokonanym, choć one bezpráwem będą na polu umiejętności. —

III.

Anarchiji, jaká faktycznie wedle świadectwa prof. Małeckiego panuje co do pisowni, nie można położyć końca w ten sposób, żeby powiedzieć, jak autor artykułu Wiadomości polskich: wróćmy po prostu do zásád Deputacyi. **)

nie-ráz zupełnie makaroniczny, jakby ząsuszony eksemplárz z dáwnych czasów; gorszá rzecz, że te wyrazy, które kuje i w świat rzucá, coráz to nowsze, a coráz to niedorzeczniejsze. Wyśmiał go Dziennik Warszawski za jego *zákusy*, na co i s Paryża mu zwrócáją uwágę (czemu nie powiedzieć *pokuszenie się* zamiast wyrazu, co male sonat *za - kusa*, a analogijá raczéj má z *zakąską* — *zakusić*, aniżeli s *pokusą*. A takich wyrazów więcéj: *wysadzić komissyjá* (gdzie? na ląd?) *podnosić* (za *wskázac* na wážność) *zaznaczać* (zam. zapisywać, konstatować) *zapoznać* (żywiuteńkie: *verkennen*) *sterczeć* (*horribile auditu*) użyte w znaczeniu *odznaczać się*; *rezonujące* artykuły za rozumujące.

**) Dr. Cegielski, konserwatysta aż do zbytku, — oczywistá że mówię tu tylko o kwestyi pisowni, — gniewa się na Dra. Rzepeckiego, (czemuż nie na wszystkich? czemuż nie na siebie, kiedyż sám téż popiéra i broni na-

„Po obaleniu Kopczyńskiego — mówi on — nie zatrzyma-
liśmy się na niczém pewném. To jednak co Deputacya Towarzy-
stwa Przyjaciół Nauk uczyniła i Mroziński dopełnił, a później
Koncewicz rozwinął i w praktyczném dziełku podał, nie wiedzieć
dla czego nie ma u nas mocy obowiązującej. Są tam niedostatki
bo niektóre kwestye nadługo jeszcze podobno zostaną nierozwią-
zane, ale całość zapobiegłaby szkodliwemu bezrządowi.“

Dziś te kwestyje, o których sądził autor tego artykułu, że
jeszcze na długo zostaną nierozwiązane, rozwiązują gramatycy,
lingwiści; więc co może było podobne w r. 1857, nie jest może-
bne w r. 1868, żeby wrócić całkowicie do zasad Deputacyji. Nie
chcę ja twierdzić, że całkiem wywrócimy dzieło Deputacyji: może
niejeden z jej wniosków mimo postępu lingwistyki porównawczej,
w całej rozciągłości przyjmą badacze. Ale wrócić do nich będzie
można nie w jinny sposób, jak przez krytyczną tak jich ocenę,
jak i nowych wniosków i zasad, podawanych przez dzisiejszych
badańców języka, i wybranie tego, co się w obec krytyki ostoji.

wet zmian co do pisowni, jak Anglja?), że śmie zaprowadzać zmiany
w pisowni Deputacyji. Powołuje się na przykład Niemców, że mają zna-
mienitych badaczów, Grimmów i Boppów, a nie mają fanatycznych aposto-
łów pisowni. Wykrzykuje nawet, tracąc głowę w wielkim rozdrażnieniu:
„czemu to u Niemców nie ma takich Rzepeckich!“

Owszem są, choć o nich nie wie Dr. Cegielski. Z dawniejszych wspo-
mnę Henryka Leona, znamienitego historyka, który od zwykłej pisowni
niemieckiej całkiem odstąpił. Grimm, który wedle Dr. Cegielskiego miał
wyrzucić, że pisownia niemiecka jest najgłupszą w świecie, badacz znamię-
nity, poczynił zmiany w tej pisowni. Jego rozprawa, którą mam pod ręką:
„Ueber den Ursprung der Sprache“ z r. 1866, drukowaną łacińskimi czcion-
kami, co już ogromną jest reformą u Niemców; nie odznacza rzeczowni-
ków dużymi na początku głóskami; dwa ss odznacza przez sz (eszbar,
laeszt). Schlejcher, który po Boppie i Grimmie zasłynął szeroko z lingwi-
stycznych studyjów, ostatnie swe dzieła drukuje łacińskimi czcionkami
a w pisowni radykalną zaprowadził zmianę tak, że zatął już różnice nie-
raz tak konieczne w niemieckim jak: *ihm* a *im* (in dem), pisząc oboje
przez *im*.

Poniżony przez Dra. Cegielskiego tak niepotrzebnie a impertynencko
Dr. Rzepecki może się wcale nie gniewać na swoje towarzystwo tak zna-
mienitej na polu literatury mężów, jak Leo, Grimm, Schlejcher.

S powodu Dr. Rzepeckiego dostała się admonicją i Lelewelowi i Ma-
ciejowskiemu za pisownią, Hoëne Wrońskiemu za pomysły myssyjaniczno-
filozoficzno-matematyczne, Jezierskiemu za filozoficzne na polu języka.
Szkoda że to upomnienie przychodzi troszeczkę za późno; że ci panowie
się pospieszyli i pomarli, nim jich Dr. Cegielski podążył skarcieć.

Przynajmniej Dr. Rzepecki niechże słowá prawdy „z taką samą
rzetelnością (!) intency i takim samém ciepłem serca (!) przyjmie, z ja-
kiemi je Dr. Cegielski skręślił.“

Jeżeliby się nie rozebrało krytycznie zasad nowszych, nie wykazało jim, że nie mają w sobie prawdy; na nic się nie przydadzą, choćby ukazy z góry, żeby ryczałtem przyjąć na powrót zasady Deputacyji, żeby w szkołach ściśle wedle zasad Deputacyji uczono, w niczym a w niczym jich nie odstępując. Rozum bo powadze niechętnie ulegá, jeżeli nie przekonany; a co do ziemskich, względnych prawd, ani ulegać nie má obowiązku.

Pytanie, w jaki sposób ustalić pisownią. Dr. Cegielski zdaje się nie widzieć na to żadnego sposobu, jak wyrok jakiegoś *ciała uczonego*,*) *naukowego*. „Gdyby była u nas — prawi — powaga jakiegoś ciała naukowego, gdyby była władza jakaś stojąca na straży nanki języka polskiego, rozstrzygałaby ona o nauce i praktyce pana Rzepeckiego.“

Wręcz przeciwnego zdania są jinni.

Prof. Małecki stanowczo się oświadcza przeciw takim wycekiwaniom náprawy pisowni od jakiegóś „zbiorowości powag.“ Mówi on: „Dawały się już nieraz, i dają jeszcze i teraz słyszeć głosy, że ustalenie pisowni polskiej, jakaby być powinna, nastąpi dopiero wtedy, kiedy się tą sprawą zajmie jakie ciało uczone, jakaś zbiorowość powag i literackich znakomitości narodu. Przed wyrokiem takiego dopiero areopagu schyli głowy każdy kierujący się dotąd własnym instynktem i przyjmie, co ten areopag zaleci. Że oczekiwanie czegoś podobnego jest albo dobroduszném tylko siebie i drugich łudzeniem, albo téż arcywygodną chyba wymówką lekkomyślności, z jaką przez czas najdłuższy trwać by się chciało przy tém, do czego się raz nałogowo przywykło, tego dowodzić podobno nie potrzeba. Najprzód bowiem areopagu takiego nie ma podziśdzień nigdzie pomiędzy nami, a jeżeli w czém go nie ma, to w lingwistycznych robotach. A potem — czy dziś są czasy i duch całego społeczeństwa po temu, żeby się indywidualne rozumy chciały poddać w czémkolwiek kierunkowi, przez kilku ludzi moralnie z góry nadanemu?“

*) Czy to wyrażenie má zostać już w języku? Mnie ono zawsze razi francuzyzną (*corps législatif*) tak samo jak jinne: „*mąź stanu*, „*mądrość stanu*,“ niemieczyzną. Jeżeli jakiego pięknego wyobrażenia nie można oddać szczéropolskim wyrazem, (jak tu może przez Zbór, Towarzystwo, Zgromadzenie), to już lepiej użyć wyrazu łacińskiego, który nás już dla tego samego nie tyle razi, że z umarłego wzięty języka. Ciało uczone, jak to brzmi dziwacznie, jak jest przeciw wszelkiej analogiji w języku naszym. Proszę sobie wyobrazić zdziwienie nie otraskanego s tym wyrażeniem, gdy usłyszysz po raz pierwszy, że ciało téż jest uczone lub naukowe.

Ratunku przeciw anarchiji w pisowni nie widzi jinnego, jak tylko „przyzwyczajenie w szkołach młodzieży do rozumnych a na cały kraj jednozgodnych zasad gramatyki“; bo „starsi dzisiejsi uporczywie trwają przy swojém“; bo do „literatów z profesyi nie ma wcale podobieństwa (?) przemówić, gdy żaden z nich, choćby był autorem ulotnych świstków, lub artykułów w dzienniku, do gramatyki nie zajrzy (?), i nie ma się téż z nimi gdzie spotkać w celu poważniejszój (!) rozmowy“; bo w dziennikach zamieszczane „krótsze artykuły lingwistycznej treści, nudzą oschłością przedmiotu publiczność, kiedy nowatorowie, dla których były przeznaczone, wcale ich nie czytają.“

Jest tu przeskok w myśleniu, każdy powie. Anarchiji má zapobiedz „przyzwyczajenie młodzieży po szkołach, do rozumnych, a na cały kraj jednozgodnych zasad gramatyki i ortografii.“ a wszakże, nim się ustalić zamierzy tę jednozgodność zászád, wpiérw orzec potrzeba, które są rozumne zasady.

Dla prof. Małeckiego tego przeskoku w myśleniu tu nie ma, bo on już sám zawyrokował, że zászady jego „rozumne“; i tylko o to jészce się troszczy, żeby je za pośrednictwem szkół przeprowadzić w powszechne użycie jednozgodne.

„Tylko na téj drodze (tj. przez szkoły) nastąpić kiedyś może, czego sobie w sprawie piśmiennictwa wszyscy tak powszechnie choć tak nadaremnie życzymy. Pierwszy krok do tego już jest zrobiony. Punkt wyjścia stanowczy w kierunku wskazany mamy. Po wszystkich gimnazyjach Galicyji nauka ojczystego języka bywá udzielaná podług jednego systemu, opartego na zászadach wyproorzadzonych z samój natury tegoż języka i odpowiednich stanowisku lingwistyki, jakie obecnie w całym świecie naukowym po-
płáćá. Chodzi tylko jészce o to, ażeby osoby, którym jest powierzona ta część nauki, same się przejęły duchem tego systemu; ażeby jich przekonania solidarnie i gorliwie i umiejętnie się zespoliły z osnową książki (mowa tu wszędzie o gramatyce Małeckiego) podług którój wykładają swój przedmiot.“

Ci bádáczé, którzy nie są tak i w téj mierze siebie pewni, jak prof. Małecki, a przynajmniój nie śmieją sami o tym wyrokować, czy jich zászady są „rozumne“, czy „wyprowadzone z samój natury tegoż języka i odpowiednie stanowisku obecnemu lingwistyki“, którzy téż, nim je po szkołach chcieliby widzieć zaprowadzone powszechnie, radziby je, naśladowąc skromność Deputacyji, poddać wszechstronnej krytyce i ocenieniu: muszą szukać wpiérw sposobu na oznaczenie rozumnych zászád, nim się chwycą je-

dynego potym środka, zaprowadzenia jich po szkołach, żeby pożądaną jednogodność z czasem przynajmniej nastąpiła w narodzie.

Najtrafniej prof. Suchecki oznaczył ten sposób dojścia do „rozumnych a jednogodnych zasad w pisowni.“

Nie uważa on za potrzebną „zbiorowości jakichś powąg literackich,“ któraby z góry narzucała swe opinie narodowi, jakby w jej łonie tylko i rozum i prawda mogły się przejawiać; sądzi, że byle pewną „spójnią duchową“ była w narodzie, już to wystarczająco do nadawania językowi normy. Jakąż i w czym ta spójnia duchową?

Na to odpowiada prof. Suchecki (cf. Oświata str. 396): „Spójnia duchowa zachodzi tam, gdzie umiejętność specyjalna ma powagę; gdzie dyletantyzm, więc orzekanie bez głębokich nauk, nie ośmiela się sztyrzyć zamroczonego światła, miasto jasnych promieni; gdzie nad gromadą zbiorową nie kruszą kopij namiętności ciemnoty. A mówiąc o języku, nastąpi spójnia duchowa, kiedy nie każdy, że Polak, rościć sobie będzie stąd prawo do głosu o języku stanowczego, do zakładania swego „niepozwalam“ i do nieposłuszeństwa wobec umiejętności i wielu ludzi powołanych; ale kiedy wszyscy dobrej woli i pracy okrywać się zechcą chwałą doradców w sprawie ogólnej wagi, dostarczając umiejętnościom materyjałów ze swych wiadomości, doświadczeń, spostrzeżeń i domysłów“ — „Co do akademiji, jak francuzka, to jej regulamin, „był pa sему“ godzien tylko takiego języka jak francuzki, by tak różnorodne żywioły, jak kieltycki, łaciński, grecki i giermański w jednej retorcie samowładzy zwarzyć w jeden bigos przyprawny.“

Jabym tyle nie poniżał prac takiej akademiji francuzkiej, gdyby o niej u nas marzyć można. Ale zresztą zgadzam się całkowicie, że uczeni powinni przed publiczność ze swymi poglądami wystąpić, nie gardzić wskazówkami, spostrzeżeniami, domysłami i niefachowych uczonych, a sami pomiędzy sobą zawyrokować ostatecznie, nie kto ma prawdę lecz co jest prawdą. Do takiego zawyrokowania nie potrzeba żadnych zborów, posiedzeń nawet, dosyć na tym będzie, że każdy z uczonych, przekonany o błędzie swjej opiniji, a prawdziwości poglądu cudzego, szlachetnie to przyzna. Że na tej drodze można będzie się porozumieć, nie wątpię; wiele ufam sile logiki, że sobie zdobywają umysły, choćby s początku nawet zaślepione.

Nie koniecznie się godzą wszyscy w naukach filozoficznych, moralnych, społecznych, politycznych; ale to dla tego, że tu i ser

ce i wolą grą rolę, że nieraz rozum służy jest námiętności i błędnym się staje kierownikiem i wodzem dla tego, że mu błędnie prowadzić nakazuje — przewrotną wolą; ale to dla tego téż, że to są umiejętności, które po części się konstruują *a priori*, a w tych pomysłach *a priori* tyle bywa uwidzeń, przy których się obstawia tak zacięcie. S przewrotnej woli jednego, s fałszywej zasady postawionej *a priori*, i ślepo przyjętej, biorą początek uprzedzenia, krzywe poglądy i sądy, które obalamucić zdolne umysły i serca nie przewrotne; a gdy służą za punkt wyjścia w badaniu, mogą prowadzić do jak najopaczniejszych wniosków. Ale dziedzina umiejętności języka, jak i nauk przyrodzonych, jest neutralnym polem. Tu nie może grać zła wola, uprzedzenie, bo nie jest interesowane serce, wola, námiętność; tu sám rozum, sama logika rozstrzygá o wartości spostrzeżeń, o wartości odkryć z dziedziny praw, które leżą w samejże naturze języka. Ale umiejętność języka, jak nauki przyrodzone są nauką z doświadczenia braną i w system ujętą. Nic więc téż tu nie znaczą poglądy *a priori*, choć najświetniejsze, a wszystkim są z doświadczenia, z badania natury języka zyskane rezultata *a posteriori*.

Prof. Małecki za przywodem prof. Sucheckiego, tak jak ten w Oświacie, wytoczył spór o pisownią w pedagogicznym piśmie „Szkoła“; Dr. Cegielski także uczynił w swój broszurze, szkoda tylko, że zbyt kuując i s pieprzem i solą. I ta zaprawdę jedyną dla nás dziś droga do wyjścia z zamętu, nieładu, anarchiji. Jedynie przez naukowe rozprawy można do ładu przywieść bezładną dotychczas pisownią naszą. I dla tego całym sercem piszę się na zdanie A. Kudasiewicza: „Właśnie dla tego, żeśmy dotąd na nic pewnego się nie zgodzili, że wielu swoim *veto* nie dopuszczają wcale zakończenia sporów, s coraz nową siłą powinni występować wszyscy, którzy uważają ortografią za własność ogólną, narodową, i każdy starać się powinien o ulepszenie jej, ale nie poczytywać zajęcia się nią za przedmiot mało ważny.“ (cf. Oświata str. 382.)

Nie będąc dotąd fachowym ni gramatykiem, ni lingwistą, nie przedsięwzięję téż nic jiniego, jak wystawić zasady ks. Malinowskiego, propagowane przez Dra Rzepeckiego, w prawdziwym świetle, które krzywo wystawił i „choć bez znajomości gramatycznych rzeczy, ale w poczuciu, że má sąd trzeźwy i jasny“ potępił Dr. Cegielski.

W tym samym porządku rozbierzemy zasady te, w jakim je podał Dr. Cegielski. A więc mówić będziemy o á pochylonym,

ciemnym; o zakończeniu *im* i *ym* w Nárzędniku i Miejscowniku przymiotników r. nijakiego; o dodawaniu spółgłoski *j* na początku wyrazów szczéropolskich, zaczynających się od samogłoski *i*; o pisaniu przyimka odpowiadającego łąć: *cum*, niemieck: *sammt*, *mit* przez dwie postacie *z* i *s*, stósownie do głoski następnego wyrazu. Dodamy krótkie wyjaśnienie kwestyj, o które potrącił Dr. Cegielski, co do pisania jimiesłowu na *szy*, i wyrazów, jak: *mężki*, *bozki* i t. p.

I. Co do á.

Wielkiéj biédy narobił K. Brodziński swym zdaniem, że trzeba upiększać język, wyrzucając zeń, o jile się dá, mniej dźwięczne, mniej ładne brzmienia, a zastępując je piękniejszymi. Za takie mniej miłe dla ucha uznał wszystkie pochylone, za przepiękne, zaś przecudne brzmienie: głos otwartego *e*.

Jest to jak nájopaczniejsze zápatrywanie, jakoby przez wydarcie językowi rodzimych jego brzmień i tonów, jakby przez zubożenie mowy, wzbogacało się ją i upiększało. Ubóstwo zapewneć może sposobność podawać do okazania moralnéj, etycznéj piękności duszy, co pod jego brzemieniem nie upadá, lecz się podnosi aż w niebiosa: lecz samo w sobie, jako brak, niedostatek, cóż może mieć pięknego? a cóż dopiéro ubóstwo języka; jego niedostatki, braki, nédze jego jakoż pięknością być mogą?

Że jeden głos, ton w mowie, piękniejszy od drugiego, i Dr. Cegielski jeszcze utrzymuje, (a sądzi, że má ogół za sobą). I tak twierdzi, „że *a* otwarte piękniejszym jest brzmieniem, aniżeli *á* pochylone, tak jak u człowieka głowa podniosła, czoło otwarte, wzrok jasny i otwarty za piękniejsze znamiona uchodzić muszą, aniżeli głowa pochylona, czoło ściśnione i wzrok przyémiony.“

Jeżeli wedle przysłowia *każde porównanie kuleje*, to Dra Cegielskiego chromieje na obie nogi. Nájpiérw bo możnáby mu odrzec: o gustach trudná rozprawa; mnie piękniejszą wydaje się głowa pochylona ciężarem myśli, aniżeli próżná a lekká a podniesioná dumnie; wzrok przyémiony, jakoby tęskną zádumą, dla mnie piękniejszy, aniżeli jasny, jakoby szklany i otwarty, ciekawie wytrzeszczowaty; a czoło ściśnione więcéj nieráz, choć może nie mózgu, to władzy rozumu w nim mieści, aniżeli otwarte, platońskie. A dalej, skąd przyrównanie brać z fizyjonomiji

człowieka do tonów mowy? jakież tu podobieństwo odkryć można, jakież analogije? A gdyby tę analogiją przyjąć, tedy tak rozumowaćby dalej należało: *á* pochylone nie tak piękne jak *a* otwarte i dlatego pochylone przez otwarte má się zastępować: więc i głowę pochyloną uciąć, oko przyémione wyłupać, a włożyć głowę prostą, a wsadzić oko otwarte! Czy takie wnioski miłe Dr. Cegielskiemu? A przecież one logicznym następstwem z jego teoryji i jego porównań.

Stósowniejsze niezaprzeczenie ks. Malinowskiego porównanie do muzyki, fárb, kolorów, lub do budulca (cf. Roczniki T. II. str. 77). Jak nierozsądnieby sobie postąpił muzyk, gdyby dla urojonéj piękności i znów brzydoty tonów, jaki ton z oktawy wyrzucał; malárz, gdyby w obrazach nieładny wedle swego widzenia kolor usuwał; budowniczy, gdyby mu się piękniejszą wydała dachówka od cegły, wápno od gliny, i co mniej dlań ładne, gdyby tego do budowy nie brął: każdyby to nazwał dziwactwem. A otoż kiedy to samo czynią gramatycy i niegramatycy z językiem: uchodzi to za uczucie piękna! A czyż przeto harmoniją języka nie będzie nadwergężoná, gdy jego rodzimy ton jaki będzie wyrzucon? a czyż obraz tęczowy mowy nie wyda się niecałym, niedoskonałym, gdy jednego koloru niedostawać będzie? a czyż budowa języka nie będzie osłabioná, gdy się pewne jego składowe części odrzuci i zastąpi jinny, co już mają swe przeznaczenie osobne?

Tym upodobaniem powodując się Ks. Brodziński, zalecał *e* otwarte; nauka w las nie poszła: jinni dalej już jidą, jak Łazowski, któremu się nosowe nie podobają i radzi np. *a* zastąpić przez korutańskie *o*, *e* przez *e* np. *piękny* za *piękny*.

Odrzućmyż nareszcie tę nierozumną teoryją upiększania języka przez odzieranie go z rodzimych cech jego i tonów; bo doprawdy, nie wiem, gdzie się zatrzymamy, na tę pochyłość ráz wstąpiwszy.

Rządzając się tą zasadą piększenia mowy, odrzucá Łazowski *é* i *ó*, nie czuje już nawet różnicy tych brzemień od *o* i *e*. Samogłoska *é* (ściśnione) nie ma — wedle niego — w polszczyźnie podobnie jak *ó*, właściwego swego brzmienia, jeno uczeni usiłują je naśladować s francuzka.“ Prof. Suchecki znów sądzi, „że należy to do chlubnych własności piśmiennego języka polskiego, iż się popozbywał chwiejnych brzemień samogłoskowych *á*, *ó*, *é*, które są piętném niewyrobionych jeszcze w brzmieniu języków bądź piśmiennych jak angielski, rossyjski, bądź ludowych, jak

górnioniemiecki (hoť za hat) lub i mazurski (pon za pan); a ká-
że wymawiać nasze *ó, é*, np. w Bóg, grzech, jako *Bug, grzych*.

Kiedy jedni moskwićzą języ mimowiednie, za *é* (ścieśnione)
e (otwarte), która to dążność wedle świadectwa gram. Małeckiego
(§ 22) coraż powszechniejszą; drudzy czeszcą, ruszcą go, ká-
żą wymawiać *ó, é* jak *u, i*. Bo jeżelić tylko Rossyjanin wymá-
wia: *Boh, śnieg, jem*; to zasię Czech tylko: *Buh* (Boha) *śnich,*
jim; Rusin: *snih, jim*; Polák średnicę zachowuje, wymawiając:
Bóg (nie *Bug*, ani *Bog*), *śniég, jém* (nie *snig, jim*, ani *śnieg,*
jem).

W czasie, gdy tak szeroko otwierają wrota każenia ojczy-
stego języka samiż gramatycy, którzy zacierają rodzime brzmie-
niá, a narzucają narodowi obce: można zaprawdę za wielką po-
czytać zasługę ks. Malinowskiemu, że wystąpił z żądaniem, aby
nie tylko *ó, é*, pochylać, gdzie się należy, lecz i *á* ścieśnione gra-
matycznie pisać, a nie zastępować go *a* otwartym. Za wielką
zasługę: bo, choćby nawet nie przeprowadził kréskowania *á* po-
chylonego, przynajmniej przywiedzie do upamiętania tych, którzy
wynarządzają język, nie kréskując już ani *ó* ani *é*.

Ale jakże można choć marzyć o przywróceniu *á* (pochylonego)
powie wielu zapewne za Dr. Cegielskim. „Ludzie wykształceni
wszędzie i zawsze posługiwać się powinni i posługują się téż *a*
otwartém, i dla tego samego nie mógłbym już zaciągnąć się do
szeregu wyznawców *a* pochylonego, jakie się daje słyszeć w lu-
dowym dyalekcie wielkopolskim w wyrazach, jak *pán gádá* (pon
godo). Jest tu sofizmat. Czy wszyscy wymawiają zawsze *a* otwarte,
nie będziem się sprzeczać, bo to do rzeczy nie należy; ale czy
powinni wymawiać, tego wpiérw trzeba dowieść; a dopóki się
tego nie dowiodło, nie można na twierdzeniu, jako na pewniku
jinnego znów twierdzenia stáwiać: że kto się „do szeregu (wy-
znawców (sic!) *á* pochylonego zaciągá,“ przestaje być wykształ-
conym. Sofizmatami prawdzie się nie służy!

Że *á* pochylone ma się wymawiać jak *o*, nie twierdził tego
nigdzie ani Dr. Rzepecki ani ks. Malinowski. Choć, gdyby nawet
było takim rodzime brzmienie téj samogłoski, a wymawianie jój
przez *a* otwarte zamiast przez *o* było skáżeniem, było cudzo-
ziemczyzną: Któżby nie powinien przyjąć tego wymawiania w na-
szym wieku demokracji, w którym lud jest wszystkim, i wszech-
moc mu oddaná przez powszechne głosowanie? Żárt na stronę.

Ludowej mowy zapewneć żywcem przyjmować nie można; co
w niej jest skażeniem ukształconej mowy, piśmiennéj, jakiej i naj-

starszych zabytków i późniejszych pomników nam nie brak tego, tego naśladować nie trzeba, jak przytoczonych przez Dra Cegielskiego dyć (za *toć*) hale (z *ale* niewłaściwego użytego za *talę*) aliści znów rodzime wyrazy przechowane są przez lud wiernie, które przejmować można i téż przejęto powszechnie: jak *jéno* lub *jedno*, *rzekomo* i *rzekomy*, *snać*, *wszelako*, *ongi*, *łacno*, *śnadny*, s których się już dziś nikt nie gorszy.

Prof. Małecki, który jest przecież wielką dłą Dra Cegielskiego powagą, ludowi, nie klasom wykształconym przyznaje poczucie właściwości językowych. Mówi on: „niechaj sobie w swojej sferze tworzy wyrazy nowe lud prosty, więcéj kierujący się właściwościami mowy rodzinnej, aniżeli klasy wykształcone a zwykle nieobeznane, jakby należało, z własnym językiem.“ (§ 531.

Dr. Rzepecki nie twierdził nigdzie, że wymawianie *á* pochylonego jako *o* nie jest prowincjonalizmem, że nie jest skążeniem, lecz chyba, że nie jest wyłącznym wielkopolskim prowincjonalizmem. Twierdził on: że „różnica tych dwu *a* w większej części siedzib lechickiego plemienia jeszcze dotąd w żywej mowie istnieje, i to nie tylko u ludu prostego; że wyjąwszy najwyższe co do wykształcenia warstwy, które poczucie tych dwu *a* mimowolnie zatraciły lub dobrowolnie przytłumiły, większą część nawet wykształconych má dwie mowy, jedną na codzień i w życiu domowym, drugą, że się tak wyrazim, odświętną, do salonu.“ (cf. Ośw. 133.)

Nie powiedział tu nic więcéj, jak, że w żywej mowie jest *á* pochylone i to nie w granicach jedynie Wielkopolski; a o tym miał się sposobność przekonać „z kosztorem w rękę przechodząc Polskę wzdłuż i wszérsz,“ choć nie w celu „propagowania *á* pochylonego“, gdy takiéj propagandy nie ma potrzeby. Nie powiedział, że ludowe wymawianie *á* pochylonego jest prawowite, kiedy się wyraził, prawda, że nie dość jasno: „Te dwie mowy (odświętna i codzienna) różnią się od siebie między jinnymi, mniej lub więcéj właściwym rozróżnianiem *á* pochylonego.“

Gdyby atoli był nawet i tak twierdził: to nie mógłby zań odpowiadać ks. Malinowski, który wyraźnie wymawianie *á* pochylonego jako *o* zowie prowincjonalizmem, który dobitnie oznacza wymawianie jego prawowite.

Czemuz o tym nie wie Dr. Cegielski? Czyż mu nie należało się dowiedzieć, co twierdzi ks. Malinowski, nim się porwał jego zasadę potępić?

Nauka ks. Malinowskiego o *á* pochylonym ta jest:

Pochylone *á* zowie Mroziński prowincyalizmem wielkopolskim. Niesłusznie: co bowiem w piśmiennéj mowie odróżniano troskliwie przez trzy wieki, bo od Parkosza, który *á* pochylone oznaczał przez dwa *aa*, a więc od r. 1440 aż do r. 1771, w którym OO. Jezujici wydrukowali w Wrocławiu Pismo św. tłumaczenia Wujka z różnicą *á* pochylonego od *a* otwartego, nie może się nazywać prowincyalizmem. (cf. Roczniki. T. II. str. 46.)

Prowincyalizmem ludowym jest wymawianie ściśnionego *á* przez samogłoskę *o*, jakoto: ptok, loto, robok, pon; aleć Kopczyński, który dowodził potrzeby kréskowania pochylonego *á*, tego prowincyalizmu nie zalecał. (str. 47.)

Dopóki wyższe warstwy nie nawykły do francuzkiej fonetyki, w której są rozmaite odcienia *o* (*o*, *au*, *eau*), takóž na *e* (*é*, *è*, *ê*, *ei*, *ai*, *eu*, *oeu*), lecz tylko jedno *a*, dopóty wymawiali ukształceni Polacy nietylko Wielkopole, ale i Małopole samogłoskę ściśnioną *á* brzmieniem hebrajskiego *kamez*, otwarte zaś brzmieniem *patach*, jak to poświadcza właściwy sędzią i znawcą, najpiérwszy nasz grammatyk *Piotr Stojęński*. (str. 47.)

Wszystkie polskie samogłoski wymawiają się krótko, ostro i dobitnie, jak niemieckie samogłoski przed podwójnemi samogłoskami. Otwarte *a* tak jak w: *malt*, *kann*, *Lamm*; *á* pochylone jak w *Ahn*, *Bahn*, *Aar*, tylko bez przeciągania, ostro. (str. 41.)

Lecz mniejszaby to było o fonetyczne rozróżnianie dwu *a*; gdyby takowe szkodliwie nie oddziaływało na umiejętność ojczystego języka i gdyby zaniedbanie téj różnicy nie otwierało szérókich wrót do coráz więszego każenia polszczyzny.

Umiejętną podstawą tego rozróżniania jest ta niczym niezaprzeczóna prawda, że *a* otwarte czyli proste jest zawsze piérwotne, *á* zaś ściśnione czyli pochylone jest zawsze pochodne, powstałe albo przez stopniowanie piérwotnego *a*, albo przez kontrakcyję w jedną gloskę, dwu samoglosek — s których jedna była piérwotnym *a* (str. 48).

Bez tego etymologicznego, gramatycznego, choćby już nie fonetycznego rozróżniania dwu *a*, umiejętnej podstawy deklinacyji i konjugacyji zrozumieć ani sobie wyjaśnić nie można. (str. 30 i 48.)

S przedstawienia tego nauki ks. Malinowskiego co do *á* pochylonego wypadá oczywiście:

Chociażby *á* pochylonemu, które Ojcowie nasi wedle świadectwa Stojeńskiego wymawiali inaczej, aniżeli lud nasz wielkopolski, bo przez *a* głębokie, jak hebrejskie *kamez*, (może podobnie jak Rosyjanie wymawiają *o* nieakcentowane w goworcie, owies — wym: gáworzyć, áwies), już nie można w życiu powszednim klas wykształconych wrócić właściwego mu brzmienia, jak to utrzymywał Mroziński: wszelako, co najmniej, potrzeba by je oznaczać w słownikach i w gramatykach, s powodu że rozróżnianie dwu *a* má i praktyczną doniosłość i niepoślednią wartość umiejętną w języku naszym.

Na ten dwójki pożytek i w praktyce i w teoryji wielokrotnie zwracać będę uwagę, podając wedle Głosowni ks. Malinowskiego, łaskawie mi dla studyum udzielonej, reguły na rozróżnienie *á* pochylonego od *a* otwartego.

Pochylone *á* jest zawsze pochodne, i jak jinne pochylone, tak i ono zastępuje dawniejszą długą samogłoskę *a*. (cf. Małecki § 22). Te dwie właściwości trzeba mieć na pamięci, chcąc wykryć i ściśle odróżnić *á* pochylone od *a* otwartego.

Będzie więc pochylonym *á*:

- 1, s kontrakcyi,
- 2, ze stopniowaniami,
- 3, jako niegdyś długie s powodu wyrzutni jakiegokolwiek głoski wyrazu,
- 4, jako długie niegdyś s powodu zakrywającej spółgłoski słabej lub płynnej, albo téż i mocnej z następującym pogłosowym *k*.

1. A. Kontrahowane *á* w przymiotnikach.

Przymiotniki w polszczyźnie dawniej miały formy rzeczownikowe. Przymiotnik w rodzaju męzkim był w Mianowniku tak jak rzeczowniki bez końcówki rodzajowej jak w *chłop*; w żeńskim z końcówką *a* otwartym, jak w *ryba*; w nijakim otrzymywał *o* po twardych spółgłoskach, jak w *koło*, *e* po miękkich jak w *pole*. (W Łużyckim dotąd; nasze *pole*, a więc np. *dóbr, dobra, dobre, tań, tania, tanie*. W następnych przypadkach końcówki skłonnikowe przybierał te co rzeczowniki (cf. przykłady u Małeckiego § 251—262). Później przymiotników poczęto używać z artykułem, ale stawionym nie przed nimi, lecz po nich; a pierwotne końcówki skłonnikowe przymiotników ściągano s końcówkami zajmka wskazującego *j(i), ja, je*, (za dzisiejsze nasze: *on, ona, ono*),

wytrącając w tym celu spółgłoskę *j*. S tego ściągnięcia*) powstały nowe formy przymiotników w Mianowniku na rodzaj męzki s końcówką *y*, (w którym *ji* wyjątkowo straciło jotacyją i przeszło w czyste *i*, i dla tego téż nie miękczy poprzedzającej spółgłoski, na rodzaj żeński *á* pochylone dlá kontrakcyi z *aja*; na rodzaj nijaki *e*, ale już nie tylko po miękkich, lecz i po twardych spółgłoskach, które to *e*, że powstało z kontrak. z *oje*, nie ma władzy miękczenia.

Jest więc *á* pochylone w przymiotnikach rodz. żeńskiego skonstruowanych (Biernik *a*, dobrá, taniá, którą)

Za to pierwotne *a* pozostało w tych niewielu, które nie przybrały zajmka *ji*, jak moja, twoja, swoja, nasza, wasza, owa, bo w rodz. męzkim bez *y* mój, nasz, ów; wszytka, bo w rodz. nijak. wszystko. (Biernik moję, naszą, wszytkę.

Gdy pierwotne formy, niezłożone moja, twoja, swoja, ściągają, na wzór jinnych złożonych, oja na *á*, jest i ono wtedy pochylone, a więc má, twá, swá (Biernik mą, twą, swą) cf. ks. Mal. Roczn. Tom I. str. 68 T. II. str. 50. Małeckie § 266—268; Przyborowski w programie poznańskim z r. 1861).

1. B. á ściągnięte w rzeczownikach r. ż.

a, Podobnie rzeczowniki: *wolá, swáwólá, dolá, rolá*, (rola s fr. rôle má *a* otwarte, w Bier. *e*.) *braciá, stajniá, rękojmiá, karmiá*, są dowodnie ściągnięte s pełnych form starosłowiańskich: *wolijá, roljía, bracijá* (ross. brat'ija).

b, Zapewne ściągnięte są rzeczowniki: *głębiá, zobia, karmiá, woniá, suszá* (przysłowie: uciekł z duszą na suszą), gdyż dziś jeszcze dopuszczają zmiany w końcówce, i występują w uciętych apakopowanych formach, jak *zob, woń* itd.

*) Dr. Cegielski nie uznaje ściągnięć za przyczynę nowéj deklinacyi przymiotników, tak zwanej zajmkowej, a więc w konstruowaniu s końcówkami zajmka *j(i)*, *ja*, *je*; lecz raczej i zajmków i przymiotników końcówki mają być skutkiem jakiego rozciągnięcia, czego, przyznám się, wcale nie rozumiem. Końcówki zaś te i w zajmkach i w przymiotnikach miały powstać równocześnie, s czego byłyby ten tylko wniosek: że albo, dopóki nie poczęto zarzucać rzeczownikowej deklinacyi, (wyłącznie w jinnych językach i w łacinie używanéj), a nie poczęto rozciągać na tak zwaną zajmkową, wcale zajmków nie było; albo że przynajmniej zajmki wcale się nie odmieniały; albo że téż wpiérw jinną miały deklinacyją. Wszystko to przypuszczenia dowolne, w części niedorzeczne, w części niczym nie poparte, ani uzasadnione.

c, albo przez analogiją do rzeczowników, jak *rolá, wolá*, albo że téż pierwotnie miały końcówkę; ija, mają *á* pochylone rzeczowniki żeńskie, w których przed *a* rodzajowym stoją dwie spółgłoski mogące się złąć w jedną zgłoskę, albo obie zmiękzone, albo pierwsza twarda, a druga zmiękczona, albo *cz, rz*, (w których to podniebiennych słycać odgłos *t i r*, gdy to są głosowoszumiające spółgłoski) np. *groblá, szlá, mszá*, (ściagnione zresztą z *missa*), *mrzá, kuźniá, wyobraźniá, studniá, tarczá, puszczá, pieczá, burzá, wieczarzá*. (Rocz. T. I. 69).

d, wszystkie cudzoziemskie na *yjá* i *ijá* miały już u Zygmunrowskich pisarzy *á* poch.; czy dla tego, że się odmieniały dawniej jako przymiotniki np. *Bononijéj, Maryjéj*, jak się domyślał Muczkowski (§ 11 i uwaga), czy dla tego, że akcent padał na trzecią od końca, a przez to wydaje się jakoby *j* bezpośrednio po spółgłosce następowało, i nastąpiła kontrakcyjá jak utrzymuje Małecki (§ 183) i ks. Mał. (Rocz. T. I. 69); czy dla analogiji z *já* (*eam, onę*), który zajimek zachował starosłowiańskie i staropolskie *a*, jak twierdzi téż ks. M. (R. T. I. 69); czy że wielką część obcych np. *komissyjá, porcyjá* má w polskim końcówkę *yjá* *ijá* z przemiany łąć *io*, które oczywiście stósowniej zastąpić przez *á* pochylone niż przez *a* otwarte, jak to w Głosowni swój ks. M. wzmiankuje: o tym rozstrzygać nie podobno.

Praktyczną doniosłość miałoby tu oznaczenie we wszystkich powyższych formach *á* pochylonego. Wedle zasady bowiem ogólnej, jż nosowe *m, n*, jedynie z pochylonymi samogłoskami zlewają się w *a*: mają tak rzeczowniki jak i przymiotniki, z *á* pochylonym w Mianowniku wszystkie *a* w Bierniku*) jak to podaje Schtochel, Żochowski (§ 88 I) a najdokładniej Muczkowski §§ 114, 2, i 117, 2, a od której zasady niesłusznie, błędnie, odstąpili jinni, jak Suchorowski, Łazowski, a nawet po części Suchecki (w gram. r. 49 wydanéj), a na ostatku przez pół i Małecki (§ 183.)

Uw. Apokopowane formy: *pani, gospodyni, łani*, z dłuższych

*) Nie od rzeczy będzie uwaga, że gdzie wykształceni kończą Biernik na *a* lud używá zgłoski *om*; gdzie zaś wykształceni używają *ę*, tam lud *e* nie nosowego. Pierwszą ludową formą *om* powstała z dodania końcówki *m* do *á* pochylonego wymawianego przez lud jako *o*; zachowaną tu pierwotną formą, że nie má zwykłej gdzieindziej wokalizacyji. Drugą formą na *e* powstała przez zamianę nosowej *ę* na *e*, podobnie jak w staréj polszczyźnie odmieniono pierwotny Dopełniacz ziemię na *ziemie*, a ten jeszcze na *ziemi*. (cf. Mał. uwagę do § 180).

panija gospodynija, łanija, mają w Bierniku *a* nie *e*; bo nie tworzą tego przypadku przez dodanie końcówki *m* do uciętych form (a więc *pani-m*, co by zwokalizowane dało *panię*), lecz do całkowitych (tak jak *serdeczny* nie od *serce*, lecz *pięrwotnego serdce*). A tak s *pani-ja-m*, *pani-ję* powstało przez kontrakcyję cięższe *a*: *panią, gospodynią, łanią*. (Rocz. T. II. str. 52.)

1. C. *á* ściągnięte w rzeczownikach rodz. nijak.

a, Rzeczowniki słowne na nie i cie są skontrahowanymi formami i dla tego we formach skłonnikowych mają *á* pochylone: np. *przykázaniá* za *przykázanija* (cf. téż Mał. § 22) *widzeniá* za *widzenija*, *czuciá* za *czucija*.

b, w zbiorowych rzeczownikach nijakiego rodzaju, pochodnych urobionych za pomocą samych pogłosów bez przyjímka na początku, jest *á* pochyl. np. *kwieciá* (*kwiecie* od *kwiát*) *liściá* (*liście* od stpl. *list*) *korzeniá* (*korzenie* od *korzeń*) *śmiecíá* (*śmiecie* — *śmieść*) *ścierniá* (*ściernie* od *ścierni*); *horodziszczá* (*horod, gród*) *zgliszczá* (*żglić*).

c, Takóž w rzecz. pochodnych nijakich złożonych s przyjímków np. *przymierze, przymierzá*, (od *mir*—*pokój*) *zárzécze* (*rzeka*) *międzymorzá*, *zaporozá* (*progi*—*porohy*) *wzgórzá*, *poddaszá* (cf. przykłady u Muczkowskiego. § 81—2,3,4.)

Że te wszystkie rzeczowniki pochodne mają miękkie ostatnie spółgłoski tematowe, choć nawet w pierwotnych były one twarde widać s tego, iż końcowe *e* jest jotowane; że mają w Dopelnia-czu *á* pochylone, widoczną, że tu zaszła nawet kontrakcyjá, może z *i*je.

To oznaczenie *á* pochylonego nie má praktycznéj doniosłości; za to umiejętną wartość, już że etymologiją wskazuje, już též że rzucá nám światło na odpowiednie formy starosłowiańskie pełne, jak: *miłosierdija, miłowanija, przimorzija*; że wyjáśniá nám powstanie i długiego w tychże rzeczownikach w języku praktycznym czeskim np. *miłosierdí, miłování, kvení, konání*. —

1. D. *á* ściągnięte w słowach.

a, W formach osobowych czasu teraźniejszego z wyjątkiem trzeciéj osoby l. m. (w której nigdy ani ściągnięciá, ani wyrzutni spółki być nie może), w słowach wedle Małeckiego klasy V. rzędu lgo ściągá się ostatnie *a* tematu ze spółką *o* lub *e*

w *á* pochylone np. *wolám* za *wołaję* a to za *woła-j-om*. (Roczn. T. II. str. 84) *j* się wyrzuciło, ażeby mogła nastąpić kontrakcyjá *mám*, *máš*, *má*; nie ma w znaczeniu franc. il n'y a pas *má* otwarte *a*.

Są te słowa tak samo kontrahowane, jak zakończone na *e* (jat') *smiém* i *umiém* (cf. Mał. § 371) (§ 373), które oba należą do téjże co *kochać* I. konjugacyji ściąganej wedle ks. Malinowskiego, które zaś Małecki mniej właściwie rozłączył, umieszczając *smiéc* do I kl. 8 gromady umieć do kl. III. W 3 osobie l. m. w której zachowuje się spółka nieskontrahowana, jest téż *a* zawsze otwarte np. *kochają*, *znają*, *mają*. (cf. Małecki § 371, 391. W starosłowiańskim, a nawet w staropolskim były nieskontrahowane formy zwyczajne.

Wielkiej wagi rozróżnianie tego *á* pochylonego w słowach kontrahowanych jest dla gramatyków, żeby jéj nie poczytali za rodzaj spółki, jak to uczynił Muczkowski. W §. 218. swéj gramatyki pisze on: „W czasowaniu słów podobnie jak w spadkowaniu imion uważać należy na głoskę przybierającą, oraz na względne. I tak w słowach *kochać*, *wołać*, *pytać*, *grozić*, *mówić*, *mnożyć*, *straszyć*, *pisać*, *grodzić*, głoski *ch*, *ź*, *t*, *z* itd. są przybierającemi,” (techniczna Mrozińskiego nazwa na ostatnią głoskę tematu). Czyżby był mógł wziąć *ch* za przybierającą, *a* za względną, czyli spółkę w słowie *kochać*, podobnie jak *i* w *grozić*, gdyby był rozróżnił dwa *a* w piśmie, gdyby tu był oznaczał *á* pochylone? Nie — boć pochodnej, dłuższej samogłoski nie byłby wziął za spółkę; byłby zaraz wpadł na to spostrzeżenie, że ona s kontrakcyji powstała, że w niej tkwi samogłoska tematu.

Wielkiej wagi jest to rozróżnianie *á* pochylonego dla gramatyków, żeby jéj nie poczytali za jedno ze samogłoską spojkową *i*, obie tematowe biorąc np. w *golić*, jak to uczynił Żochowski. W §. 175., 176. swéj gramatyki (z r. 1852) porównawszy co do znaczenia spółkę *i* w *golić* s tematowym *a* słów kontrahowanych wymyśla dowcipne teoryje o cechowych słowach t. j. „których cecha (samogłoska tematowa) wyrzuca z końcówek osobowych samogłoski czyste, a w nowych czyni niekiedy odmianę, już to wydobywając z nich wyraźne brzmienie spółgłoskowe, już téż znowu oddzielając się od nich podręcznym *j*. „Niepotrzebne i nie nie wyjaśniające ani stałej nie podające normy, wszystkie te reguły upadną natychmiast, jak tylko *á* pochylone oznaczymy w słowach z tematem na *a*, przez co się uwidoczni, że to *a* nie będąc pierwotnym, powstało s kontrakcyji, że więc *i* *m*, skonsonantyzowane

z nosowój *ę* pierwszej osoby I. poj., jest skutkiem téjże kontrakcyi; że jako takie ciężkie, pochodne *á* nie má i nie może mieć żadnego związku z wiotkim *i*, które całkim ginie np. w trybie rozkazującym, a więc tylko spójką być może; że tym mniej może wraz z nią wątek podać gramatykowi do osnowania jakichś wspólnych dla nich reguł i prawideł.

b, Jak słowa z ostatnią tematową *a*, mają to *á* pochylone w czasie teraźniejszym, że się kontrahuje ze spójką *o* lub *e*; w Imiesłowie zaś na *ť* i w trybie bezokolicznym mają *a* otwarte, że końcówki bezpośrednio przyjmują do *a* pierwotnego a więc otwartego, nie pochodnego, a więc i nie pochylonego: tak przeciwnie słowa inne właśnie w trybie bezokol. i w Imiesłowie na *ť*, mają ciemne *á* pochodne, pochylone.

Są to słowa:

1) należące do Małeckiego klasy III. gromady drugiej (cf. §. 387.) a do ks. Malinowskiego *) III. konjugacyji drugiego rzędu *báć* i *stać* ściągnięte s pełniejszych od dawnych pisanych, dziś jeszcze od ludu używanych form *bojeć* i *stojeć*. Samogłoska *i*, która w czasie teraźn. występuje, zestopniowała się w *jať* **), brzmiące jako *a* przed *ť* jimiesłowu, jako *e* przed *ć* trybu bezokolicznego. Samogłoska tematowa *o* skontrahowała się z *jať*, (w którym jest zawsze *a* zawarte), w pierwotnie długie *á*, dziś pochylone.

2) należące do Małeckiego klasy I. ósmej gromady (cf. §. 378), do ks. Malinowskiego dwutematowej II. konjugacyji (z drugim tematem na *a*) 1. szeregu, których pierwszy temat kończy

*) Co do konjugacyji słowa w dziedzinie słowiańskich języków wszyscy przejęli teorię Dobrowskiego. I Mikołosiecz i Małecki (cf. Tygodnik ilustr. Nr. 425 z roku 67), który tryby bezokoliczne *móc*, *bieć* przyjął od Mikołosicza, przeciw czemu występuje ks. M. w Rocz. T. I. str. 38—45) rozwinęli myśl Dobrowskiego. Ks. Malinowski także na systemie Dobrowskiego oparty, podaje osobną swą teorię konjugacyji, której lekuchny zarys w Rocz. T. II. str. 83—85. Jego wykład najprostszy.

**) Pierwszy z gramatyków polskich Małecki wprowadził tę samogłoskę do umiejętności języka, oznaczając ją postacią *ě* (cf. §. 19). Jest ona etymologiczną dwugłoską, jak ją też Mał. zowie (§. 14.), bo powstała z przedstawienia *a* przed *i*. „Starosłowiańskie to *jať* odpowiada etymologicznie sanskrypto-grecko-gocko-litewskiemu *ai* i łacińskiemu *ae*. Brzmiało w naszym języku przed zębowymi, twardymi spółgłoskami i płynną *ť* jak *a* np. świat, światło, las, umiał; przed wargowymi zaś i gardłowymi i wszelkimi zmiekczonymi jak *e* np. chleb, wielk, brzeg, w świetle, w lesie, umieli, ba-bie, nodze.“ (Rocz. T. II. str. 83).

się na *e* (jat', gdyż wogóle żadnego słowa polskiego temat nie kończy się na inne *e*, jak tylko jat'. Roczn. T. II. str. 84) jako to: *ląc, siąc, śmiąc się, dziąc, grząc* itp.

Słowa te w trybie bezokolicznym i w jimiesłowie przybrawszy *a*, kontrahują je z *e* (jat') tematowym w pochylone *á*.

Praktyczną wartość miałoby tutaj rozróżnianie *á* pochylonego, że się, jako pierwotnie długie w odmianie jimiesłowu nigdy nie może przemieniać w *e*, jak w jinnych słowach, mających w jimiesłowie jat' np. *cierpiał, cierpieł*. Tu zawsze: *láli, grzáli, śmiáli* (od śmieję — śmiać się, kiedy śmieli od śmiem, śmieć) *chwiáli* się i t. d.

Uwaga. Za takie kontrahowanie *á*, możnaby mieć we wyrazie *Ján* za Joan(-es).

2. *á* pochylone powstałe ze stopniowania.

Pochylone *á* s kontrakcyi, o jakiejśmy już mówili, powstało ze ściągnięcia samogłosek, s których jedne były tematowe, drugie spółkowe, a więc żadne z nich nie były dowolnie wsuwnne.

Lecz powstaje ono także ze wsuwnego *a* przed samogłoskami tematu, które się doń upodabniają, przez co powstają dwa *aa*, a potem zlewają się w jedno *á* pochylone. To więc już nie zwyczajna kontrakcja, lecz stopniowanie w *á* pochylone. *)

*) Jak o starosłowiańskim jat', tak i o stopniowaniu samogłosek pierwszy u nas z grammatyków za przywodem Mikłosicza mówi Małeckci (ż. 30—35) co jest nie pospolitą jego zasługą, bo wniósł nowe światło w dziedzinę umiejętności języka ojczystego.

Stopniowanie to ma swą fizyologiczną podstawę we względnej, nierównej ciężkości głosów. (Ciężkość nie jest to samo, co donośność, dobitność, lecz tęgość, miazszość, że się tak wyrażę, głosu. Ks. M. przyrównanie daje z gry na instrumencie: że s pojedynczej struny głos może być donośniejszy — wyższy; ale z dwu razem będzie tęższy, jakoby gęstszy). I tak cięższą jest każda samogłoska od spółgłoski; zgłoska, od samogłoski pojedynczej; zgłoska zakryta t. j. zakończona na spółgłoskę od odkrytej czyli zakończonej samogłoską; zgłoski odkryte s twardą poprzednią spółgłoską cięższe od zgłosek ze zmiękczonej spółgłoską, czyli co za jedno z jotowaną samogłoską. Samogłoski pomiędzy sobą różnią się stopniem ciężkości: i tak najcięższą w słowiańskich językach nosową każdą, bo pierwotnie była zgłoską zakrytą, która się zwokalizowała w nosowe *a*, lub *ę*; potem najgłębsze *u*; dalej *a*; pomiędzy najpierwotniejszym *a*, a również pierwotną lecz najwątliwszą *i* jako też *y*, stoi w pośrodku najpierw o bliższe *a*, potem *e* bliższe *i*. Każdą pochyloną samogłoską, że pierwotnie była długą, jest oczywiście dłuższą od otwartej sobie odpowiedniej; a więc *á* od *a*; *ó* od *o*; *é* od *e*.

S takiego zestopniowania powstało *á* pochylone:

a) *z* : *o*

b) *z* : *u*

a) W słowotwórstwie nierzadkie jest stopniowanie *o* na *á*. Do wsuwnego *a* assimiluje się *o*, skąd powstaje *á* pochylone np. staropol. brona nasze bráma (za braoma z wymianą *n* na *m*), táczac, táki, táczki (od toczyć), obáczyć (za oboczyć od oko), skákam (od skok) (cf. Mał. §. 32, 3). Najpowszechniej wśród tematów pochodne to *á* urobiło się w słowach częstotliwych przez zestopniowanie z *o*, (*i*), *o*, *oj* np. od: lot, mog, gon, ród, bod, rob, poj, zbroj urabia się: látać (za laotać), pomagać, gániać, wyrádzac, ubádać, napájać, uzbrájać, (cf. Mał. §. 513). Temata częstotliwe urobione od mających *a* jasne, otwarte, nie stopniują go nigdy: odpowiada ono bowiem sanskryckiemu *a* długiemu (cf. Mał. §. 32. uwaga).

Praktyczną wartość miałyby tu oznaczanie *á* pochylonego: że dopomagałoby przedewszystkim cudzoziemcom do rozróżniania całkiem podobnych słów, choć z jinnych pierwiastków urobionych. Tak co jinnego: przygániám, (gonię), a przyganiám, (ganię); odrádzám (rodzę), a odradzám (radzę), przebádám (bode), a przebadám (badám) i t. p. Czyż nie dla takiego rozróżniania, akcentuje Włoch wiele wyrazów swoich: jak np. *chè* albowiem (*che* — że), *là* tam, (*la* — artykuł *ż*;) *nè* ani (*ne* — o tym), *sì* tak, (*si* — się), *sè* się, (*se* — jeżeli).*)

Czemużbyśmy i my nie mieli takiego mieć ułatwienia?

b) Samogłoska *u* stopniuje się w dwójki *ow* lub *áw*. Wsuwne to *a* przed *u* zestopniowanym w spółgłoskę *w* jest pochylone np. od pierwiastku *słu* pochodzą słowo i słáwa; od *tru* — tráwa, trawię. I samogłoska *y* stopniuje się na: *áw*, dla tego, że jest właściwie zesłabionym *u*; a więc wpiérw się stopniuje na *u*, potem na dwójkę *áw*, jako to: pły za płu ma pláwić; *być* (*but'i*), zabáwić, (cf. Mał. §. 32, 2).

Przemiana z lżejszej w cięższą np. *i* w *e* (*jať*), *a* (*jať*) jak świt, świat świecić, nazywá się stopniowaniem postępowym; przemiana cięższej w lżejszą np. *ju* w *ji*, jak polskie lud w czeskie lid; *n* w *y* jak słych w slych, zowie się stopniowaniem wstecznym. Małecki jedno nazywa postąpieniem, drugie zejściem cz. zesłabieniem samogłoski.

*) Niektóre wyrazy w odkrytych zgłoskach mają *á* pochylone, którego przyczyny nie zawsze można odszukać. Ale porównawczą gramatyka i co do tego wyjaśnia niejedno. I tak pochylone *á* polskie odpowiada nieraz litewskiemu *o*, jakoto: gádać (zgadywać) lit. goda-n, goditi; krásić, kraišny — lit. krosižu, krositi; wábie lit. wobiti; práca lit. proce.

Uw. Starzy Polacy tak jak lud dotąd, pochylali spółkę *a* łączącą pogłos *k*, s tematem np. *pt-á-k*, *brod-á-cz*, zapewne dla odróżnienia od *a* pierwiastkowego jak np. we wyrazach *rak*, *mak*, *taki*, *jaki*, *jednaki*, *czworaki*. Przed poglosem cz jest *á* poch. gdy się łączy s tematem jimionowym np. *bogácz*, *rogácz*, *psirokácz*; jest *a* otwarte, gdy się łączy s tematem słownym np. *tkacz*, *rzbacz*, *dopełniacz*.

Oznaczanie tu *á* pochylonego miałoby umiejętną watość, że zachowywałoby etymologiją, rodowód, co w naszój pisowni nie jak grecka fonetycznej, lecz przeważnie etymologicznej rzeczą weale nie poślednią.

3, *á* pochylone wskutek wyrzutni gloski.

Gdzie jaká gloska wypadła, tam *á* jest pochylone. W stopniu najwyższym nagłos *ná* miał u Zygmuntońskich pisarzy *á* pochylone, bo tam wypadło *d* (*ná* za *nad*): nálepszy za nálepszy, co my dziś wymawiamy nájlępszy. Zajimek osobisty *já má á* pochylone, bo brzmiał dáwnięj *jaz* (cf. Mał. § 219. Suchecki Budowa str. 16). Słowo *dám*, jeżeli go nie będziem s ks. Malinowskiem uważali za skontrahowane z *da-ję*, lecz raczěj za powstałe przez wyrzutnię *d* z reduplikowanego tematu występującego w 3 osob. l. m.: *dadzą*, mieć będzie téż *á* pochylone dlá takiej samėj wyrzutni, jak drugie dwa słowa bezspółkowe *wiém*, *jém* (za *wied-m*, *jed-m*) (§ 397.)

Dopełniacze l. m. rzeczowników żeńskich i nijakich, chociaż temata mają zakończone na spółgłoskę mocną, mają *á* pochylone wskutek odrzucenia końcówki *ów*, np. *strata* — *strát*, *oplata* — *oplát*, tak jak *cnota* — *cnót*.

Umiejętną wartość miałoby tu oznaczenie *á* pochylonego, tę, aby zachować etymologiją; z jakiego to względu Francuz pisze swoje *île* (za *isle*) *tête* (włoskie *testa*), *l'âne* (z łac. *asinus*); z jakiego Włoch pisze: *carità*, *pietà*, *virtù*, *piè* gdy jich używá zamiast starszych form: *caridade*, *pietade*, *virtude*, *piede* itp.

4, *á* pochylone wskutek zakrywającej spółgłoski.

Spółgłoski płynne i słabe, zakrywające końcowe *a*, pochylają je np. *báb*, *gráb*, *scháb*, *dár*, *kráj*, *cesárz*. Jest to prawidło to samo, dlá którego pochylają się i *a* i *e*, (cf. Mał. § 74 i 76). Nawet nosowe, które w dawněj polszczyźnie pochylały wszystkie samogłoski (M. § 75) wywierają wpływ na *a*, a więc *pán*, choć *sen* (z *e* otwartym); *sám*, choć *dom* (z *o* otwart.)

W środku tematów pochylá *w* poprzednie *a*, jak np. w wyrazie *práwda*; takóž spółgłoska słabá przed *szy* jak *siádszy*.

Od prawidła, że wróć samogłoska otwartą, gdy spółgłoska zakrywającą przechodzi do następnej zgłoski, odstępują pozornie czasy przeszłe utworzone z jímiesłowu na *ł* przez dodanie skróconego słowa posiłkowego *jeśm*: *kochátł-jeśm*, *kochálem*. Chociaż *ł* przechodzi do następnej zgłoski, nie ustępuje pochyłone *á* s powodu, że to *e*, s którym się łączy *ł* jest zastępcze za starosłowiańskie *jor*, jakoby szwah hebrajskie. I dla tego jak mówimy, *wziąłem*, *niósłem*, a jednak *wzięta*, *niosta*; takóž pisać powinniśmy: *kochálem* z *á* pochyłonym, a znów *kochałam* z *á* otwartym.

Że i to pochyłanie samogłosek jest poniekąd jich stopniowaniem, jak to Mikłosicz též uważa (w swéj porównawczej Głosowni języków słowiańskich str. 465. No. 10 — w Wiedniu wydanej r. 1862, w której piérwszy ze Słowian na stopniowanie samogłosek uwagę zwrócił): tym więcéj widoczną, że i tu znamienia nad *á* pochyłonym zaniedbywaćby nie trzeba dla uwidocznienia języka naszego konsekwencyj w zastosowaniu prawideł.

Uw. Nie od rzeczy będzie zwrócić uwagę na naturę *a* końcowego w obcych wyrazach. Powszechnie wyrazy obce, bardzo używane i nieodzowne w mowie, przybrały przez to cechę swojskości, już pochyliły *á* np. *pál* (Pfahl) *wál* (vallum), *cáp* (Zapfen) *pácierz* (pater-noster) *pára* (łać: par). Niektóre pochyliwszy to *a*, wokalizują je nawet, gdy po nim następuje nosowa jak zawsze pochyłone na *a*, jakoto *ład* (Land), *kát* (Komte) *mosiądz* (Messing) *węgórz* (lit. angaris) itd. Mniej przyswojone i późniéj od wyższych zwłászczá stánów przyjęte, zatrzymują europejskie *a* otwarte jak: *szach*, *mat*, *fant*, *galant*, *frant*, *szwank* itp.

Kto choć ten pobiežny wywód o *á* pochyłonym, na zasadach w Głosowni ks. Malinowskiego rozwiniętych, osnowany przeczytá z uwágą; nie powinienby się z łatwością zgodzić na zdanie prof. Małeckiego: (§ 812) że „z pomiędzy wszystkich samogłosek naszych jedno tylko *a* má w dzisiejszym stanie języka użycie tak ustalone i jednostajne, że ze strony ortografiji nie ma nic o niém do nadmienienia.“ Dr. Cegielski zaś má odpowiedź na swą uwagę, że „p. Rzepecki byłby w kłopotcie, gdyby miał oznaczyć wszędzie pochyłone *á*.“ Nie byłoby mu oczywista tak trudno, bo mógłby czerpać z nauki ks. Malinowskiego, który prawidła co do *á* pochyłonego dokłádnie zbadał. —

Ks. Malinowski dokonał, czego pragnął ks. Kopczyński, który na str. 207 swéj gramatyki pozgonnéj s powodu *á* pochyłone-

go tak mówi: „z zaczęciá przynáymniéy nás chwála: a o dokonaniu niech potomkowie pomysła.“

Na Dr. Cegielskiego uwagę, że nie można odcienia pomiędzy *á* pochylonym a otwartym do piśmiennéj mowy wprowadzać, gdyż większa część dawnéj Polski nie słyszała go nigdy, już tenże ks. Kopczyński (str. 206) odpowiedział, iż jistotnie „Litwa, Prusy, Ruś, Śląsk, a nakoniec Mazowsze, nie tak łatwo skłonić się dały do szerszego akcentu polskiego; „jednak ta „rozmaitość ludów w jeden naród polski wcielonych, a różne mówienia tony mających a to, albo z położenia siedlisk leśnych, górzystych, nadmorskich, co wszystko wpływa w akcent mowny“ — żeby „w praktyce akcenta polskie zachowywała,“ potrzeba tylko „opisania dokładnéj ich i zupełnéj teoryi.“ —

2. O przymiotników tak w r. męzkim jak nijakim zakończeniu Nárzędnika i Miejscownika l. p. na *im*, *ym*.

W piśmiennéj mowie używali pisarze nasi jedynéj tylko formy s końcówką *im*, *ym*, w Nárzędniku i Miejscowniku l. p. przymiotników tak w rodzaju męzkim jak nijakim, aż do Szylarskiego i Kopczyńskiego, którzy poczęli odróżniać w tych przypadkach rodzaj nijaki od męskiego. Dali się do postawienia błędnego takiego prawidła unieść chęcią usunięciá chwiejności, która jednak panowała nie w pisaniu przez *em* lub *ym* Nárzędnika przymiotników w rodz. nijakim lub męzkim, lecz raczéj Miejscownika, który tak w męzkim jak w nijakim rodzaju przymiotników pisał się w bardzo dawnych czasach z reguły przez *em* (cf. Mał. § 227).

Że zbłądzili Szylarski, Kopczyński: jasno to widział już Mroziński; wykazywał w przedmowie do słownika polsko-niemieckiego Mrongowiusz; udowodnili Sztochel (który historyczny wywód o tym zakończeniu dał bardzo obszerny), Żochowski, Suchecki, a nawet Deszkiewicz, którzy téż używają jedynie organicznych form na *ym*, *im*; wiedzieli dawniejszy Bandtkie, późniejszy Muczkowski (§ 159, 2 uwaga), którzy o dawniejszych formach organicznych wspominają, jako zgodnych s takimiż w starosłowiańskim i wszystkich pobratymczych językach; wie jak najdokładniéj i Małecki, który bardzo jasno genezę błędnego prawidła ks. Kopczyńskiego opowiada w (§ 227) swéj gramatyce.

Zgadzają się i Dr. Cegielski na to, że błędne to prawidło; czemuż za przywodem prof. Małeckiego bierze błąd w obronę?

Błędu tylko w obłądny sposób bronić można: tak też czynią prof. Małecki i Dr. Cegielski.

„Mylne w gruncie zalecenie Kopczyńskiego — mówi Małecki*) naród przyjął, rzecz przeszła w zwyczaj, jest obecnie faktem języka. Niepodobna burzyć tego, co się w czyn zamieniło.“ —

Teoryja ta czynów dokonanych, prawności faktu choćby najwięcej przeciwnego prawu, w dziedzinie polityki jest zgubną, bo wiedzie w przyszłość, pełną samych rujin, obalisk, przewrotów.

Jakoż zgubną byłaby ona i na polu umiejętności języka, gdyby ją tu zastosować można. Szczęście, że to ani podobną rzeczą. Język bowiem, jak przyrodzenie, nie może przyjmować praw od pojedynczego choćby najuczeńszego męża: má on swe prawa, którymi się rządzi s konieczności, má swą logikę naturalną, má swą wrodzoną sobie prawidłowość. Narzucić przeto prawo językowi, a raczej pewne formy, zjawiska językowe wytłomaczyć sobie przez przypuszczenie jakiego prawidła; i niechcieć już nigdy od téj reguły odstąpić: czyżby to nie było również nierozsądną, jak zjawiska jakieś w przyrodzeniu przez postawienie hipotezy starać się wyrozumieć, i, choć późniejsze badań błędność jej wykaza, upierać się przy niej, s powodu że takie rzeczy uważanie „przeszło w zwyczaj, że się stało faktem, — a faktu burzyć nie można“?

A jeżeli kto ani zjawiska językowego nie rozumiał, jak to o ks. Kopczyńskim samże Małecki powiada, jakoż jego hipotezę, jeszcze nadto jak najbłędniejszą, chcieć utrzymać, jakoby świętą prawdę jaką?

Przyjmuję i ja odmiany form w języku jako fakt dokonany, ale tylko wtedy, gdy one wynikły z naturalnej logiki samegoż języka, jeżeli je s czasem cały lud, cały naród poczynił. Tak, trudno nie uznać za fakt dokonany formy, *jestem* choć ta nieorganicznie utworzoną za starodawne (jeśm) (cf. Mał. § 339); formy, jak *ziemá* za starodawne *ziemię* i *ziemie*, powstałej przez odrzucenie nosowego pierwotnego *n*, a dalej przez przemianę *e* na *i* wskutek analogiji z rzeczownikami o twardej tematowej spółgłosce, mającymi końcówkę *y* n. p. *ryby* (§ 180); formy, jak *wo-*

*) Uwzględnić musim poglądy prof. Małeckiego s powodu, że Dr. Cegielski odsyła doń, aby się od niego uczyć sposobu traktowania rzeczy gramatycznych, jako nie wszystko w praktyce dobre, co takim się wyda w teoryji.

tem za pierwotne *wołom* przez analogiją z odmianą rzeczowników o miękkiej tematowej, mających tu *e* np. *ko niem* (§128); formy, jak *panami* za pierwotne *pany*, w *narodach* za *narodziech*, a więc s końcówkami, które służyły w stariej polszczyźnie tylko dla żeńskich (§§ 137, 138); i znów formy, jak *matkom* za pierwotne *matkám*, jak dotąd pobratymcy nasi mówią (§ 176).

Ale jakże uznać za uświęcone zwyczajem formy, narzucone przez błędzącego w rozumieniu zjawisk językowych badacza mowy, w które go wmawiano, że jest prawodawcą języka?

Porzucić nam koniecznie należy narzucone, błędne formy, choćby już tylko dla okazania pobratymcom naszym, którzy wszyscy zachowali formy naszym starodawnym podobne, organiczne; że nie jesteśmy bałwochwalcami lada teoryjki naszych uczonych; że nie przyzwaliśmy na skażenie języka, na wżarcie się choróbka w ciało organizmu mowy; że nie uważamy za rodzaj świętokradztwa leczenie zastarzałych wad językowych, że nie jesteśmy na polu języka konserwatystami w najgorszym tego słowa znaczeniu t. j. zachowcami tego co stare, że stare, choć to i złe i opaczne. —

Swój teoryjji faktu dokonanego na polu umiejętności języka nie jest zresztą sám Mał. bynajmniej wierny. I tak w § 177 swjej gramatyki powiada, iż „formy, jak usilnemi prośby, zamiast prośbami polegają na niewiadomości, że to zakończenie służy tylko męzkim i niejakiem rzeczownikom“, a nie każe jich uznawać za uprawnione jako fakt dokonany. W § 241 nazywa krzyczącym bezsenssem zwyczaj pisania temi końmi, i obala go rozumowaniem swoim. Co więc w §§ 95, 356, 825 uczy nowości dotąd niesłychanej, żeby tryby bezokoliczne słów z ostatnią tematową spółgłoską *g* kończyć na *e* zamiast, jak dotąd, na *dz*; wie, że „to żądanie obudzi ze wszech stron opozycją“, a jednak to go pobudza nie do ustąpienia zwyczajowi, lecz do postanowienia: „a zatem trzeba go dowieść.“

Jeżeli to udowodnienie „zasady języka polskiego, powszechnie ignorowanej, której odpowiadają pokrewne zjawiska we wszystkich narzeczach słowiańskich,“*) má obalić pradawny zwyczaj; jakoż tak świeżej daty, a tak dowodnie błędny zwyczaj, wprowa-

*) Wszyscy Słowianie nie mogą wcale kończyć tak, jak my trybu bezokolicznego na *dz*, gdyż starosłowiański głoski nie zachowali ani w odmianach rzeczowników, mówiąc np. jak Czesci: noze zamiast jak my: nodze (Suchecki Budow. str. 27). O jile słuszne żądanie prof. Małeckiego, porównaj Roczniki T. I (str. 38—45).

dzony przez Kopczyńskiego, má mieć sankcyją, má być nie-naruszony; kiedy odstąpienie od niego byłoby nieczym jinym, jak wróceniem do naszej rodzimój starodawnój tradycyi językowej, tak zgodnej z dotychczasową teorią i praktyką u wszystkich po-bratymców naszych?

Ks. Kopczyński na taką prof. Małgo obronę dowodnie błędnego prawidła jego, s pewnościąby się nie zgodził. Wszakże to on bowiem potępił powoływanie się na sám zwyczaj i sám pro-stował błędy swe, gdy się przekonał, że uczył czegoś, co nie miało poparcia w formach języka Zygmunrowskich pisarzy.

Na str. 193 swój gramatyki pozgonnej mówi o czcicielach powszechnego zwyczaju: „Wielkie Kwintyliana zdanie: że nie liczba osób, ale zgodność ich z rozumem má powagę do naśladowania ciągnącą;“ i na str. 200: „Nie na wady osób uważać trzeba, ale na naturę, której prawa nieodmienne ktoś z ogołu narodu zachowuje;“ i na str. 16: „Nałóg u nich lubo odrodny od przodków(!) i niestateczny, jest prawodawcą mowy! Za Zygmunrowskich polskich prawdziwie wieków, wymawianie musiało być dobre: bo pisanie było dobre.“

Że pomimowolnie a raczej pomimowiednie odstąpił ks. Kopczyński od form Zygmunrowskich pisarzy, sądząc już tam, gdzie oni mu się wydali chwiejnymi, stateczność w języku zaprowadzi swym prawidłem: s pewnością téż nie byłby wdzięczny Dr. Cegielskiemu, który broni jego „wzniesionój i mocno dotąd stojącej budowy,“ żeby nikt do niej nie śmiał „niszczącej ręki przykładć“. Jakto? całą budowę jego już w gruzy rozwalono, a nawet i to, s czego sobie chwałę w potomności obiecywał (str. 207), teorią wznowioną przezeń o *á* pochylonym; a teraz upiérć się mamy, żeby błędy jego właśnie uwiecznić w języku naszym? Czyż to nie dał on nám przykładu, że sám umiał swych poglądów odstąpić, gdy „szpérając po starych księgach znalazł, że się coś tak pisze“? Na str. 83. wyraźnie powiada, że szpérając po starych księgach, odkrył różnicę między ukazującami a osobowemi zaimkami, i dla tego nową regułę pisze (przejętą później przez Żochowskiego — §. 133): „Zaimek ona w l. mn. gdy jest ukazujący z rzeczownikiem, pisze się one; gdy zaś jest osobisty bez rzeczownika, pisze się i mówi ony.“

Błędne prawidło ks. Kopczyńskiego nie má być „bez pewnych praktycznych dogodności“: więc i dla tego je zachować należy wedle prof. Mał.

Jakież te dogodności praktyczne? Czy że się rozróżnia w tych przypadkach rodzaj przymiotników męzki od nijakiego? Ależ na co to rozróżnianie u przymiotników, którego nie ma u rzeczowników, gdy mówimy w świecie i w święcie, światem i świętem? Na cóż to rozróżnianie u przymiotników w tych przypadkach, kiedy go nie ma w jinnych ubocznych skłonnikach (in casibus obliquis)? Kiedy mówimy dobrego ojca i dobrego dziecka, dobremu koniowi i dobremu kołu? (Roczn. T. I. str. 9).

„Rodzaj, jak słusznie Żochowski (w gramm. str. 57. V.) powiada, — poznajemy tylko z pierwszego spadku liczby pojedynczej; *) a popełniamy błąd przeciwko językowi, który nigdzie

*) Praktycznych dogodności z błędnej reguły ks. Kopczyńskiego nie można dopatrzeć w liczbie mnogiej przynajmniej wcale a wcale. I tu kazano rozróżniać końcówkę ymi i emi (a trzeba było podobnie rozróżniać ych i ech, chcąc być konsekwentnym); lecz gdzie ymi, a gdzie emi pisać, na to dotąd niema zgody. Ks. Kopczyński męzkie tylko osobowe kazał kończyć na ymi, zresztą wszystkie inne na emi; Muczowski (§. 159, 2) „przy rzeczownikach męzkich z mocnem zakończeniem na imi, ymi, przy wszystkich innych na emi;“ prof. Mał. (§§. 241, 816) przez ks. Kopczyńskiego czynioną różnicę pomiędzy tymi panami dobrymi, a temi końmi, temi dniami pięknymi *krzyczącym* (!) bezsenssem nazywa, s powodu, że co męzkie w l. poj. czy to żyjące czy nieżyjące, czy to zwierzęce, czy osobowe, nie może się stać (jak to dawniej rozumiano) w l. mn. nijakim. —

Z Małeckim trudno się zgodzić. Oczywiście, że co męzkie, to w naturze nie może odmieniać swojego rodzaju; ale *imię* jego może w pewnych razach w gramatyce tracić znamię męzkości. I tak powszechnie, tak w łacinie jak w greczyźnie rodzaj czy rzeczowników, czy przymiotników męzki i nijaki, poznaje się wyłącznie, ze skłonników wręcznych (casus recti), gdyż w ubocznych tracą znamię rodzajowe. W polszczyźnie w dzisiejszym stanie języka rodzaj męzki rozróżnia się jedynie w l. poj., gdyż i rzeczowniki i przymiotniki, nie oznaczające osób, przybierają w skłonnikach wręcznych (casus recti) formy żeńskie. Zamiast pierwotnych form ci krucy, wilcy, krajowie, koniowie, ptaszkowię leśni, chlebowie obietowani nastąpiły tak zwane przez Małeckiego (cf. §. 131) formy rzeczowne te kruki, (i za y cf. M. §. 27) wilki, kraje, konie, zupełnie tak jak te ryby, te łodzie, te banie. (Zajimek te żeński, za pierwotne ty, przeszedł nawet do rodzaju nijakiego, zamiast ta np. te koła cf. M. §. 239).

Że „w l. mn. język polski nie rozróżnia teraz rodzajów — jak Suchecki przynajmniej o rodzaju męzkim słusznie powiada, (cf. Budowa str. 54), ale dwa zawody: 1) zawód pospolity i 2) zawód znamienity;“ że zresztą nigdy w dawniej polszczyźnie nie rozróżniano rodzajów męzkiego i nijakiego w skłonnikach ubocznych (casus obliqui), tak jak różnicy tej nie czynią ani język starosłowiański, ani jinne pobratymcze słowiańskie

a nigdzie nie pochyła samogłoski *e* znajdującą się pod wpływem spółgłoski *m*. Z téj zasady wychodząc, przyjąłem końcówkę *ym*, im w rodzaju nijakim, mając za sobą i prawidło wysnute z ducha języka, i powagę pisarzy Zygmuntowskich. Od zarzutu, że błąd się popełnia przeciw językowi kréskując *é* przed *m*, nie może uwolnić uwaga Mrozińskiego: już tu *e* ze znamieniem się pisze, gdyż zastępuje *y*. Bo na cóż to zastępstwo, kiedy się bez niego obyć można, jak go nie znali pisarze nasi aż do Szylarskiego i Kopeczyńskiego?

Przymiotników, zwłaszcza rzeczownie użytych, narzędnik *r*. nijakiego trudno będzie odróżnić od celownika, gdy się będzie pisać przez *im*, *ym* zamiast przez *em*: zarzucą nam jako praktyczną niedogodność dawną, Zygmuntowskiej pisowni. Na to lekarstwa, odpowiemy, szukać przecież nie można w każeniu form prawowitych języka! Gdyby na takie dwuznaczności brać wzgląd, tobyśmy wiele musieli do szcztętu odmienić w mowie: bo wszakże i w rodzaju męzkim, tak narzędnik l. p., jak celownik l. mn. má téż formę: dobrym (a jakżeż tu dwuznaczności mechanicznie zaradzić?), dobrze jest dopełniaczem i celownikiem i miejscownikiem; dobrą jest biernikiem i narzędnikiem; dobra jest przymiotnik *r. ż. l. p.* i jest rzeczownik w l. mn; pani jest i dopełniaczem i celownikiem i miejscownikiem.

Jedyna rada na takie dwuznaczności jest wzgląd na kontekst, na całość, w jaką wpleciony wyraz jaki. Nájprędzej jeszcze powodem nieporozumienia móglby się stać narzędnik przymiotników w *r. nijakim rzeczownie użytych*, który dawni Polacy pisali takóż przez *ym*, (cf. Mucz. str. 88). Św. Pawła wyrzeczenie: „omnia omnibus factus sum,” gdyby kto chciał słownie tłomaczyć a pisać organicznie, brzmiałoby u nás: wszystkim stałem się wszystkim (za: dla wszystkich). Komu się taká pisowniá nie widzi, lepiej będzie: że trzymać się będzie prawidła Muczowskiego (§. 159) „aby w imionach przymiotnych *r. n. rzeczownie* wziętych np. mostowe, złe, dobre dla odróżnienia jich od przymiotników, w narzędniku i miejscowniku pisać *em* niekré-

języki, ani nawet stare, jak łaciński i grecki, choć tak bogate we formy: wniosek stąd oczywisty, że w Narzędniku l. mn. przymiotników albo trzeba pisać, jak Zygmuntowscy pisarze zawsze *ymi*, albo jak Deputacyja zalecała wszędzie *emi*, którą to formę uzasadnia (R. T. I. 25.) ks. Malinowski przez przypuszczenie stopniowania *y* na *e* dla zrównoważenia ciężkiego następnego *mi*.

skowane, a więc wszystkiem; aniżeli, żeby miał bałamutne
 prawidło ks. Kopczyńskiego co do przypadków w całości zatrzymać.
 Prawidło Muczkowskiego bowiem przymiotnikom rzeczow-
 nie użytym w tych dwóch skłonnikach wraca tylko starodawną
 rzeczoną deklinacją; przez co dostalibyśmy przymiotniki o po-
 dwójnej deklinacji, jak już mamy rzeczowniki, (jakoto sędzią),
 o rzeczownej razem i przymiotnej odmianie: prawidło ks. Ko-
 pczyńskiego co do niesłychanego w żadnym języku rozróżniania
 rodzajów w skłonnikach ubocznych, w narzędniku i miejscowniku,
 jest wprost każeniem języka, nadwężeniem jego wrodzonej logiki.

Dr. Cegielski „we względnem uznaniu słuszności zasady“ pi-
 sania końcówki Narzędnika i Miejscownika l. p. przymiotników
 tak r. męskiego, jak nijakiego przez ym, im, „musiał, jak po-
 wiadą, pokazać się nader wyrozumiałym, i tylko nie radzi się spie-
 szyć z jój praktycznem zastosowaniem, dopóki się prawda wszech-
 stronnie nie wyjaśni i powszechnego nie zyska uznania.“

Nie rozumiem, jak Dr. Cegielski może czekać „jeszcze“ wszech-
 stronniejszego prawdy wyjaśnienia i chwili, „dopóki na rezultaty
 ostatnich spostrzeżeń nie zgodzą się badacze“, kiedy dziś niema
 ani jednego badacza języka, któryby nie dowodził błędności za-
 sady ks. Kopczyńskiego. Nie rozumiem, jak można twierdzić,
 że *lis sub judice est*, że jeszcze sprawa nie rozstrzygnięta,
 i że dla tego z zárzuceniem pisowni ks. Kopczyńskiego wstrzy-
 mać się należy. Gdyby ktoś z umiejętnych powodów jój bronił,
 nie z jakichś praktycznych dogodności urojonych, jak to Małecki
 czyni: toby można powiedzieć, że „jeszcze ostatnie w tój mierze
 słowo nie jest wypowiedziane.“ Gdyby ktoś w miejscu pisowni
 ks. Kopczyńskiego jiną swego pomysłu podawał; a ten po-
 myśl nie był wypróbowany jeszcze: to możnaby żądać słusznie,
 żeby „w zastosowaniu podobnych coraz nowszych badań do prakty-
 cznej i powszechnej pisowni się nie spieszyć; żeby owszem zоста-
 wić czas naukowym badaniom do rozjaśnienia kwestyi spornych
 i ustalenia prawideł zasadniczych, bo narzucone gwałtem publi-
 czności i wprowadzone w praktyczne i powszechne zastosowanie,
 są przyczyną „okropnego zabałamucenia, podkopują słusznie za-
 ufanie ogółu do badań podobnych.“ Ależ tu nie ma co czekać,
 bo kwestyją bardzo jasną: ks. Kopczyńskiego odstąpienie od piso-
 wni pisarzy Zygmuntofskich, jedynie organicznej, normalnej, i do-
 tąd przez wszystkie używanej pobratymcze słowiańskie narody,

było błędem; więc obowiązkiem, oczywistą, zarzucać błąd, a wrócić do prawdy. Na co tu zwłoka?

Czy czekać, jak tego żąda Dr. Cegielski, i „niszczącej ręki nie przykładać do wzniezionej i mocno (to chyba przez jironią powiedziane) stojącej budowy Kopczyńskiego, dopóki rezultaty badań przez pisma i szkoły nie staną się powszechniejszą ogółu własnością?”

Żądanie to zawiera samo w sobie sprzeczność logiczną, więc jest bez wszelkiego znaczenia.

Nie wolno wywracać dzieła Kopczyńskiego: komu? Niepowiedziane. I znów przypuszcza się, że wywrócą je pisma i szkoły: więc tym wolno? A jakim prawem, jeżeli „mocno stoi budowa Kopczyńskiego?” Cóż to za żądanie, żeby ktoś w prywatnym życiu nie pisał wedle prawdziwych zasad, kiedy wolno to ma być pisarzom? i któż obowiązany wstrzymać się s przyjęciem prawdy tak długo, aż się spodoba ogółowi od pisarzy i ze szkół ją przejąć? Já piszę, jak sądzę, że jest najlepiej; a wolno każdemu sądzić, że tak, a nie jak on, piszę z nieuctwa! To mu wolno; lecz prawa nie má żądać, żebym się tak w pisowni, jak we wszelkich prawdach względnych, z nim zgadzał koniecznie, jeżeli mnie o prawdzie swój nie przekonał.

„Błędna świadomość różnicy rodzajów w pisowni ma wedle Dra. Cegielskiego mieć swe prawa i tak długo szanowaną ma być, dopóki w jój miejsce inna pewna i na prawdzie oparta świadomość nie będzie mogła wstąpić.“ Ależ nieprawdą, żeby „narod przyszedł do świadomości różnicy rodzajów w pisowni, choć błędnej,” żeby, jak to Małecki twierdzi: „wszyscy pisali i mówili tak,” jak Kopczyński zalecał. Narodu nie stanowią jedynie ci, którzy się uczyli gramatyki i zachowują ściśle jój pravidła; a i z wykształconych jistotnie, gruntownie, wielu, a zapewne najwięcej błądzi w pisaniu przymiotników nijakich, przez em, tak ta świadomość jest nieutralona. Dopókim nie zarzucił tej nieorganicznej pisowni ks. Kopczyńskiego, często mi się zdarzało, żem błądził przeciw niej i poprawiać się musiał; albo pisząc, pytać się sám siebie musiałem: czy ten, czy to koło, gdym miał napisać narzędnik: dobrém kołem; a jak mi się przyznawali ludzie jistotnie wykształceni, nieraz już osiwiali przy piórze, i u nich to była nie pierwszyna. —

Nieprawdą dalej, żeby „świadomość błędna miała mieć prawo do uszanowania;“ bo gdyby błąd na taką względność zasługiwał, toby prawda prawa jistnienia nigdy przenigdy nie pozyskała.

Jakież może mieć prawo człowiek, który się wzył w błąd jaki, napawać młody umysł tymże błędem? Jakież więc, pytam, może mieć prawo dorosłe pokolenie, nawykłe do błędów pisowni, iżby jego błędu uczyła się młodzież jako prawdy? Jakim czołem może nauczyciel uczyć za prawdę powszechnie uznaną nieprawdę? jakim prawem za błąd poczytywać mu, gdy wiedzion słuchem i poczuciem, napisze organicznie, po zygmunrowsku dobrym kołem? jakim sumnieniem go za taki rzekomy błąd nareszcie karać?

Ależ nierozsądek żądać uszanowania dla błędnej świadomości, dopóki się prawdziwą inną świadomość nie wyrobi; bo niechże tacy gramatycy, jak Małecki, parlamentują z błędem, w błędzie upatrują praktycznych dogodności: to kiedyż się prawda doczeka uznania? kiedyż błąd odstąpi praw jej wydartych?

3. Jotowanie samogłoski *i* i wsuwanie joty w zakończenia cudzoziemskie *yja*, *ija*.

„Teoryja ks. Malinowskiego i p. Rzepeckiego, mówi Dr. Cegielski, nie jest wprawdzie bezwzględnie fałszywą,“ i da się więc uzasadnić i usprawiedliwić; a jednak z góry oświadcza: „Reformę jotowania samogłoski *i* nie tylko dla względów praktycznych, ale i z zasady wręcz i stanowczo potępić muszę.“ A więc dla czegoż ją potępić? Bo „jest wymuszoną i naciągniętą konsekwencją zasady względnie, nie zaś bezwzględnie prawdziwej; bo ta „teoryjka przez to samo, że jest względną, zadaje gwałt innym niemniej uprawnionym prawdom i zasadom; a z drugiej strony praktyczne jej zastosowanie jest zbytęcznym i niepotrzebnym.“ —

O bezwzględnych, absolutnych prawdach na polu gramatyki mówić nie można; bo nie może tu być wcale metafizycznej pewności, jeno chyba moralna, fizyczna. Żeby zasada jotowania dawała gwałt innym prawdom i zasadom gramatycznym, tego w broszurze swęj bynajmniej nie wykazał Dr. Cegielski, choć chciał się „starać, żeby udowodnić, co powiedział.“

Za to my wykazemy mu, że opuszczenie joty gwałci organizm języka i naprowadza gramatyków i niegramatyków na jak najobłądniejsze przypuszczenia i domysły.

O jocie więcej jeszcze rozprawią Dr. Cegielski, aniżeli o *á* pochylonym; ale jeżeli co do *á* nie znał zgoła, czego uczy ks. Malinowski, i dla tego polemizował „quasi in aërem verbe-

rans," jakoby na wiatr: to co do jotowania samogłoski również nie wiele się starał zapoznać z nauką ks. Malinowskiego i dla tego również wcale nie trafnie argumentuje.

Przydech cienki (greckie *pneuma psilon*, *spiritus lenis*, hebrajskie: *aleph*) jest więcej w użyciu w językach starożytnych: łacińskim, greckim a nawet i w sanskrycie; słowiańskie zaś języki mają dążność do stawiania wiotkich spółgłosek przed samogłoskami, zaczynającymi wyraz lub zgłoskę, co się nazywa nasuwką, a co mniej właściwie zowie Dr. Cegielski przygłosem. — Nie trzeba jednak rozumieć, jakoby stare języki nasuwek wcale nie znały, albo jakoby słowiańskie nie miały wcale czystych samogłosek: má grecki np. zawsze przed *ypsilon*, nasuwkę *h*, np. *hydor* woda; ma polski bez przygłosu samogłoski i na początku i w środku wyrazu mianowicie *o* i *u* jako to: *uczyć, oko*, *do-uczyć*, *na-oczny*.

Z nasuwek najrzadszą u nas *h*, znachodząca się w przyswojonych obcych wyrazach, jak *Hanna, Halszka, hułan, huzar, hufiec, harfa, haft*. (Jinnéj przyrody *h* zastępcze za *g*, jak *hanba, ohyda, hałas, bohater, hodować, hubka, hrabia*, i znów *h*, które w wyrazach obcych już pierwotnie było, jak: *hak, handel, hamować*.)

Zwyczajnie zastępuje się przydechowe *h* u nas przez *j* jak czeskie *hedwań*, nasze *jedwań*, łąć. *Hedwigis*, nasze *Jadwiga*, *Heva* nasze staropolskie *Jewa*, dziś *Ewa*; albo przez *w* jak czesk. *hnet* nasze *wnet*, greckie: *hydra* (litewskie *udra*), nasze *wydra*.

Najpowszechniejsze nasuwki przed samogłoskami naszymi są *j*, i *w*, które są zastępcami przydechu cienkiego (*pneuma psilon* — *spiritus lenis*).

Kiedy się te nasuwki *j*, *w*, używają? Czy prawdą, co Dr. Cegielski twierdzi: że nasuwki grubsze *h*, *w*, do języka wykształconego i piśmiennego, małe wyjątki odliczywszy, wcale nie przeszły? i że słabsze i cieńsze *j* na początku wyrazów przed samogłoskami *a*, *e*, *o*, *u* znów małe wyjątki jak *n. p. Jędrzej* i *t. p. odliczywszy* — do języka wykształconego i piśmiennego także nie przeszło? — a przed samogłoską *i* — co najmniej nader wątpliwą i wątpliwę ma egzystencją? — Zobaczymy.

Że *h* najwięcej w obcych wyrazach się zachowało w zastępstwie przydechu, o tym już mówiłem. Żeby atoli *w* i *j* nie miało uprawnienia w piśmiennéj mowie, chyba z rzádkim wyjątkiem, to coś dotąd niesłychanego.

Owszém, przeciwnie — w naszym języku ze wszystkich jedenastu samogłosek tylke cztery t. j. *a, o, ó, u*, mogą stać s przydechem cienkim, a więc bez nasuwki *j* lub *w*, jako czyste samogłoski. Mogą stać, choć nie zawsze stoją.

I tak na początku wyrazów, (o czym nie wie Dr. Cegielski, bo ciągle szermuje Jadomem, harendarzem i haresztem,¹ a więc obcymi wyrazami, nie stoi w polszczyźnie nigdy *a* czyste, z wyjątkiem wyrazów nieodmiennych, jak n. p. spójniki i wykrzykniki, jak się o tym przekonać może z każdego słownika (cf. Małeckiego § 48.) Nie sám wyráz jagnię, jakby się s przytoczeń Dr. Cegielskiego wydawać mogło, má nasuwkę *j*, lecz kaźdiuteńki rzeczownik i przymiotnik i słowo, jeżeli téj samogłoski nie má s pierwiastku, ją przybiera i byle to nie były obce, cudzoziemskie wyraży. Stąd, jak oczywistá, nigdy téż nie stoi w wyrażach złożonych *a* na drugim miejscu. Jeżeli zaś w słowotwórstwie takby wypadło, żeby *a* przyszło na drugie miejsce obok jinnéj samogłoski jak n. p. w formowaniu słów częstotliwych od tematów samogłoskowych (cf. Małeckiego w § 513) s konieczności dla usunięcia rozziwuw, wsuwa się *j* lub *w* n. p. (*pi-j-ać, da-w-ać, wysmie-w-ać, gry-w-ać*).

Samogłoski *o, u* mogą same zaczynać i wyráz i zgłoskę, jak *ostry, ucho, oko, pouczyć, dobrać, naoczny, samo-uk*; znoszą więc *hijat* i na początku i w środku wyrazów, co Suchecki zowie zaziewem i rozziwem. Jednak i te mogą mieć nasuwki n. p. starosł. *už, utro*, albo już, *jutro*; złotopol. *uj*, czesk. *ujec*, nasze dziś *wuj*.

Nigdy, przenigdy bez nasuwki, czy to *w*, czy *j* nie mogą się wyrazy zaczynać od: *i, e, a, y* i *jať*, które brzmi różnie już jako (i) *a*, już to jak (i) *e*, już téż jak (i) *o*, (cf. Such. Bud. str. 16.).

Wszystkie nosowe mają albo *w*, albo *j* np. Węgier za *Ungar*; Jędrzój za *Andrzój*; ludowe jędor za *jindor*; od pierwiastku starosł. *qtr*, jątrzyć i wątroba; od *qda*, węda; od *qdoł*, wądoł; od starosł. *qgieł*, łac. angelus, niem. winkel, nasze węgieł; od *ęgieł*, lit. anglis, nasze węgiel. Wszystkie wyrazy zaczynające się od *y*, które zesłabło, zeszło w pierwotnego przyjímka *u*, mają digamwę eolską, naszą wsuwkę *w* np. łuzyckie wudać, nasze wydać.

Wszystkie wyrazy zaczynające się od *e*, mają to *e* jowane: nie ma jednego wyrazu szczérópolskiego, szczérósl-

wiańskiego, któryby się zaczynał od czystego *e*, z wyjątkiem chyba wykrzykników: *eh, ej!*

Od samogłoski *i* zaczynające się wyrazy mają zawsze wsuwkę. Tak już „język cerkiewny miasto *ji* pisze jedną literę kirylicką, złożoną z dwóch *i* (jize). Czech pisze jak starzy Polacy organicznie *jigła*, *jiskra*, *jisty*, *jizba*, *jinny*; tylko u Serbów i Rosyjan brzmi hijatycznie *i*: ros. *igła*, *iskra*, *istyj*, *inoj*.” (Suchecki Budowa str. 16.). Starzy Polacy, dopóki pisali s czeska *g* za nasze dziś: *j*, często używali form, jak *gich*, *ginszych*, *stogi* (R. T. II. str. 101.). Jak Grecy grube *y* wymawiali zawsze s przydechem ciężkim *h*; tak Polacy cienie, wiotkie *i* zawsze jotuują. (Ks. M. w Oświacie).

Pisali tak jistotnie i wymawiali nasi Ojcowie, odpowiadą nam Dr. Cegielski; ale jak dziś nie wszędzie wymawiamy *w* lub *j*, lub *h*, gdzie jich używano w pierwotnych czasach, kiedy się język z ludowego na piśmienny przerabiał; gdzie jich używają nawet dotąd pobratymcze języki: tak i samogłoskę *i* hijatycznie wymawiać możemy, a nawet powinniśmy.

Że nasz organ mowny zdoła często wymówić samogłoskę *i*, o tym nie wątpię; że jednak będziem ją mogli na początku wyrazu wymawiać tak, żeby to nie brzmiało s cudzoziemska, jak giermańskie lub romańskie *i*, w niemieckim wyrazie *ich*, *Igel*, o tym wątpić wolno. (R. T. II. str. 41.).

Wymawiamy czysto samogłoskę *i*, gdzie następuje po zmiekczonej spółgłoskach, w których już więc jotacyja niejako utonęła; w spółniku *i*, który Zygmuntowscy pisarze przez *y* pisali: w zajimku *mi*, i w końcówce narzędnika l. mn. na *mi*, którą lud nasz wymawia *my*. (R. T. I. str. 15.). Zresztą *i* zawsze wymawiamy z wsuwką *j*. Kto twierdzi, jak Dr. Cegielski, że pod wpływem obcych języków nauczyliśmy się wymawiać *i* hijatycznie, i tak wymawiać już teraz powinniśmy, czuwając w tym celu nawet bacznie nad sobą, a to ażeby nie tracić cechy wykształconego człowieka: tenby błędził wielce, znamion wykształcenia upatrując w cudzoziemczeniu, a więc kazaniu ojczystego języka i wymowy.

Nie można się tu powoływać na to, że wsuwki *w*, *j*, częstsze u pobratymców jak Czechów, Rusinów, Łużyczan nawet *o* i *u*, u nas zaś po części już zarzucone: bo całkiem jinna przyroda samogłoski *i*, tak samo jak i *e*, od onych dwu drugich *o* i *u*; mogły nasuwki odpaść przy *o*, *u*, lecz nigdy jotacyja tak przed *i*, jak i *e*.

„Samogłoska *i* w starosłowiańskim, rosyjskim i polskim języku nie jest bynajmniej tak jak np. w greckim, łacińskim lub niemieckim języku samogłoską czystą, wymawianą s przydechem cienkim, lecz zawsze i wszędzie (z wyjątkiem spółnika *i* (et), który Zygmuntowscy pisarze pisali przez *y*), zgłoską *ji*, tak na początku jak i w środku po samogłosce.... Azatym, kto chce pisać ściśle według zasad głosowni, powinien z Mrozińskim, z Żochowskim i Lelewelem pisać także *jich*, *jim*, *jistota*, *jigła*, nie tylko *moji*, *mojich*, których to ostatnich form gramatyczność przyznaje już Mroziński w przypisku do §. 27.“ (R. T. II. str. 30.).

Ani samogłoska *e*, ani *i* nie mogą występować w języku polskim nigdy bez joty; bo zawsze stoją po zmiękczo-nych spółgłoskach, a każde zmięczenie jest skutkiem zléwu joty s poprzednią twardą, (cf. Roc. T. I. str. 65, 91.).

Zawsze stoją po zmięczonych; samogłoska *e* odstęp-uje od téj zasady wtedy tylko, kiedy zastępuje *o* np. w Nárzędniku l. p. rzeczowników męzkich o twardéj ostatniej tematowej — *kołem*, *synem* zamiast pierwotnego *kołom*, *synom*; także, kiedy powstało s kontrakcyi *o z e* nie jotowanym, jak w przymiotnikach dobre za dobroje, gdzie jota wypadła. Ażeby *o z e* mogło się ściągnąć cf. M. §§. 128, 267; Roc. T. II. str. 108.); samo-
głoska *i*, po przyciskowych, podniebiennych zastępowana niewła-
ściwie przez *y* (cf. M. §. 27), odstęp-uje od téj reguły tylko *)
w zajmkowej deklinacyi przymiotników, gdzie we formie dobr-y,
straciła pierwiastkową jotacyją ze zajmka *ji*, przemieniając się
zarazem, wedle powszechnéj w takim razie tak w polskim jak sta-
rosłowiańskim języku reguły, w samogłoskę *y* (R. T. II. str. 31.).

Stojąc po zmięczonych spółgłoskach, widocznie są jotowane,
gdyż każde zmięczenie jest skutkiem zléwu joty z poprzednią
spółgłoską twardą (R. T. I. str. 19, T. II. str. 27, 65.). Etymolo-
gicznie tylko, oczywiście, jest każda miękka u nas córą joty;
bo fizjologicznie powstały wszystkie przyciskowe, podniebienne
ze zastępujących jotę syczących i szumiących. Nie tylko zaś
jak we francuzkim, zawsze w *ż*, łac. *jugum*, fr. *joug*, lecz

*) Że samogłoska *i* stoi po *k*, *g*, nie przemienionych na etymologi-
czne, miękkie *cz*, *dż*, *ż*, jest to pozorny tylko wyjątek. Samogłoska *i* nie
jest tu pierwotna, lecz zastępuje zamiast *y*, które stać nie może po *k*, *g*,
co zawsze są u nas fonetycznie miękkie przed *e* i *i*, (cf. M. §. 27.). Ta-
koż zastępuje jest w dopełniaczu rzeczowników żeńskich z miękką tema-
tową np. *kości*, za *kościy* tak jak *ryby* (cf. M. §. 180.).

i, w mocniejszy szum *sz* przechodzi u nas jota, także w syk ostry *s i z i* pieszczony *s, ż*. (Rocz. T. II. str. 106. i nast. Suchecki Budowa str. 27.).

Nie zdoła tego pewnika w gramatyce polskiej obalić twierdzenie prof. Małeckiego, że czyste *i* jakotóż *e* (rodzime) bez jotacyji miękczą poprzednie spółgłoski.

Już Mroziński słusznie powiedział, że żadná samogłoska nie wywiera wpływu na spółgłoski; tak jest rzeczywiście, bo spółgłoski miękkie powstają tylko z jotowanych samogłosek, a więc przez wpływ joty.

Na to przeciw Małeckiemu mamy ks. Malinowskiego dowody niezbite. Samogłoska *e* (rodzime) do tyła ulubiło sobie jotacyją, już kiedy ta odpada, przemienia się w mocniejsze *o* np. nasze jeleń, jezioro a rossyjsk. oleń, oziero; w starosłowiańskich wyrazach po *sz, cz, ż*, nigdy samogłoska *o*, lecz zawsze *e* następuje, które więc oczywiście jest tu jotowane; odwrotnie po *k, g*, które nie są w starosłowiańskim miękkie fonetycznie jak u nás, lecz twarde, następuje *o* nigdy *e*, choćby powinno i ono następować, gdyby jistniało rodzime *e* niejotowane, czyste; w Wołaczcu, starosłowiańskie rzeczowniki żeńskie z miękką tematową nie mają (jak u nás przez analogiją do rzeczowników s twardą tematową *wolo, duszo*, tak jak *rybo, wodo*) samogłoski *o*, lecz *e* *wole dusze*) z *o* widocznie przemienionej przez jotacyją dodaną s powodu miękkiej poprzedniej tematowej spółgłoski.

Samogłoska *i* w polskim jest zawsze jotowana. (R. T. II. str. 80, 65) nie jotowana przechodzi zaraz w *y* (R. T. II str. 31) jak dobry za dobr — *i*, s której formy złożonej z *dobr ji* wypadło tematowe *j* zajmka *ji*. W jinnych językach słowiańskich jistnieje *i* czyste, niejotowane obok *i* jotowanego. I tak w starosłowiańskim wedle świadectwa ks. Dobrowskiego (Rocz. T. I str. 14) odpowiada *i*, którego osobną mają postać azbuki starosłowiańskie czystemu *i*, jak jotowaną samogłoska *ja* czystemu *a*; a więc jeżeli *ja* nie *a* miękczy, to także *ji* a nie *i* czyste. U Serbów, którzy nie mają naszego *y* i dla tego piszą wedle grafiki Wuka zarówno *bił i był* przez *bił*; u Czechów, którzy przed *i* tylko spółgłoski *r* i gardłowe *k, ch, h* miękczą (stworziti, tocziti, prasziti, mnożiti, a znów robiti, topiti, platiiti), choć piszą *ti* nasze ci, i znów *ty* dla zachowania etymologii, oba jednak wyrazy zarówno twardo wymawiają (R. T. I str. 14). u Rusinów (przeciwnie u Rossyjan *tichost'* nie *tychost* R. T. II str. 65), którzy zamiast naszego cichy, koni, kadzić mówią

tychyj, koszty, kadyty (Suchecki Budowa języka str. 32): jest widoczne *i* czyste, niejotowane, ale też bez poprzedzających miękkich spółgłosek.

Jest *i* czyste u jinnych Słowian; i to czyste *i* pobratymców naszych nie miękczw spółgłoski; nasze *i* każde miękcy, z wyjątkiem, gdy już temat był miękką spółgłoską: więc oczywista, miękczenie to skutkiem tego, że te *i* nie jest u nas czyste, że jest jotowane. W saméjże dziedzinie naszego języka mamy niezbite dowody na to, że „pieściwe spółgłoski nie powstają s połączenia twardej ze samogłoską *i*, lecz jedynie s połączenia ze spółgłoską *j* którą jest nietylko matką pieściwych ale nadto i przyciskowych miękkich w języku naszym tak samo, jak w całej mowie rodziny jafeckiej“ (R. T. II str. 66.)

Mamy bowiem dwa mianowicie wyrazy, w których to miękczenie przez zlew joty s poprzednią twardą spółgłoską jest jakby w akcie tworzenia się: tj. w ziąć (za wzjąć) i obiad lub objad. Powstały te złożone wyrazy z jąć i jad — (*ł*) przez dodanie przyimka dawnego *wz* (R. T. I str. 56 i nast.) i *o*, *ob*. Powszechniej piszemy wziąć a nie wzjąć (jak pisze Muczkowski i Łazowski), a wymawiamy wszyscy wżąć; zarówno zaś używane formy obiad i objad. W jinnych złożonych s przyimka *z* nie miękczymy tego *z*, (wsuwając nawet *d*, żeby pokusy do tego uniknąć jak np. zdjąć za zjąć): i dla tego w formie zjazd pozostaje też jota. Nie wywarzy wpływu miękczenia na poprzednią spółgłoskę nie mogła widocznie w niej utonąć, z nią się złąć w jedno brzmienie, jak się to stało we wyrazie wziąć za wzjąć (R. T. I. 65.)

Co Małecki dziś błędnie za przywodem Mikłosicza twierdzi o miękczeniu spółgłosek przez niejotowane, czyste samogłoski *i*, *e* (rodzime,) to utrzymywał dawniej i Suchecki, dopóki nie wszedł na drogę badań porównawczego mowy naszej (cf. Roczn. T. str. 108); ale w najnowszym swym dziele gramatycznym z r. 66. Budowa języka to, co ks. Malinowski w krytyce jego gramatyki w T. II str. 108 Roczników był powiedział, przyznaje. że „brzmienia spółgłosek miękkich cienkich potworzyły się upodobnianie poprzedzających spółgłosek twardych do następujących samogłosek potęgowanych (jotowanych str. 10, 27, 56: *ji*, *je*, *ja*, *jo*, *ju*, *je*, *ja*; że dalej u nas każde *e*, *i*, jako samogłoski wątkie (które „muszą mieć przed sobą *j*“ str. 16), miękczą poprzedzającą spółgłoskę twardą, co czyni język polski najmiększym ze wszystkich dyalektów słowiańskich“ (str. 32.)

Jeżeli „postać *i* prócz spółnika *i*, który starzy, jak Wujek i Skarga oznaczali przez *y*, nie oznacza nam nigdy czystej samogłoski, lecz zawsze zgłoskę *ji*; i kiedy prócz tego nigdy nie używamy tej postaci *i* w wyrazach swojskich jinaczej, jak tylko w połączeniu ze spółgłoską miękką, np. *bi*, *ci*, *dzi*, *fi*, *li*, *mi*, *ni*, *pi*, *si*, *wi*, *zi*, w których zgłoskach *j*, zawarte w *i*, zlewają się w jedno brzmienie miękkie s poprzedzającą spółgłoską; boć nie *i* jako czysta samogłoska miękcy poprzedzającą spółgłoskę, lecz tylko spółgłoska *j* w naszym *i* zawarta: czemużby więc — pyta słusznie (w R. T. I str. 92) Ks. Malinowski — czemużby i samo *j*, które jest najmniejszą ze spółgłosek, nie miało się łączyć ze samogłoską *i* w piśmie, kiedy się z nim łączy w mowie?”

„Pisząc jedną postać *i* na wyrażenie zgłoski *ji* — dodaje — gwałcimy powszechną i spólną zasadę naszego fonetycznego pisma (por. *abjicio*, *rijicio* za *jaceo*, *rejectus*, *abjectus* itd.) Pisownia więc Lelewela: *jenny*, *jich*, *jiż*, *moji*, nie tylko jest zgodną z ogólną zasadą, ale nawet ściśle odpowiada organizmowi rodzinnej fonetyki naszej i jest prawdziwym i rzeczywistym uproszczeniem prawideł pisowni.“

Naprzeciw temu protest zakłada Małecki w zeszycie drugim lwowskiego pisma pedagogicznego „Szkół”, twierdząc, że zgłoska *ji* jest monstrum fizjologiczne, i niepodobieństwem fizjologicznym. Z jego wywodami na to oczywiście rozprawić się nam należy: bo daremną byłaby praca i trud wszelki podjęty w obronie gramatycznej pisowni zgłoski *ji*, gdyby ona rzeczywiście była niepodobieństwem i monstrum fizjologicznym.

Prof. Małecki radykalnie wziął się do wytępienia nienawistnej joty w połączeniu ze samogłoską *i*: dowodzi, że taką zgłoską *ji* jest *monstrum fizjologiczne*. Jeżeli jego prawda, to jotowanie samogłoski *i* niepodobne. Uwzględnimy tedy, choć mimochodem rozumowania jego przeciwko jotacyji samogłoski *i*.

Prof. Małecki w 2gim zeszycie galicyjskiego pisma pedagogicznego „Szkół”, pochwaliwszy swą grammatykę, że w niej podany „system, oparty na zasadach wyprowadzonych z samej natury języka ojczystego i odpowiednich stanowisku lingwistyki, jakie obecnie w całym świecie naukowym popłaca”; tusząc sobie, że przez nią pożądana jedność co do pisowni się ustali: troszczy się o to

jeszcze tylko, ażeby wszyscy po szkołach nauczający języka tego byli mocno przekonani o prawdziwości wszystkich zasad gramatycznych autora, gdyż inaczej znów może niejeden odmiennieby uczył, a tak jednośby rozrywał.

Żeby utrwalić zaufanie do zasad swych i poglądów gramatycznych, postanowił je wyjaśnić, obszerniej wyłożyć. I tak „gani sobie tym razem surowo zwięzłość zbyteczną, z jaką w gramatyce oświadczył się za pisaniem wyrazów, jak *moi, kolei, stoi*, przez samo *i*, a nie przez *ji*.”

„Odwolałem się — mówi on — do samego tylko zwyczaju; a zaniedbałem dodać, co konieczne należało dołączyć t. j. czy ten zwyczaj zgodny jest z istotnymi zasadami języka, czy też raczej przeciwny racjonalnej pisowni”? Kwestyją dobrze postawioną. Jakże ją prof. Małecki rozwiązuje? Oto przychodzi do wniosków dla nas, jotujących samogłoskę *i* w zgłosce *ji*, straszliwych: że *ji* „jestto prawdziwe monstrum, jestto fizjologiczne niepodobieństwo”; że „naród cały téj zgłoski nie wymawia i nie może wymawiać, bo to przeciwne i gębie ludzi i samej istocie joty i w ogóle całemu stosunkowi téj spółgłoski do brzmienia *i*, z którego ona idzie.”

Przeciw temu najprzód stawiamy fakt: że przed 16tym wiekiem Ojcowie nasi, za przykładem Czechów spółgłoski *g* na oznaczenie spółgłoski *j* używając, pisali *gich, stogi, mogli* za *jich, stoi, moji*, (jak to czytamy w psalterzu Małgorzaty); że Zygmuntoſcy nawet piſarze zostawili nam tę pisownię gramatyczną w zajimku *ji* (jego), który s czeſka pisali *gi*, Wujek zaś piſze juſto *gi*, juſto *ji*; że w azbukach ſtarych tak w głaſolicy, jako w cyrylicy wedle X. Dobrowskiego, jeſt oſobny znak na jotowane *i*, i oſobny na ſzczere *i*, równe *y*; brzmienia naszego *y* nie było w ſtaroſłowiańskim, jak nie ma i teraz w ſerbskim. Że wszystkie abecadła ſłowiańskie mają zgłoskę *ji*, jako to: abecadło jilirskie Berlicza, bułgarskie Caukowa, nowokorutańskie Janeżecza, czeſkie Konecznego, łużyckie Smolera; że lud bardzo donoſnie to *ji* wymawia; że w Chełmieńskim nawet spółnik *i* wymawiają *ji*, jak twierdzi ks. Malinowski, jak ja ſám téż miałem ſposobność ſię przekonać.

W obec tego faktu nie wiem, jak może prof. Małecki twierdzić, że zgłoska *ji* jeſt fizjologiczne monstrum, niepodobieństwo, że jój wymówić nie można, bo to przeciwne gębie ludzkiej.” Przecież nasi Ojcowie mieli, a wszyscy pobratymcy nasi, i wszyscy

z ludu mają „gębę ludzką,“ jak my, mając też warunki fizylogiji mowy, co my: a wszyscy mieli i mają zgłoskę *j*.

Dość wskazać na ten fakt, żeby wszelkie rozumowanie przeciwnie jemu od razu wydało się sofistycznym. Prof. Małecki, czciciel *faktu dokonanego*, choćby ten był bezprawiem i skáżeniem języka, i choćby był nárzucony przez pojedynczych prawodawców języka (jak to sobie niektórzy grammatycy urojili, że można jak wosk w palcach kształtować język wedle upodobania, nadawając mu prawa, w organizmie jego nie mające zgoła podstawy żadnej) powinien od razu zarzucić swe wywody przeciwnie zgłosce *j*. Ale i każdy jinny, czy uczony, czy nieuczony, taki fakt za uprawniony uznać musi. Boć zapewne nie narzucono wszystkim nárzeczom słowiańskim *joty*, jak i nie narzucono jój ludowi naszemu, który wymawia *jinny*, *jich*, a do którego nie miał dotąd żaden prawodawca języka przystępu. Samo przypuszczenie takowe narzuceniá jakiego brzmieniá jest niedorzecznością. Tu zaś niedorzecznością tym większą dla przeciwników *joty*, jako „monstrum fizyologicznego,“ że oczywiście niepodobno zgoła narzucić tego, „czego wymówić wcale nie można, gdy to przeciwnie gębę ludzką.“

Jistotnie argumentacyjá prof. Małeckiego przeciw *jocie* w połączeniu ze samogłoską *i*, jest sofistyczną. Zwięźle tych wywodów jego osnowę podamy.

„Niezawodnie jest *j* spółgłoską, i to pierwotną. Jeżeli chodzi o wskazanie piérwszego i że tak powiem zarodowego jój początku, to takowy sięga niezawodnie po za sferę spółgłoski: analiza jój wewnętrznej istoty prowadzi do przeświadczenia, że to nic innego, jak tylko skonsonantyzowane *i*. — Kiedy wymawiamy *i*, nasz kanał mowny tak jest spłaszczony, że górna jego ściana (podniebienie) i dolna (język) tak są zbliżone do siebie, iż, gdyby o włos jeden zbliżenie to dalej posunąć, gęba byłaby zamknięta. Owoż dopóki w kanale tak ułożonym, bez poruszenia żadnego z poszczególnych narzędzi mownych, w stanie zupełnego spoczynku języka i podniebienia, głos wydajemy: dopóty brzmi samogłoska *i*, i płynie wzdłuż w nieskończoność jak linia matematyczna. Skoro zaś w tymże samym zresztą kształcie i składzie kanału zrobimy najmniejsze *drgnienie językiem poprzek*, natychmiast słyszymy brzmienie już nie samogłoski *i*, ale *joty*. Jestto zatem spółgłoska, wyrabiająca się na tymże warsztacie, co *i*; jestto brzmienie fizyologiczne zgoła to samo, co *i*: tylko że *i* wyobraża samogłoskową modyfikacyą tego brzmienia, a *j* spółgłoskową, t. j. tanto brzmieć może w nieskończoność i płynie

wzdłuż, a to ma brzmienie *momentalne*, *przecięte*, i że tak powiem *poprzeczne*. W ten tylko téż jedynie sposób pojąć się daje, że *j* ma władzę zmiękczenia poprzedzających twardych spółgłosek. Ma ją o tyle i *tylko* przeto, że jest to własnością i brzmieniem i jak samogłoski wyrabianej w tak spłaszczonym kanale mownym, że żadna twarda spółgłoska w swojej pierwotnej czystości nie daje się wymówić w tym składzie gęby, i chcąc niechcąc przybiera w nim inne brzmienie, które właśnie zmiękczeniem jej nazywamy.“ (Uprzytomniwszy sobie początek joty i jej stosunek do *i*) „wróćmy do praktycznego pytania: czyśmy powinni, czy *możemy*, choćbyśmy chcieli, wymawiać *mojich*, *koleji*, *stoi*? — Ażeby wymówić *j*, muszę tak kanał mowny czyli gębę ułożyć, jak gdybym chciał wymówić *i*, i potem dopiero, razem z wydaniem głosu, robię *poprzek poruszenie języka*, które z tego miejsca wydobywa *j*. Innemi słowy: ażeby wymówić *j*, muszę językiem od stanowiska *i* zacząć i iść poza to stanowisko. W taki tylko bowiem sposób konsonantyzuję owo *i* wzdłuż jak linija płynące, i pochwytując jeden moment, niejako jeden punkt z niego, nie domawiam już reszty linii, przez co właśnie otrzymuję *j*, a nie *i*. Otóż niepodobieństwem to jest fizyologiczném, żebym w kombinacji *ji* mógł czy to *słyszeć*, czy *wymówić j* przed *i*. Jeżeli chodzi np. o wymówienie wyrazu *moich*; to od *mo* idę do *i*. Zanim do tego *i* dojdę, żadną miarą nie mogę spotkać *po drodze joty*; gdyż, żeby ją spotkać i wymówić, musiałbym wprzód być już na tém miejscu językiem, gdzie się *i* wymawia, a ja *dopiero idę do tego miejsca*. Toż samo we wyrazie *kolei* po wymówieniu zgłoski *le* idę do *i*. Między *le* a *i* niemoże być żadnej w pośrodku joty, bo żeby ją otrzymać, trzeba wprzód być na warsztacie produkującym *i*, i z niego sobie dopiero skonsonantyzować jotę: a ja dopiero dążę do tego warsztatu! Pokazuje się zatem jasno, że we wszystkich razach, gdzieby się zdarzać miała kombinacya tych dwóch zgłosek tuż przy sobie i w tym położonych porządku, to jest *j* i *i*: zawsze tam *ji* spływa na *i* tak, iż dwa te na pozór brzmienia tylko jedno stanowią; *jedno nie pozornie, nie fonetycznie, nie na mocy przyjętego zwyczaju, lecz w samej istocie rzeczy i z fizyologicznej konieczności*.“

Własnymi słowy autora wszystko, co do rzeczy należy, wypisałem tak wiernie, ażeby śnać nie wykrzywić myśli jego wywodów, jako téż, ażeby dać sposobność czytelnikowi sądzenia samodzielnego w tym sporze.

Otóż najpiérw, jeżelibyśmy w myśl hipotezy Darwina, którą

Schleicher do umiejętności języków już zastosował, mówić chcieli o pochodzeniu jednego głosu z drugiego: przyznałoby należało, że prof. Małecki bardzo prawdopodobnie najbliższego rodzica *joty* wskazał w samogłosce *i*; oczywiście, jeżelibyśmy wpiérw za pewną przyjęli, iż pierwszym głosem człowieka-dziecięcia bywa samogłoska. Ale wtedy i onby nam przyznać powinien: że takim samym prawem, jak podniebiennéj *joty* rodzicielką jest samogłoska podniebienna *i*, tako samo spółgłoska wargowá *w* ze samogłoski wargowéj *u*, spółgłoska gardłowa *h* z gardłowéj *a* pochodzi niezawodnie. Wicéj, moglibyśmy jisé dalej i twierdzić: że wszystkie wargowe z *u* początek wywodzą przez pośrednictwo spółgłoski *w* w tym porządku: *u*, *w/b* — *f/p*; że wszystkie gardłowe wyrosły na pniu samogłoski *a* w drzewo genealogiczne *h/g* — *ch/k*. Moglibyśmy tak twierdzić, boć jistotnie szeregi tych głosów bardziej sobie pokrewne, niż Ultra-Darwinistów jaszczur, kangur i małpa a człowiek.

Czyżby prof. Małecki przyzwolił na takie rozumowanie: głos *w* z *u*, *h*, z *a* początek swój wywodzi, więc niepodobieństwo fizyologiczne zgłoski *wu*, *ha* wymówić? A przecież to samo zupełnie twierdzi o zgłosce *ji*! Może nam nie przyznać słuszności, choćby powinien: bo jak s pierwiastków *pi*, *bi* powstaje *pój*, *bój*, tak ze *slu*, *snu*, *psu*, *tru* powstaje *słow* (słowo), *snów* (osnowa), *psów* (psować), *trów* (trawa, strawa) [cf. Mał. gram. §. 31]; jak *i* stopniuje się w *j*, tako samo i *u* we *w*.

Nie może nam powiedzieć: „wywód ten najzupełniej jest logicznym; ażeby zaś był prawdziwym, braknie mu tylko jednego warunku, żeby kto wpiérw dowiódł, iż stósunek spółgłoski *j* do samogłoski *i* w jakiegokolwiek analogii zostaje ze stósunkiem“ — spółgłoski *w* do samogłoski *u*! (cf. Szkoła str. 119.) Nie może tak nás się pozbyć: boć, że analogijá taká jest pomiędzy *u* a *w*, jak *i* a *j*, sám w grammatyce swéj dość wyraźnie wykazuje. (§. 31.)

I każdy, choćby nie grammatyk, i nie fizyolog mowy, nie może niewiedzieć téj analogiji pomiędzy *i*, *j*, a *u*, *w*: każdy bo dobrze wie, że jak *i*, *j* są podniebienne tony, jeden samogłosowy, drugi spółgłosowy, tak, *u*, *w* oba są wargowe brzmienia. —

Żeby rzecz wszelako dokładniej wyświécić, rozbierzmy sobie to, co nám prof. Małecki rozpowiada o początku spółgłoski *j*, o urábianiu *joty*, o jéj stósunku do samogłoski *i*.

Powiedzmy od razu, że tu nikt z niego nie może być mą-

drym. „Samogłoska *i* urąbią się w spłaszczonej kanale mownym, tak że język i podniebienie prawie się stykają“: na to zgoda. „Spółgłoska *j* zabrzmi za najmniejszym *drgnieniem języka w poprzek* w tymże zresztą składzie kanału mownego spłaszczonej“ któż to zrozumieć? jakież to *poprzeczne drgnienie języka*?

Ponieważ fizjologiczne poglądy na naturę głosów, jakie zwykle, podają nasi grammatycy, nie wydawały mi się dość trafne, lub nie dość jasne, przeto udałem się do kompetentnego sędziego w tym względzie, do pana Matuszewskiego, nauczyciela przy instytucji głuchoniemych w Poznaniu.

Fizyologiją mowy każdemu nauczycielowi głuchoniemych nieodowną: bo jakżeby głuchoniemego nauczył mówić, gdyby nie wiedział, jak się głos jaki urąbią? Znakomite rezultaty p. Matuszewskiego nauki, jakie miałem sposobność podziwiać, znamienity jego dar obserwacyji tym większą mi rękojmią, że sąd jego co do fizylogiji mowy będzie prawdziwy. —

Otóż co mi napisał o spółgłosce *j*: „Spółgłoska płynną *j* pierwotną jest, podniebienną, pieściwą, a raczej samym pieszczotliwym tchnieniem; urąbią się płynieniem czyli przesuwaniem się powietrza jako tchnienie; wymawia się za zbliżeniem wierzchniej, środkowej płaszczyzny języka ku środkowi podniebienia, przez co tworzy się tak małe ściśnienie, iż zdaje się, że powietrze przeciskając się, potrąca prawie język o podniebienie samo. — Wiedzieć trzeba, że to *j* nie w tym ściśnieniu się dopiero tworzy: brzmienie jego powstaje w przeponie, twórczyni wszelkich brzmień i głosów; ściśnienie ono nadaje tylko kształt, formę brzmieniu. Jój przeznaczeniem zdaje się być: zmiękczać, łagodzić nawet samogłosy, s którymi się zlewá. Jest oráz matką wszystkich miękkich brzmień spółgłosowych; ściśnienie bowiem, w którym *j* w ciało się przyobléka, służy takóž wszystkim spółgłosom miękkim.“ —

Ten pogląd daleko trafniejszy i prawdziwszy od wyvodu prof. Małeckiego.

Prof. Małecki wywodzi początek joty z jakiegoś *poprzedniego drgnienia języka* w tym samym zresztą składzie organu mównego, jaki jest przy samogłosce *i*, co nikomu nie jasne i nie zrozumiałe. P. Matuszewski zrozumiałe wykládá genezę joty. Jak wedle fizjologów mowy spółgłoski trwałe (płynne i powiewne) w przeciwieństwie do chwilowych, których urąbianie polega *na uderzeniu o siebie narzędzi mownych*, tworzą się *przez ciśnienie*, częstokroć *przez samo zbliżenie się ku sobie narzędzi mownych*: tak

i *jot* wedle niego powstaje przez zbliżenie samo środkowej płaszczyny języka ku środkowi podniebienia.

Również trafniej dojrzał on przyczyny zmiękczenia tak spółgłosek jak i samogłosek w *jocie*, aniżeli prof. Małecki, który *jocie* przyznaje tę własność jedynie dla tego, że się urabia w tym samym składzie organu mownego, co *i*. Trafniej: boć zmiękczenie spółgłosek nie dokonuje się wyłącznie spłaszczonym kanałem mownym, jak to twierdzi prof. Małecki, lecz przez to samo ściśnienie, jakie jest przy urabianiu *joty*, przez to samo zbliżenie do podniebienia; skąd też zębowe chwilowe *d*, *t*, zęb. trwałe powiewne *z*, *s*, zęb. trwałe płynne *ł*, *n*, przechodzą wszystkie na *podniebienne* przyciskowe i pieszczone, — chwilowe *dż*, *dz*, *cz*, *dź*, *é*, — trwałe powiewne *ż*, *sz*, *ź*, *ś* — trwałe płynne *l*, *ń*. —

Dawszy wyjaśnienie bynajmniej nie jasne, ba wcale nie rozumiałe co do powstania *joty*, że tworzy się „drgnieniem poprzecznym języka,” płacze się prof. Małecki w ciemnościach, i dla wydobycia się na światło dzienne, czyni rozpaczne wysiłki, które sprawę jego całkiem gubią. Co w mechanice w poprzek czegoś przechodzi, przecina rzecz podłużną: otóż do tego li mechanicznego wytłumaczenia natury *joty* uciekają się ostatecznie prof. Małecki. Samogłoska *i* brzmi mu wzdłuż, jak linią matematyczną; spółgłoska *j*, powstająca przez poprzeczne drgnienie języka, „ma brzmienie momentalne, przecięte, i, że tak powiem, poprzeczne.“ Jak to przeniesienie mechaniki do fizjologii jest wielkim błędem, nie można nie widzieć. A wszak to, jak powiada prof. Suchecki, „spółgłoski *trwałe*, (zwane też już od Łacinników dla tego *semi-vocales*, półsamogłoskami), tak długo można wymawiać, jak długo się podoba; chwilowe zaś chyba tylko bardzo słabego *e* po sobie wymagają: na czym właśnie opiera się nowsza metoda uczenia czytać bez sylabizowania.“ Wedle teorii prof. Małeckiego wszystkie trwałe spółgłoski powinny być *samogłoskami*.

Jeżeli prof. Małecki takie ma opaczne wyobrażenie o jistocie samogłosek i spółgłosek, nie dziwi nas już jego powtarzanie uprzedzeń Mikłosicza, że spółgłoski, jako płynne *r*, *ł*, były ongi samogłoskami; na co prof. Suchecki odpowiada, że sprzeciwia się nauka taką fizjologii mowy ludzkiej, gdy jak kość nie jest krwią, tak spółgłoska nigdy nie jest samogłoską.“ (cf. Budowa języka polskiego str. 3 i 16, gdzie też mówi o Czechów i Słowaków wymawianiu płynnych.) —

Że jistotnie mechanikę jak najnieszczęśliwiej stósuje prof. Małecki do fizjologii, na to jeszcze w dowód jego słowa wła-

sne. Żeby się nikt ludzi nie mógł co do znaczenia jego orzeczenia, że *jota* „ma brzmienie momentalne, przecięte, i że tak powiem poprzeczne,“ kiedy *i* brzmi wzdłuż jako linija matematyczna,“ dodaje on: „w taki tylko sposób konsonantyzuję owo *i* wzdłuż jako linija płynące, iż pochwytyując jeden moment, niejako jeden punkt z niego, nie domawiam już reszty linii, przez co właśnie otrzymuję *j*, a nie *i*.“

Jak najniezszczęśliwiej tu mechanika zastosowaną. Liniją matematyczną bez granic nie jistnieje, jak tylko w wyobrażeniu; tylko liniją z granicami może być w rzeczywistości. Jeżeli tedy samogłoska *i*, jako liniją matematyczną, jidzie wzdłuż, i tylko wtedy jest samogłoską; a jak tylko jój brzmienie staje się uciętym (nie przeciętym), momentalnym, przemienią przez to swą naturę, przejść się na spółgłoskę: tedy ja śmiało twierdzę, że tylko w abstrakcyi mamy samogłoski, w praktyce zaś nie mamy żadnej a żadnej samogłoski. Bo któreż brzmienie w języku jidzie w nieskończoność jak liniją matematyczną? Wszak na wymówienie takiego *i*, jak liniją matematyczną jidącego ciągle wzdłuż, nie zawiele byłoby wieczności! My biedni żyjemy w czasie i do czasu zakreślonego, i coś więcej nam w życiu zdziałać potrzeba, jak żeby ciągnąć głosem liniją matematyczną ze samogłoski *i*. Wszystkie samogłoski nasze mają ucięte, momentalne brzmienie, a w polskim nawet bardzo pospieszne, bo wcale długich samogłosek nie mamy, zastępując je przez pochylone: wedle więc teoryji prof. Małeckiego byłyby wszystkie samogłoski nasze — spółgłoskami!

Dosyć już tego na uwidocznienie fałszu w teoryji prof. Małeckiego. Jego hipoteza, jak się konsonantyzuje *i* na *j*, widocznie opaczna i błędna, kiedy nam wszystkie bez wyjątku samogłoski tak radykalnie spółgłoskuje, że się ani jedna nie mogłaby w języku oprzeć i ostać. —

Przez sofistyczny, bałamutny, naciągany wywód chce prof. Małecki dowieść, że zgłoska *ji* jest „fizyjologicznym monstrum, że jój wymówić nie można, bo to przeciwne gębie ludzkiej.“ Otóż ten wywód: „Kto chce wymówić *moich*, *kolei*, idzie od *mo* do *i*, od *le* do *i*. W drodze nie może spotkać *joty*; bo jużby musiał być tam gdzie się *i* wymawia, a on idzie dopiero do tego miejsca; bo żeby *jotę* otrzymać trzeba wprzód być we warsztacie produkującym *i*, i z niego dopiero skonsonantyzować *jotę*, a on dąży dopiero do warsztatu.“ —

Dajmy na to, że ten wywód jistotnie logiczny: wypadá więc zeń, iż *jot* stać nie może przed samogłoską *i*, bo z niej się urábíá.

Wtedy równym prawem móglbym tak wnioskować: Samogłoska *y* powstała pierwotnie z *u*, jak to Francuzi i Niemcy jeszcze graficznie oznaczają; a zastępczo tylko stoi za *i* niejotowane, a więc *i* nie miękczące jak n. p. w daleki za daleki (cf. gram. Mał. § 27); stopniuje się téż napowrót na pierwotne *u* np. *slych*(ać) — *sluch*, *dych*(ać) — *duch* (cf. § 31). Nie może więc ona żadną miarą stać przed swym rodzicem *u*. Ale jak wtedy wymówimy: gimnazjum, studjum? a tak przecież prof. Małecki pisać káże. Czyż i to równym prawem nie musi być monstrum?

W czym tkwi błąd w wywodzie prof. Małeckiego? Choćby wszystkie jego wywody co do początku *joty* były prawdziwe (a nie są nimi): w tym jeszcze błąd, że, mechanicznie znów opisując podróżę języka w gębie, stáwiá za pewnik, że *jota* stojącá przed *i* powinna téż być po drodze do warsztatu, na którym się wyrábíá *i*, a nie może być tworzoná na tymże warsztacie. Co to za dziwaczne podstawy logiczne! Czemuż nie má się wyrábíáć na tym samym warsztacie, byle w sposób odmienny i dając jinne brzmienie? Wedle téj teoryji prof. Małeckiego dwie n. p. podniebienne, obok siebie staćby nigdy nie mogły, boć na jednym warsztacie urabiane, bo ktoby je tak chciał wymówić, musiálby się dwa razy zasádzáć i zapędzáć językiem! A przecież i prof. Małecki zapewne wymáwiá nawet dwa równe brzmienia, jak np. *czczę*. Wymówienie zgłoski *ji*, dwu pokrewnych glosów na jednym warsztacie przyrównywá prof. Małecki do „tremolando, drgawki, która przeciwną jest nie tylko gębie polskiej, ale każdéj.“ „Jestto coś — powiadá — jak kiedyby kto żádał, abyśmy ścisnąwszy wargi do kupy, i nie rozejmując takowych, wymówili bezpośrednio po sobie dwa *p* lub *b*. Takiego przyrównania nie powinienby czynić ten, kto rozpráwiá o fizjologii mowy. A wszak to *p* lub *b* są glosy chwilowe, które uderzeniem organów mownych o siebie (tu wárg) się urábíają; jakáz więc w wymáwianiu analogijá jich do trwałych, które przez samo zetknięcie się tych organów powstają, cóż dopiéro do najpłynniejszej, samym tchnieniem prawie pieszczotliwym będącéj *joty*? A potym: jakże fizjolog prof. Małecki może kázać nám próby robić, „abyśmy ścisnąwszy wargi do kupy i nie rozejmując takowych, wymówili bezpośrednio po sobie dwa *p* lub *b*; kiedy ani on, ani nikt na świecie ani jednego *p* lub *b* w takich warunkach nie zdolen wymówić! Kto „ścisnąwszy wargi, nie rozejmie ich,“ ten gębę zamknął i milczy.

„Wprawdzie, dodaje w końcu prof. Małecki, wskutek uczenia się najrozmaitszych języków mamy my już tyle wyrobionej gimnastyki fonetycznej w naszych narzędziach mownych, że w ostatecznym razie potrafilibyśmy wymęczyć ze siebie i takie brzmienia jak *moji*!”

Wszystko tedy mimowolnie prof. Małecki rozwala, co s takim trudem budował!

Dowodził, że monstrum fizjologicznym jest zgłoska *ji*: teraz przyznaje, że nim nie jest.

Bo, jeżeli wskutek uczenia się najrozmaitszych języków mamy tyle gimnastyki w narzędziach mownych, że i to brzmienie *ji* wymęczyć możemy, (jakich to, pytam, lud uczy się języków rozmaitych, który tak sobie wyrąbie zgłoskę *ji*, a nie krztusi się nią, ani się nią męczy?), tedy oczywista, przyzna prof. Małecki, że do wymawiania zgłoski *ji* dając obce języki wprawę, ćwiczenie gimnastyczne, muszą same co najmniej mieć to brzmienie. Jeżeli zaś je mają, tedy nie jest ono *niepodobiestwem, monstrum fizjologicznym, przeciwnym nie tylko gębie polskiej, ale i każdej gębie ludzkiej!*

Na cóż było się tyle trudzić i znojić dla niczego? na cóż było tyle dowodzić, żeby wszystkiemu, co się powiedziało, ostatecznie zaprzeczyć?

Na poparcie swego żądania, żeby zgłoskę *ji* pisać przez samo *i*, twierdzi Małecki w „Szkołe,” co już był poniekąd w gramatyce swój wypowiedział (§. 50.): że to *j* w zgłosce *ji* „prawdziwą dla języka zawalidrogą;” i dla tego, żeby go przed *i* nie kłaść, gdzie ta samogłoska jest pierwiastkową a zbiega się z jiną samogłoską, przemienia się raczej samogłoska *i* w spółgłoskę *j*, np. wyjść za wyiść, — albo samogłoski one spaja się przez wsuwne *n* np. *wynidzie, śniadanie, do niego*.

„Jest fakt, mówi Małecki w Szkole, w całej głośowni prawdziwie niezwyčajny, żeby samogłoska pierwiastku osłabiała się na spółgłoskę; nazwać go można rzeczywiście heroicznym lekarstwem przeciw kakofonii wyrazu; a jednak miłszy jest duchowi języka naszego nawet i ten heroizm, niż monstualność form takich, jak *wyjiść, zejść*.“

Jeżeli coś wytłumaczyć dostatecznie, całkowicie można w sposób zwyczajny; jeżeli nie potrzeba się uciekać do jakichś heroizmów; to oczywiście wytłumaczenie takie naturalne przenosić

należy nad jiné, cudowne, lub cudosne. Więc i ks. Malinowskiego wytłomaczenie form jak pójść, obejść lepsze od Małeckiego o „heroicznych lékarstw przeciw kakofonii wyrazu,” przeciw uwidzianej „monstrualności form,” z dwójką *ji*. Występując przeciw błędowi, którego, jak obecnie Małecki, uczył dawniej Suchecki (str. 11), a którego się wyrzekł teraz w swój Budowie języka (str. 17.) „wytrąca się rdzenne *i* słowa *jiść* w składzie ze zrostkami,” tę prostą, a tak prawdziwą czyni ks. Malinowski uwagę: „Napiszmy te przykłady pisownią gramatyczną, a przekonamy się naocznie, iż w rzeczonych formach nie zachodzi żadne zespolgłoskowanie samogłoski *i* w *j*. I tak od *jidę* poszło *pójde*. Cóż się tu stało? oto wyrzuciło się samogłoskę czystą *i* ze zgłoski *ji*; to samo w *obejść* za *objiść* od *jiść* wypadła samogłoska *i* po *j*, a wsunęła się samogłoska podręczna *e* przed *j*.” (R. T. II. str. 102).

Wyrzucenie samogłoski *i* nie jest tak niesłychaną, jak przemiana samogłoski *i* w spółgłoskę *j*. Mamy formę *jiskra* obok *jinnéj skra*; *jigrać*, *jigrzysko* obok *gra*, *grać*; ale gdzież przykład na przemianę taką samogłoski *i* w *j*? „Przemienienia się prawda, samogłoska *i* w *j*, lecz to tylko w stopniowaniu *jéj*, gdy jest ostatnią pierwiastku.

I tak, s pierwiastków *pi*, *bi* w *pi-ję*, *bi-ję* powstają nowe *poj*, *boj* za *poi*, *boi* — przez stopniowanie, które tu zależy na postawieniu samogłoski *o* przed *i*, i na przemianie samogłoski *i* w spółgłoskę *j*. To samo dzieje się w grecczynie: *idejn*, a *ojda lip*, *lelojpa*,” (Rocz. T. II. str. 102). Lecz poza stopniowaniem nigdzie a nigdzie nie przemienia się *i* w *j*; więc za złe nikt nám nie weźmie zapewne, gdy heroicznych *) lékarstw

*) Małeckiego heroiczne lékarstwo o jest nawet wprost trucizną, bo prowadzi do błędu.

Teoryją Małeckiego, że przyciskowe, które Mrozińskiemu wydawały się twardymi, zastępującymi tylko miękkie, powstały w drugim stopniu zmiękczenia z pieszczonych: jest błędna. Już sám fakt, że n. p. u Czechów zachowały się przyciskowe, a niema brzmień pieściwych n. p. *ś*, *ž*, świadczy; że nie mogą przyciskowe powstawać dopiero z pieściwych; bo jakoż by z nich powstawać mogły, gdy one znikły w czeskim języku? W azbukach téż starosłowiańskich są pojedyncze postacie na przyciskowe; a pieściwe nie mają osobnych głosek, lecz zaszępują się przez jotowane samogłoski, lub s pomocą *jeru* (znaku zmiekczenia), którego pierwotnie wcale nie było, a przecież właśnie pieściwy jako pierwotniejsze powinnyby mieć własne postacie Małecki rzekome. w końcu swéj gramatyki pomyłki! zamięściwszy do § 45 uwagę dodaje, że teoryji swéj o powstawaniu przyciskowych s pieściwych chwycił się ze względów pe-

Małeckiego nie przyjmujemy, przeciw kakofoniji, której niema tu wcale.

„Nie ma nic szorstkiego we formach pojide, objiść;“ (R. T. I. str. 102) nie ma i w przytoczonych przez Małeckiego wyjść, zjiść: bo czyż dotychczas nie mówimy wyjiskrzyły się gwiazdy, co lud podobnie, jak w piśmiennéj mowie wyjść, wymawia wyjskrzyły? kiedy wszyscy bez wyjątku mówimy zjiścić się? Jeżeli we formach wyjiskrzyć się, zjiścić się nie ma kakofoniji, nie ma nic monstualnego; jakoż Małecki może tyle złego, ba potwornego dopatrywać we formach wyjść, zjiść? nie zejść, lub zeiść, jak pisze Małecki bo to *e* podręczne wsunęło się dopiero po wytrąceniu rdzenego *i*.

Wymyślił Małecki nową spójkę *n* dla uniknięcia rozziéwu pomiędzy dwiema samogłoskami. O takiéj spójce żaden z gramatyków nie wie z wyjątkiem Łazowskiego (Rocz. T. II. str. 72) Natomiast mówi i ks. Malinowski i Suchecki o zastępcy przydechu cieńkiego, eufonicznój nasuwce i wsuwce *j*, którą się wymienia niekiedy na *n* i *ń*. Jako przykład wymiany spółgłoski *j* na *ń* przytacza ks. Malinowski formy zajinka jego, jim, je, które się odmieniają na niego, nim, nie; przezeń, weń, za przezéj, wéj [przez *ji*(go), w *ji* (go)] ; tudzież nasze formy niektóry za *jektóry* starosł. *jeter* niegdyś, niekiedy za starosł. *jegda*. Suchecki (Budowa języka str. 30.) przytacza nadto „od *ji*ść formy *wni*ść (błędnie *wni*ść za *wji*ść; ze zrostka *s* i *j*adać wyrazy *śniadać*, *śniadanie*.“ Że tu zaszła wymiana joty na *ń*, dostatecznie wyświeca ludowy wyraz niedwáb, za jedwáb, jako téż w piśmiennéj mowie używany wyraz kraniec, choć mówimy: *ji*ść na kraj świata.

dagogicznych, dla ułatwiania nauki młodzieży. Ależ błąd prawdzie, tak samo jak i złe dobremu, występki enocie, nigdy nie posłużą.

Owszem, w niezmierny kłopot wprawiby mógł uczeń nauczyciela i samego prof. Małeckiego gdyby mu stawiał takie pytanie: Jeżeli wedle § 41 grammatyki przyciskowe drugim stopniem zmiękczenia i powstają nie wprost, s twardych zlewających się z jotą, lecz z już uprzednio zmięczonych, s pięściwo miękkich: Czemuż się mówi chłopcy (właściwie chłopci) nie chłopczy? czemu tu *e* miękkie Igo. stopnia przed *i* nie przechodzi w miękkie drugiego stopnia *cz*? czemu od człowiek od razu bezpośrednio występuje miękka IIgo. stopnia *cz* we formie chłopcze? czemu w prace, nędze, nie ma tego zmiękczenia, co w chłopcze, księżu? czemu miękkie IIgo. stopnia *sz* przechodzi opacznie od reguły na miękka Igo. stopnia *s* n. p. *wasz* *wasi*? Wszystkie te przykłady do szczytu obalają błędną teorię Małeckiego. —

Tak, co Małecki o spółce mniemaną *n* przytoczył na udowodnienie, że język nasz unika zgłoski *ji*, to się obraca na jej potwierdzenie. Boć jeżeli *n* przez wymianę dostało się za *j*: więc to *j* było tam pierwotnie; więc nie wzięte od razu *n* za spółkę, żeby niedopuszczyć joty, która wtrącaną gdzieindziej „dla usunięcia rozziwu jest środkiem ułatwiającym wymowę, i umilającym brzmienie wyrazów,” a przed *i* ma być „przeciwnie środkiem utrudniającym i prawdziwą zawalidrogą,” co rzecz jest niepojętą; więc raczej i tu przed *i* było *j* pierwotną a jistotną eufoniczną wsuwką, którą następnie dopiero przez wymianę przeszła w spółgłoskę *n*.

S poprzedniego wyvodu naszego, jak *j* o *a* przed samogłoską *i* jest uprawnioną s powodu, że każde *i* w polszczyźnie jest jotowane, następując zawsze po zmięczonych spółgłoskach, dostatecznie już przekonać się każdy mógł, jak mało Dr. Cegielski zna naturę téj samogłoski, tudzież zasadę jotowania, kiedy Dr. Rzepeckiemu mógł s powodu jotowania samogłoski *i* tak błahy uczynić zarzut: że „mając z nadto bijącą prawdą do czynienia co do gminnego wymawiania Jewa, wogon, wowca, jucho, jako zręczny taktyk (!) puścił je w niepamięć; a natomiast widząc wątpliwę, bo wątlejszję natury brzmienie *i* lub *ji* w wyrazach jinny, jich, jim, jistność i t. p. stanął zagorzale po stronie jotowanego *ji*, i uczy, że tak wymawiali i pisali dawni Polacy, i tak téż my wymawiać i pisać powinniśmy. Tam nie było już co powiedzieć, tu da się subtylizować, dowodzić i bałamucić.“

Jim zaś więcęć wejdziemy w głąb rozumowań Dra Cegielskiego o jocie, tym więcęszj dojrzymy niewiadomości jego.

I otóż, co się każdemu zaraz nastęrczą: Dr. Cegielski nie zna właściwie jinnego *j*, jak tylko eufoniczną nasuwkę lub wsuwkę, którą on w dzisiejszym stanie języka za niepotrzebną uważa. I dla tego sądzi on nawet: że „choć jeszcze naród má skłonność do jotowania *i*, acz daleko słabszą,” aniżeli dawniej, — pokonywać jednak może, pokonywać ją powinien i pokonywa istotnie, jak to uczynił we wyrazach Jewa, wowca, wogon, jucho; skłonności bo są i być powinny pod wodzą człowieka rozumnego i świadomego sobie tego, czego chce.“

Wbił sobie Dr. Cegielski w głowę, że niegodną człowieka wykształconego rzeczą „dogadzać organom mownym i ułatwiać sobie wymowę,” w czym doprawdy banalne kryterjum wykształcenia. Uwidział téż sobie, że skłonność do ułatwiania sobie wymowy

samogłosek przez nasuwki *w* i *j* pokonywają naród; które to uwidzenie jest też niczym jak uwidzeniem. Gdybyśmy tej niedoręczności uwierzyli i posłuchali żądania jego, żeby pokonywać skłonność stawiania joty i digamy eolskiej t. j. *w* przed samogłoskami: tobyśmy nie tylko mówili wszyscy: Adam, Ewa, areszt, owca, ucho, lecz także: už, utro, ako (jako) agnię, awor (jawor), ątroba, ęgier i t. p. formy starosłowiańskie, ale bynajmniej polskie; a nawet echać (za jechać — łac. vehi), eść (za jeść) ydać (za wydać *łuzyckie wudać*), ostatecznie Małeckiego (§ 47) ego (za jego) jakoteż jego, ęty (za jęty) i t. p. dziwactwa; tobyśmy naraz dostali jakiś wedle uwidzenia Dra Cegielskiego bardzo ukształcony, bo bez jot i digamm eolskich język, zaprawdę już niepolSKI. —

Pod wpływem Łaciny, którą lubi czyste samogłoski z hijattem, wyrobiła się u pisarzy dawnych dążność do odtrącania wsuwek *h*, a nawet *w* jak we wyrazach *uf* za nasze *huf*, *uj* za nasze *wuj*, Suchecki Budowa str. 15); ale widocznie w narodzie to cudzoziemczenie brzmień rodzimych nie przyjęło się, kiedy my w tych samych wyrazach wymawiamy dziś samogłoski z nasuwkami zastępującymi przydech cienki, które pisarze nawet Zygmuntoŵscy pisali jako czyste samogłoski.

Panowanie nad skłonnością do jotowania i uprawnione w polskim języku, czego żąda Dr. Cegielski, jest również cudzoziemczaniem rodzimych dźwięków. A czy do tego ma dążyć ów Dra Cegielskiego „rozumny człowiek, który świadom sobie tego, czego chce, ma trzymać na wodzy skłonności swe mównie?“ czy ma dążyć do wynarodowienia brzmień ojczystego języka?

Já przeciwnie od Dra Cegielskiego sądzę. Rozumny człowiek każdy uznaje słuszność zdania Szopowicza, iż „tony mowne są skutkiem przyrodzenia, (którego niech się nikt nie sili przeobrazić), są własnością wieków i ludów, (którą nie trzeba pomijać i psować), pisownie zaś dziełem są ludzkim, sprawą samych tylko uczonych.“

I każdy rozsądny nie tylko rozumny, przekonawszy się, że *j* jest przed *i* uprawnione w naturze języka polskiego, nie będzie chciał odmiany tonów mownych, które są skutkiem przyrodzenia i stosowania ich do zwyczajnej pisowni; lecz raczej żądać będzie odmiany pisowni, którą jest dziełem ludzkim, i stosowania jęć lepszego przez uczonych do uprawnionej wymowy.

Dr. Cegielski zdaje się nie pojmować, że *j* może należeć do

składu tematu tak na początku jako i w środku wyrazów.*) A tego tak wyraźnie uczył ks. M. w Oświacie (str. 254): że „w słowiańskim jotowanym *i* spółgłoska *j* w jednych wyrazach nie należy do pierwiastku wyrazu i zastępuje na początku miejsce przydechu np. w wyrazach *jinny*, *jigła* itd.; w drugich zaś jest częścią składową pierwiastku jak np. w *zajimku* *ji* (on), *jim*, *jego*, gdzie samo *j* jest pierwiastkiem, a tu zarazem i tematem; jak w słowie *jimać*, gdzie *jim* jest pierwiastkiem, odpowiednim sanskryickiemu *jám*. A tego wyraźnie uczył ks. M. w Rocznikach (T. II. str. 16): „czemuż nie mamy pisać *j* wtedy, kiedy ono nie jest fonetyczną *jéno* wsuwką, jak w *daję*, ale ostatnią spółgłoską tematu? czemu nie mamy pisać *szyji*, *stojisz*, *krajina* dla złego zwyczaju jedynie?“

Małecki przyjmujący (§. 223) to formy jejgo, to znów (§§. 48 i 50) ego (za jego) za organiczne, w zupełnej ze sobą samym niezgodzie; formy potworne *ąć*, *ęty* (§. 48) za organiczne (miałoby być *jąć*, *jęty*): nie mógł oczywiście nauczyć Dra. Cegielskiego, że *j* na początku wyrazów jest też pierwiastkowym, nie jedynie eufoniczną nasuwką. Lecz że to *j* w środku tematów nie samą wsuwką jest, mógł się od niego choć po części dowiedzieć; bo wszakżeż to on w stopniowaniu (§. 31, 1) wykazuje pochodzenie *áj*, *oj* s pierwotnego *i*; bo wszak przynajmniej w słowach *bojéc*, *stojéc*, *ściągniętych* w *báć*, *stać* uznaje *j* za pierwiastkową (§. 387), nie tak jak Dr. Cegielski wsuwkę eufoniczną.

Że zaś (M. §. 48) nie ego, nie *ąć* lub samo *m* s poprzednim *jetem* (znakiem starosłowiańskim zmiękczenia) są pierwotne i organiczne formy, lecz *jego*, a więc i *jim*, *je*, (nie ego, ani *im*, ani *e*), lecz *jim-ać*: świadczy dowodnie i Suchecki (Budowa str. 16.) przytaczając fakt, że już w sanskrycie była w odpowiednich formach jota, jako to: skr. *jas*, *ja*, *jat* (który), strpl. *ji*, *ja*, *je* (on), w którym po odtrąceniu znamienia osobowości *s* sanskryckie *u* zesłabło w słowiańskie *i*; podobnież ze skr. *jam* polskie *jim-ać*, skr. *jamaj-anti*, pol. *jimają*.“

*) Eufoniczną wsuwką i nasuwką (przygłossem, jak on to zowie) jest Dr. Cegielskiemu jota; a prócz tego skutkiem kontrakcyi np. we formie *jich* ze *jeich*. Pominąwszy to, że forma błędna ludowa *jeich* bynajmniej nie uprawniona w piśmiennéj mowie, choć ją za taką podaje Małecki (§ 223): jakżeż można mówić, iż spółgłoska *j* powstaje s kontrakcyi, kiedy tylko samogłoski zdolne w ogóle kontrakcyi, a tu jota zresztą i w nieściągniętej formie, już stała na początku wyrazu.

Dr. Cegielski tedy przyznaćby powinien już teraz, że nie tylko „można“, lecz trzeba jutować *i* tam, gdzie ta jota należy do tematu, a nawet pierwiastku, rdzenia wyrazu. Bo czyż to rozsądna kazić temat wyrazu?

Dr. Cegielski wypowiada (str. 33) mniej więcej tę myśl: nie potrzebne pisanie joty nawet tam gdzie badacze wiedzą, że jest uprawniona, bo gramatyka uczy kiedy i z jakich przyczyn znika i znów występuje.

Toby można tak jaśniej wyłożyć: cóż szkodzi kazić język przez niegramatyczną pisownią, byle się tylko z gramatyki wiedziało, gdzie jest to skażenie (cf. Muczkowski str. 14); cóż szkodzi bawić się w rodzaj ciuciubaki z biedną samogłoską *i*, która się jużto kryć, jużto wyjawiać má dla jakichś urojonych gramatycznych przyczyn. Cóż to za przyczyna? Czy za taką przyczynę ujęć może przyjęcie z Małeckim (§ 180) kontrakcyi zgłoski *ji* w samogłoskę *i*? a wszak się to tylko samogłoski kontrahują, a od czasu Szopowicza i Felińskiego nikt już joty nie poczytuje wrząc s Kopczyńskim za samogłoskę, z wyjątkiem chyba jedyne Deszkiewicza. Czy za taką przyczynę ujęć może „pozorne znikanie“ joty przed *i*, dla którego nie daje jej ani wymawiać ani pisać Deputacyją, a za nią i Muczkowski (str. 14 uw.) a wszakżeż co tylko „pozornie znika“, to jistnieje rzeczywiście, więc i czytać i pisać się powinno; a wszakżeż to więc argument taki i Deputacyji i Muczkowskiego jest wierutnym sofismatem, i to jeszcze dość niedołężnym.

I Muczkowski, i Małeckie (w „Szkole“ zeszyt 2) boji się, że pisząc jotę przed *i*, niejeden odniesie to *j* do poprzedzającej zgłoski. Próżna obawa: bo i Muczkowski (§ 528, 16) i Małeckie (§ 832, 3) nauczyli nas rozdzielać rozsądnie: bo-*ji*, tak samo jak: ka-*ždy*, ro-*sa*, ko-*le*. Nieuki chybaby rozdzielać mogli boj-*i*; ale ci s pewnością téż zgłoskowaliby kol-*e*. A dla nieuków czyż mamy pierwiastkowe *j* wyrzucać i tak psuć wyraz, lub odstępować od prawideł z natury języka wziętych? Zepsowaniem wyrazu jest wyrzucenie joty pierwiastkowej, jak np. we formach: two-*i*, sto-*i*, po-*i*, za twoji, stoj, poji; i któż może wpaść choćby na myśl, że tu jest pierwiastkiem ze sanskryck. sthi zestopniowane stoj, albo s pi zestopniowane poj, jeżeli tego *j* wcale nie widzi? Odstąpieniem jest od prawideł słusznego, że bez wyjątku, jak to już Mroziński wypowiedział, kończą się temata rzeczowników polskich na spółgłoskę: a wyrzucając *j* przed *i*, któż we formie żmi-*i*, szy-*i* dopatrzy tego słusznego prawi-

dła Mrozińskiego, kiedy jotę z jakiegoś uwidzenia wyrzucono s formy żmiji, szyji, choć wszyscy piszą żmija, szyja? Oczywiście konieczności pisania organicznie twoji, stoi, nie twoi stoi, skłoniła nawet Mrozińskiego, że tę pisownią uznał za dobrą.

W wyrazie krajina *j* jest pierwiastkowe, bo to *aj* powstało z *i* przez stopniowanie krzy (właśc: krzi) na kráj (M. § 30, i) więc oczywista, wyrzucać go nie można tak samo, jak w jinnych na *ina* zakończonych wypaść nie może spółgłoska tematowa np. *l, b*, z wyrazu kotlina (kotł-a), dębina (dęb-u) (cf. Mał. str. 16. Oświata str. 249). Jestże ten wywód nielogiczny, niedorzeczny? Nie bez przyczyny się pytam, bo otóż Dr. C. się zeń zgorszył, wołając: „Cóż to za dowodzenie na Boga! w ustach i pod piórem poważnego badacza!“ Nie będziem się silić na udowadnianie logiczności wywodów rzekomo niegodnych poważnego badacza: ułatwimy sobie sprawę odsyłając go po informacją do Małeckiego, może nie zbyt grzecznymi, ale własnymi jego słowy (str. 6): „niech mi wolno będzie odesłać p. Cegielskiego (w tekście właśc. stoi *p. Rz.*) do zdania kompetentniejszego nadeń (w tekście właśc. ode mnie) sędziego“ tj. tą razą nie „do jego gramatyki,“ lecz rozprawy zamieszczonej w Szkole, w której tenże wywód nazwany „najzupełniej logicznym“ (str. 119).

Niechże choć temu mężowi uwierzy: że co mu się wydaje niedorzecznym i poważnego badacza niegodnym, to niekoniecznie jest zaraz takim; że owszem może mimo to być „najzupełniej logicznym,“ a więc i rozsądnym. Wywód, który się wydał Dr. Cegielskiemu niegodny „poważnego badacza,“ porównał on co do wartości s konceptem swym o indyczce, mówiąc: „Nie jestże ten argument w ustach gospodyni polskiej, (która się u Dr. Cegielskiego oburza na to, dlá czego indyczka ma się kuso pisać bez joty, a nie s pyszna jindyczką) istnie tyle wart, co przytoczony w Oświacie na str. 238, gdzie ks. Malinowski przez p. Rzepeckiego tak dowodzi.“

Wybryku humoru Dr. Cegielskiego my nie porównywały co do wartości z argumentem czy ks. Malinowskiego, czy Dr. Rzepeckiego; nie porówna go téż i prof. Małecki „kompetentniejszy sędzia“ od Dr. Cegielskiego, wedle jegoż własnego przyznania; nie porówna, kiedyć go był nazwał „najzupełniej logicznym;“ ale wyrok potępienia przez samago Dr. Cegielskiego na dówcip jegoż w tych słowach wydany, przyjmujemy całkowicie. Wyrok potępienia: bo jeżeli Dr. Cegielskiemu niedorzecznym się zdawał ar-

gument ks. Malinowskiego, a jegoż dowcip „istnie tyle jest warty;“ więc niedorzecznym i ten koncept, a wybryk humoru, „na Boga! w ustach i pod piórem poważnego“ jeżeli już nie badacza, to pisarza, jakże dziwnie brzmiący?

A takich konceptów dość miernych, a nawet z alluzyjami niedelikatnymi, jest niestety! więcej w tej broszurze, którą fejletonista Dziennika pozn. „polecił jak najgoręcej każdemu miłośnikowi języka ojczystego.“

Dr. Cegielski podchwytuje na rzekomej niekonsekwencji ks. Malinowskiego, zalecającego jotowanie samogłoski *i*. „Wyraz indyk mówi on, radzi ks. Malinowski pisać bez jotacyi; dla czego? oto dla tego, że wyraz ten má pochodzenie obce. Jak to, więc indyk dla tego, że má styczność z Indyami, ma się obyć bez joty, a wyraz jistność, który ma pokrewieństwo z niemieckim *ist*, i tylu innemi obcemi formami; igła, którą má pokrewieństwo z niem. *Igel* anglos. *egle* itp., nie może się obyć bez jotowania?“

Dr. Cegielski bardzo dziwaczne ma wyobrażenie o pokrewieństwie wyrazów polskich z obcymi, kiedy sądzi: że, byle analogiją jakąś odległą odszukać można polskiego wyrazu, jak tu np. *jigła*, z jakim cudzoziemskim, obcym słowem, jak np. *Igel* (choć nasza *jigła* jest niem. *nadel*, a niem. *Igel*, nasze *jéz*); zaraz polski wyraz musi uchodzić za pochodny od każdego obcego i do niego się stósować w organizmie, w składzie swoim.

Tak nie jest: nasz wyraz szereg nie koniecznie wywodzić potrzeba, jak to ktoś w dawnym Roku, jeżeli się nie mylę, uczynił, od niemieckiego *s chraeg*; więc i *jigła* nie koniecznie w niemieckim *jezu*, *Igel* má swoją macierz czy rodzica. Tak nie jest; nasze wyrazy, urobione z jednych nieraz piérwiastków obcych, nie mogą przeto podlegać prawom zasadniczym, prawom obcego jakiego języka, lecz swego własnego jedynie, inaczej musielibyśmy takim samym prawem jak Dr. Cegielski żądać pisania *istność* bez joty dla pokrewieństwa z niem. *ist*, pisać także *est* zamiast *jest* boć to pokrewne z łac. *est*.

Takim zasadniczym prawidłem języków ze starosłowiańskiego rozrosłych jest jotacyją samogłosek na początku wyrazu, które w jinnych językach wymawiają się czysto, s przydechem cienkim (*cum spiritu leni*.) Przykładów na taką jotacyją jest bez liku: jak np. ze skr. *aham*, zendzkie *azem*, jest staropolskie *ja z*, nasze *ja*; ze str. *adi*, nasze *jeden*; ze skr. *admi* greck. *edomaj*, łac. *edere*, nasze *jad-ł*, *jém* za *jedm*: ze skr. *agas n*. *jagnię*. (Suchecki skr. 16). Zatrzymują tę jotacyją słowiańskie języki i wtedy,

gdy zesłabiają *a* na węższe *o*, *e*, *i*. Wyjątku nie ma takiego, jaki stanowią nasi gramatycy, że się *j* ma wtrącać przed *i*. I jakoby mógł być? wszakże wtedy *i* w łacinie powinniśmy we formach *abjicio*, *rejicio* powstałych z *jaceo* odrzucać jotę! Węć ze str. *agras* (stal), jest chorwack. *jagla*, gor. łuż: *johla* czesk. *jehla* pol. *jigła*; ze skr. *as*, *as-ti* jest słow. *jisty*; ze skr. *aś-ani* pol. *jaskrawy*, czesk. i pol. *jiskra*; lit. i łoś. *eva*, czesk. *jiva*, nasze *jiwina*; prowansalskie *estuba* franc. *étuve* (jizba parná) str. g. niem. *stupa*, śr. g. niem. *stobe*, nowo niem. *stube*, starosłow. *jistba*, czesk. i polsk. *jizba* (Such. Bud. str. 16.) Nawet które jeszcze w starosłowiańskim języku wyrazy zaczynały się od czystych hijatycznych samogłosek, w dzisiejszej polszczyźnie mają nąsuwkę *j* lub *w* np. jako, (str 91 ako), jawor (awor por. niem. ahorn), jutro (st. utro) já (star. sł. az stpl. jaz) wątroba (ątroba) (cf. Mał. § 48.)

Od tego zasadniczego prawidła jotacyji naszych samogłosek, zwłaszcza wężłych *e*, *i*, (które, jakeśmy już wykazali, nigdzie w składzie polskich wyrazów nie występują bez jotacyji, chyba że zastępują *o*, *y*) mogą jednak słusznie odstąpić wyrazy żywcem z obcych języków przyswojone, jeżeli się je wzięło z mowy cierpiącej hijat, rozziów, czy zaziów. Węć indyk słusznie pisać można bez joty, że jest wyraz obcy; choć kto napisze jindyk nie zbłądzi, jeno obcy wyrząd spolszczy, który lud całkiem już odmienił na nasz ląd domowy, wymawiając jedor ze zwokalizowanym *in*. —

Jeżeli już o pisownią wyrazu indyk chciał się rozmawiać Dr. Cegielski, mógł był poważne argumenta przywieść: np. że jest w skr. *Sind* a po gr. *Hindos* łac. *Indus*; a wedle samegoż ks. Malinowskiego *s, h* zastępują się u nas przez nąsuwki *w, j*. (Ośw. str. 254); węć że możnaby wrócić przez jotacyą jindykowi pierwotniejsze, a przynajmniej odpowiedniejsze brzmienie, tak jak ks. Małecki wyrazowi bankrut (z włoskiego *banco rotto* wrócić pierwotniejsze *u*, gdy włoskie *rotto* powstało z łac. *rupto*; mógłby odwołać się i na to, że ks. Malinowski chce, żeby i obcym wyrazom na *ya, ia* nadawał cechę polskości, przydając jim jotę za ostatnią spółgłoskę tematową, a więc kładąc pisać *yja, ija*; te zatym téż wyrazy na początku polszczyć dla konsekwencyji.

Zamiast tego wołał Dr. Cegielski szermować dowcipem rwiącym; ale czyż koncept kiedy u ludzi poważnych zdoln obstać za dowód rozumowy? węć na cóż się było na nie sadić?

Uroczyscie wzywá Dr. Cegielski ks. Malinowskiego i Dr. Rzepeckiego: „Pytám sié obydwóch tych gramatyków, aby położywszy rękę na sêrcu, wyznali szczérze, czy to powód na seryo, czy téz tylko na żart wypowiedziany,“ jaki dlá pisowni spójnika *i* bez *joty* podają w tym, że go Zygmuntowscy pisarze przez *y* pisali. Dosyć, że nie zawołał: poprzysięgám wás na Boga żywego! Ależ doprawdy, ná seryjo, nie na żart (to tylko Dr. Cegielski tak wiele má humoru) ten jest jistotny, a jedyny powód pisaniá spójnika *i* bez *joty*. Zygmuntowscy pisarze, na początku wyrazów i zgłoszek przez *i* pisząc naszą spółgłoskę *j*, zapewne przestali początkowe *i* oznaczać przez czeskie *g* s powodu że zawsze z łatwością w samym *i* naszój dzisiejszój *joty* domyslać sié mogli. Jednak przezornie wybrali dlá spójnika *i* postać *y*; bardzo przezornie, bo niechcąc tak jak każde jinne początkowe *i* czytać go jako *ji*, lecz raczój jako czyste *i*, nie mieli jinnego sposobu, jak napisać go przez *y*, które tę posługę, co *i*, świadczyło na końcu dopiéro zgłoszek. Ten sám powód miał zapewne Kochanowski pisząc: *zyści* nie jak zwykle dziś *ziści*, co sié może czytać *žiści*.

Żeby starzy spójnik *i* wymawiali tak jak pisali, przez *y*, nie twierdził tego nigdzie ks. Malinowski; twierdzi Dr. Cegielski bez dowodów. Pisanie go przez *y* nie upowázniá do wniosku, że sié czytał jak *y*. Boć jinaczój, tośmy czytać powinni w książce Nawojki czyáło (ciało) u Zaborowskiego *lyud* (lud) *koscyol* (kościół) tak jak napisane; a przecież tu *y* jest nawet tylko znakiem zmiękczenia.

Ten fakt, że starzy nie jotowali spójnika *i*, i dlá unikniénia nieporozumieniá wybrali dláń przezornie postać *y*, zapisuje po prostu ks. Malinowski (R. T. II str. 30, 41 i na wielu jinnych miejscach.) Wiécój nad to żądać nie powinien odeń Dr. Cegielski. A jeżeli nie dosyć mu na tym; niechájże wytłómaczy nám i sobie, czemu wszystkie słowa, jimiona (M. § 48) szczéro polskie, zaczynające sié od *a*, mają jotacyjá, a nieodmienne jak *albo*, *ani*, mają *a* czyste, hijatyczne. Jak tego dociecze, będzie miał odpowiedź na swe pytanie: Czemu starzy nie jotowali spójnika *i*; a znów czemu jednak niezawodnie, choć późniój już nie w piśmie (tego nie mogli, przywykszy do postaci *j* u Czechów w znaczeniu samogłoski długiej *j-i*), to w mowie jotowali każde *i* porównó z jinnymi Słowianami wszystkimi? Niezawodnie w mowie jotowali, kiedyś s początku pisali nawet s czeska *gich* za *jich*,

gimie za *jimie*, a i później *zajimek* stary (go) pisali przez *gi* (*ji*, *jego*) albo nawet przez *ji*, jak Wujek (R. T. II str. 10.)

Jeszcze choć mimochodem wspomnieć nie zawadzi, że pisanie *joty* nawet pod względem fonetyki jest nieodzowne. I tak pisząc nieorganicznie *ji* przez samo *i*, jakże rozróżnimy: zima (zjimać, jimać) od zima (pora roku)? jak przeczytamy: ziścić, czyż nie ziścić? Kochanowski, aby uniknąć fałszywej wymowy, napisał *zyścić* przez *y* tak jak spółnik *i* (Psalterz z r. 67. str. 19.) Ażeby tu wybrnąć s kłopotu, nie wystarczy, że słownikarze, jak Trojański, nám napiszą: ziścić (z-is...); chybaby przyjąć stare jory i jery (znaki twardości i miękkości spółgłosek, wyrażające odgłosy, jak hebrejskie szwah), albo zamiast nich kręski wszędzie poziome pisać przed *z* w wyrazach złożonych, jak polecał Knapski. Biędzy téj wszelako od razu zbędzie, kto *i* napisze organicznie przez *ji*, gdzie się przynależy, a więc zjimać, zziścić (cf. R. T. II. str. 59. i Suchecki str. 30., który od niegramatycznej, jaką niegdyś zalecał, pisowni *i* samego odstąpił w Budowie języka).

We wyrazach cudzoziemskich na *yja*, *ija* káže ks. Malinowski i Dr. Rzepecki s Szopowiczem, Felińskim, Żochowskim, s Muczkovskim, Sucheckim, wtrącać *jotę*, ażeby nadać jim cechę polskości. Temu sprzeciwiá się Dr. Cegielski s tego jedynie powodu, że to wyrazy obce, od cudzoziemców żywcem przyjęte, że więc *i* *hijat*, rozziów cudzoziemski w składzie swym zachować powinny.

Bylby to rozsądny powód, gdybyśmy rzeczywiście jich dotąd w niczym nie byli spolszczyli.

Ale tak nie jest. Już język starosłowiański má w tych wyrazach *joty*, jak n. p. *Aleksandrija*, *Kekilija* (Cecylia); a więc już w nim przybrały cechę słowiańską przez *jotowanie*.

Starzy, Zygmuntownscy pisarze (tak jak my dziś oddajemy nie dość jeszcze zwyczajne obce wyrazy pisownią cudzoziemską jakoto: Rousseau, a nie Ruso) również wiernie przypisywali cudzoziemskie wyrazy: jak Aegypt (Egipt str. 99. Psalterza Dawid. Kochan. wydania Dr. Rzepeckiego.) Sion (str. 170). Lecz wymawiali oni łać. *ia* zapewne zawsze jako *ija* (M. § 830), bo nieráz już odstępują od pisowni żywcem obcej jak np. Wujek, który w liście do Galatów r. I. w. 7 pisze: Ewanielią, a w. 6 Ewanieliiéy, w. 17 Arabiiéy, w. 21 Cycyliciiéy.

Cechę polskości wszystkie te cudzoziemskie przybrały niezaprzeczenie przez to, że kończą się nie na *a* otwarte, europejskie, lecz wyłącznie polskie *á* pochylone, skąd téż w Bierniku miały i mają nie *e*, lecz *q*.

Przybrawszy do tylá polskości cechy *) że mają *á* pochylone w mianowniku, *q* w bierniku, czyż mogą, czy powinny jeszcze odstępować od ogólnej zasady deklinacyjnej polskiej, że temata rzeczowników wszystkie kończą się na spółgłoskę?

Jakżeby od nich tworzyć wtedy dopełniacz liczby mnogiej, którym w rzeczownikach żeńskich jest sám temat?

We wyrazach obcych bez joty wsuwnéj napisanych n. p. Francy-a, lili-a, Dani-a, religi-a, są temata Francy, lili, Dani, religi: a czyż tak brzmią dopełniacze? A jeżeli dopełniacze są: Francyj, lilij, Danij, religij; tedyć takież są i temata; tedyć wszędzie wsuwné jota niezbędne w tych wyrazach.

I dla etymologii i dalej (słowotwórstwa) i dla fonetyki, wymowy, potrzebne tu jota. Jakże możnaby utworzyć przymiotnik religijny od religi-a? Kiedy od rol-a jest rol-ny, więc od religi-a powinien brzmieć religi-ny. A czy tak kto go tworzy?

Jakżeby można wymawiać, jak się należy, napisawszy nieorganicznie *Dania*, *harpia* co już Kopczyński czuł, bo pisząc Grecya, pisze jednak: *analogija* (str. 297), filozofija. Chybaby jak słownikarz Trojański pisał *harpia*, a przytym w nawiasie (wymów: harpi-ia); boć jinaczej wyraz *Dania* każdy wymówiłby powinien: *Dania*, tak jak: *kania*, *ban'ia*. Albo téż jeden jeszcze ratunek, pisać to *i* w obcych wyrazach, jak radzi Królikowski przez *i* (z' punktami dwoma); żeby każdy wiedział, że to nie jest znak zmiękczenia. Chybaby bardziej się podobał projekt Szepowicza, żeby znak zmiękczenia pisać przez takie *i*.

Dr. Cegielski czyni spostrzeżenia, iż „akcentując trzecią od końca zgłoskę, tak się łatwo i prędko prześlizgujemy z jednej zgłoski na drugą, że pomimo zbiegu samogłosek żadnej nie doznajemy trudności w przejściu i połączeniu ich ze sobą, czyli

*) Nie pozná nikt obcych wyrazów ani z zakończenia jich na *yja*: *ija*, ani z akcentu, choć niesłusznie tak utrzymuje Dr. Cegielski. Zakończenie to mamy bowiem w szczeropolskich wyrazach jak *szyja*, *źmija*; takóż akcent na trzeciej od końca w wyrazach, jak w ogóle, okolica, rzeczpospolita, daliśmy.

wcale prawie nie czujemy rozziwu. Rozumowanie własne Dr. Cegielskiego bije: boć jeżeli tylko prawie nie czujemy rozziwu, to ten rozziw tam wszelako jest, choć mały; a więc, chcąc się głosem łatwo i prędko prześlizgnąć przez ten, choć mały, rozstęp samogłosek, jich rozziw, potrzeba koniecznie pomostu, kładki; bez wsuwki, bez joty prześlizgnąć się nie można, lecz koniecznie trzebaby przeskoczyć, lub przekroczyć głosem rozstęp hijatyczny.

Spostrzeżenie Dr. Cegielskiego, że wsuwanie joty w tych cudzoziemskich wyrazach zniewalá do mimowiedniego przenoszenia akcentu s trzeciéj na drugą zgłoskę od końca, jak to czyni lud prosty, jest bardzo wątpliwéj wartości. Bo jeżeli ta przyczyna przenoszenia akcentu u nieznających cudzoziemskiéj wymowy: jakáż zniewalá tychże do wymawiania z akcentem na drugiéj, zamiast na trzeciéj we wyrazie: fizyka, w którym nie ma wsuniétéj joty?

O tym, co prawi Małecki (§ 830), że ia, ya, są formy ściągnięte z dawnych eja, yja, ani mowy być nie może. Cóż to za kontrakcyjá, kiedy obie samogłoski pozostały, nie zlały się ze sobą, co przecież jest istotą każdego ściągnięcia? prof. Małecki móglby mówić o wytrąceniu joty, spółgłoski; lecz o kontrakcyji nigdy przenigdy!

Broni także Dr. Cegielski drugiéj pisowni obcych wyrazów przez samo ja n. p. Francja, Dańja, religja, którą wniósł Suchorowski (R. T. II. str. 60) do piśmiennego języka, a którój wedle Łazowskiego „czulszym uchem i natchnieniem powodujący się pisarze trzymają od lat trzydziestu choć gramatyce, nie dociekszy jój podstawy, ciągle ją potępiali“. — (R. T. II. str. 73).

Czyżby i Dr. Cegielski „powodować się miał czulszym uchem i natchnieniem“, broniąc pisowni, którą i prof. Małecki, „kompetentniejszy od niego sędzia“ w swéj grammatyce (§ 830) nazývá niedorzecznością? Nie będziemy go jednak odsyłali, jak to on uczynił z Dr. Rzepeckim, do gramatyki Małeckiego, „żeby się z niéj zasad grammatycznych nauczył“, choćbyśmy mieli jak największe prawo do tego odwetu: wolimy raczéj obu zdania na szali krytyki zważyć.

Dobrze rzecz pochwycił Dr. Cegielski, kiedy sobie założył dowieść: że pisowniá taká (przez samo ja) nie sprzeciwiá się

ani pochodzeniu tych wyrazów, ani duchowi i warunkom fonetycznym naszego języka. Sposób jego dowodzenia atoli nikogo zadowolić nie może. Bo czegoż dowodzi taki argument: „że jeżeli językom obcym nie mamy zadawać gwałtu (przez odtrącanie samogłoski s tematu), to go też zadawać nie należy przez wsuwanie joty i rozciąganie przez to dwóch zgłosek końcowych, które w łacinie z lekka ze sobą się łączą i spływają“? Przypuśćmy na chwilę, że wsuwanie joty gwałci przyrodę wyrazów obcych, jak to utrzymuje Dr. Cegielski: to czyż przez to samo, że się komuś dowiodło błędu, dowiodło się zarazem swęj prawdy? Co do tego, czy warunkom fonetycznym języka nie sprzeciwiają się takie zgłoski, jak cja, dja, zja, za lekko sprawa zbytą twierdzeniem, „że zbięg takich brzmień nie jest tak niesłychany.“

— Na uzasadnienie swego twierdzenia zaczyna, niestety! znów dowcipem szermować. Wprowadzą djabła, „przeklęty on wyjątek, którego nie mogąc do kozy, przynajmniej w parentezę Dr. Rzepecki miał zamknąć,“ dopominającego się: „że kiedy wyrazy święte (zakrystyja, hostyja, ewangelija,) i innych świeckich i powszednich mają mieć tyle zgłosek, ile ich mają w obcych językach, to i on równie dobry *łacinnik* (autora gramatyki greckiej opracowanej wedle Kuhna, widocznie opuściła pamięć, że djabeł nie z łacińskiego, lecz z greckiego wyrazu *diabolos* pochodzi) powinien ich mieć trzy, a tēm samēm pisać się znów *dyjabeł*.“

Dr. Cegielski sofistycznie wnioskuje: wykazał, że wyrządź w polskim języku skrócił się przez wytrącenie samogłoski piérwiastkowej *i* z *dijabeł*, a przez to dowiodł tylko, że język nasz w ten sposób może cudzoziemskie wyrazy spolszczać; lecz bynajmniej nie udowodnił jeszcze, że powinien na podobę wyrazu *djabeł* obce wyrazy wszystkie tak przejinaczać; nie udowodnił mianowicie, że każdy wyrządź cudzoziemski s końcowym *ija*, *yja*, powinien to *i*, *y* wytrącać, jak się to stało w wyrazie *djabeł*. Náród dotąd nie wymawia na podobę wyrazu *djabeł* za *dyjabeł*, wyrazu religiją jak religja; Azyją jak Azja; Daniją jak Dańja: więc kto tak pisze, grzėszy przeciw faktycznej fonetyce polskiej. — Pisownia ta zalecana przez Dra Cegielskiego jest nadto antigramatyczną na wskroś. Bo jakże utworzyć dopełniaez l. mn. od napisanych tak potwornie tematów? czy formy religj, Azj uzná kto za prawowite Dopełniaeze, czy je kto choć wykrztusić zdoła? Bo jakże, pytamy s prof. Maleckim (§. 830), organiczną formę przymiotnika: religijny wywieść od religja?

chyba że z Łazowskim przyjmiemy tu „wyrzutnią i wrzutnią samogłosek *i, y*,” co jest jistną jigrąską R. T. II. str. Bo jakże napiszecie zresztą *Danija*, religija po swojemu? czy *Dańja*, religja, jak błędnie pisze Łazowski nawet szczeropolskie wyrazy, jakoto: wźjąć, rękojmia? Takby wypadło; ale tak nikt ze zwolenników końcówki samego *ja* nie pisze okrom Łazowskiego chyba, jak prof. Małecki to poświadczą (§. 830). A gdyby tak kto napisał: czyżby tu nie domyślił się każdy przed jotą jakiegoś drugiego *j*, które się zlało i znikło w zmiekczonej spółgłosce? a więc że *Dańja* powstało z *Danj—ja*? a czy tak potwornie wyglądał kiedy ten wyrząd bądź w obcym, bądź w naszym języku?

Przeciw faktycznej fonetyce języka polskiego grzėszy, kto pisze religja, Azja, *Dańja*, bo nikt tego nie wymawia ani jak religj—a, Azj—a, *Dańj*—a; ani tćz jak relig—ja, Az—ja, *Dań*—ja; ani jak reli—gja, A—zja, Da—ńja.

Lecz nadto grzėszy przeciw zasadniczćj regule głosowni naszej, że każda jotowana samogłoska u nas mićkczy poprzedzającą spółgłoskę; wedle którćj z jego form: religja, Azja, *Dańja*, powstaćby powinny: relidza, Aza, Dania (*Dańa*). (cf. Mał. § 830).

Nie może się Dr. Cegielski zastawiać wyjątkowym u nas zjawiskiem połączenia joty ze spółgłoską we wyrazie *djabeł* i w złożonych s przyjimka *z*, jakoto: *zjazd*, *zjadł*; boć wyjątek nigdy i nigdzie reguły nie obala.

Wyjątkiem zaś takim jistotnie są u nas formy podobne, jak *djabeł*, *zjazd*, *zjadł*, *zjąć* s twardą spółgłoską obok joty: wszak bo kiedy u jinnych Słowian organicznymi formami są takie, jak *djeło*, *rjeka*, u nas one brzmieć jedynie mogą *dzieło*, *rzeka*; wszak bo u nas nawet obcy wyraz *Madjar* już się przemienia takćz w *Madziar* na podobę, jak *jinnosłowiańskie dzieło* przechodzi u nas w *dzieło*; wszak bo u nas ta zasada mićkczenić przez jotę tak jest silną, że s pogwałceniem powszechnćj reguły, aby w złożonych wyrazach odrćżniać składowe czćści, mićkczy się spółgłoska przyjimka *wz*, a ginie jota słowa *jąć* we wyrazie złożonym *wziąć* (za *wz—jąć*).

Nie Dr. Rzepecki tedy potworzył sobie takie wyjątki, jak Dr. Cegielski dziwaczny czyni mu zćrzut, pocieszając się, że „nic na tegoż stronę nie dowodzą”, boć są jego tylko wymysłem. Charakteru cechy wyjątku od reguły zapewne oprćcz Dra. Cegielskiego, nikt jinny nie odmówi formom podobnym, jak *djabeł*, *zjazd*, *zjadł*, i t. d.

Pomiędzy wywodami prof. Małeckiego przeciw pisowni ob-

cych wyrazów przez samo ja (jak religja) przytoczony jeden dziwaczny téż argument: Nie trzeba pisać ja, bo w dopełniaczu wypadłoby wtedy napisać ji (religji), „której to kombinacji nigdy w pisowni polskiej nie używamy.“ Banalny to argument: boć niegramatyczna zwyczajowa tylko pisownia *i* za *ji* nie może zgoła wpływać na sposób pisania jinnych znów wyrazów tak lub owak. Jest on jednak niezbity dla wszystkich, co mają wstręt jakiś nienaturalny do zgłoski *ji* przez wszystkich Słowian używanej, choć jim się bardzo zresztą podoba i ja, i je, jo, ju, ję, ją. Dla zwolenników jotowania samogłoski *i* jest on wcale już nie potrzebny.

Ani pisownia *ya, ia*, ani *ja*, nie jest odpowiednią: przez *ya, ia* pisane wyrazy nie tracą wprawdzie swych tematowych samogłosek, lecz zatrzymały rozziw cudzoziemski nie miły uchu polskiemu, i wogóle słowiańskiemu, skąd u nas mówi się nie *szy-a*, lecz *szyja*; pisane przez *ja* wyrazy te cudzoziemskie tracą tematową samogłoskę w piśmie, której nie tracą w mowie; tracą konsonantyzując samogłoskę *i* w jotę, czego nie mamy ani jednego przykładu w mowie naszej po za obrebem stopniowania.

Więc ostatecznie tylko ona przez Szopowicza, Felińskiego, Żochowskiego, Muczkowskiego, a teraz i Sucheckiego zalecana pisownia przez *yja* odpowie wszelkim wymaganiom i etymologii i fonetyki. Zatrzymując tematową samogłoskę obcych wyrazów, nie wytrącając *jéj*, zachowuje ona rodowód, etymologiją: wsuwając jotę, zapobiega rozziwowi, nie miłemu dla ucha słowiańskiego; a tak dopełnia warunków fonetyki naszej, nie kładąc bynajmniej jistoty tych wyrazów, jak to chciał utrzymywać Dr. Cegielski.

Ta téż tylko pisownia spolszczająca *końcówkę* obcych wyrazów na *ia* przez wsunięcie joty, bo urabiającą przez to jich temat (odpowiednio do ogólnej reguły dotyczącej rzeczowników), s końcówką spółgłoską, umożliwia pomieszczenie jich wygodne w ramie naszej deklinacji polskiej wyrazów rodzimych, jak: *szyja, żmija*.

Słusznie zaprawdę wyrzekł Muczkowski (gr. 3 wyd. str. 280) o téj pisowni: „Taki sposób pisania tych imion, nie tylko że się zgadza z wymawianiem ich, ale nadto uogólnia zasadę ich spadkowania, jak się o tym z porównania odmiany tych imion z polskimi tegoż zakończenia (zob. *żmija* § 116) przekonać można.“

Skończywszy dyskusyją o jotę, nie mogę się powstrzymać, żeby nie naganiać Dr. Cegielskiemu publicznie lekkomyśl-

ności, z jaką do swych konceptów o djable mięszą rzeczy święte. „Djabek, — mówi on, — najprzód dopominą się nieprzedawnionych praw swych od p. Rzepeckiego, i woła, że kiedy zakrystyja, hostyja, ewangelija mają mieć swoje *j*, i rosnać przez to w powagę, to i on swoje *j* dostać powinien i mianować się dyjabłem.“

Cały ten koncept jest bez celu i bez sensu; bo najpierw kwestyja tu była nie o to, czy djabek ma prawo żądać drugiego *j*, lecz raczej czy z wyrazów jak religija można i wytrącić, bo dalej nigdzie i nigdy Dr. Rzepecki nie utrzymywał, że przez jotę dodaje się jakiemu wyrazowi powági. Skądże tedy, odchodząc wcale od rzeczy, wpadł Dr. Cegielski na myśl, że przez jotę rośłyby w powagę hostyja, ewangelija? Jest w tym doprawdy demoniczna jironijá; i bardzo trafnie wyraził Dr. Cegielski jój naturę, kładąc ją w usta djabłu. Co zaś do prawa jakie wedle Dra. Cegielskiego rościć ma djabek do joty, żeby urosć w powagę; to niechżeż mu Dr. Cegielski jile chce jich przypisze. My mu zwrócimy tylko jeszcze uwagę, że przybrawszy drugą jotę, bynajmniejby się nie mógł jego protegowany mianować dyjabłem, lecz raczej djjabłem, co niech wymawia, kto sobie dla djablój mości język chce połamać. —

Już po oddaniu manuskryptu do druku dostałem drugą część rozprawy prof. Małeckiego o jocie. Wywody i w téj drugiej części zawarte trzeba uwzględnić.

S przyjemnością najpierw zapisujemy wyraz szacunku prof. Małeckiego dla swego antagonisty, ks. Malinowskiego. „Im więcej — mówi on — uczoność i pracowitość tego męża poważam, a zacność charakteru uwielbiam, tém mi boleśniej że i jego między zwolennikami tego obozu znajduję i obecnie do sporu z nim naukowego widzę się zmuszonym.“

Jakże to różná mowa od Dr. Cegielskiego wycieczek!

Co do rzeczy. —

Prof. Małeckiemu zarzucimy, że nie zadał sobie pracy, ażeby dobadać się właściwej nauki ks. Malinowskiego. Jest to niezawodnie trudzące, wyszukiwać pojedynczych zdań ks. Malinowskiego, rzuconych przezeń bez systemu przy krytyce opinij naszych gramatyków, i s tych kamyków składać sobie całość mozaikową: ale kto chce polemizować przeciw jakiej doktrynie, nie powinien żałować trudu, na to, aby się z nią dokładnie obeznać; boć inaczej na wiatr pójdzie marnie każde jego słowo.

Prof. Małecki przytoczywszy (z Roczn. T. II str. 3a) ustęp, w którym ks. Malinowski utrzymuje, że *i* nasze nie jest bynajmniej czyste, lecz każde (z wyjątkiem spojnika *i*) jotowane, zestawia z nim kilka miejsc, w których o fonetyce polskiego *i* jest mowa; i zaraz upewnia się niebacznie, że nie ma ks. Malinowski na uzasadnienie swego żądania pisowni *ji* nad fonetyczne jinyne powodów głębszych, etymologicznych.

A przecież Suchorowskiemu np. ani nie mógł ks. Malinowski jinać odpowiedzieć, jak ze stanowiska fonetyki, boć i ten bił we fonetykę! (cf. R. T. II str. 50).

We wszystkich tych przytoczeniach prof. Małeckiego widzimy, że się ks. Malinowski w sferze fonetyki porusza: to prawda. Ale że prof. Małecki „mógłby ich liczbę powiększyć nie na tém nie zyskując,” to nie prawda. Byłby zyskał owszem to przekonanie: że, choć ks. Malinowski i „w sferze fonetyki się porusza,” jak być wcale jinać nie mogło; wszelako „nie ciągle” i nie wyłącznie, „tylko w sferze fonetyki.”

Gdyby był z ustępem przytoczonym z Roczn. T. II str. 30 zestawiał ustępy T. I str. 92 i T. II str. 65, nie byłby mógł poniżej napisać tych słów swoich: „I dziwi mię to niepospolicie, że jeszcze żaden (ze zwolenników jotowania) nie użył tej racji: jako sama natura samogłoski *i* jest taka, że bez joty stać nie może; bo zawsze ma przed sobą miękkie spółgłoski, a każde miękczenie jest dziełem joty, nigdy samogłosek czystych.” To bowiem właśnie twierdził w zacytowanych miejscach ks. Malinowski, a więc nie jedynie fonetyczną stronę, zewnętrzną, powierzchwną pochwycił kwestyi jotowania; lecz sięgnął w głąb rzeczy; dotarł zasadniczych, etymologicznych podstaw, na których stoi w głosowni teoryja miękczenia spółgłosek.

Prof. Małecki, nie wiedząc że ks. Malinowski tak już twierdził: iż „każde *i* z natury i zawsze jest *ji*,” (R. T. II str. 81) występuje bardzo szlachetnie, przeciwnikom swym wskazując broń, oczywistą w nadziei, że ją z łatwością nam z ręki wytrąci; od siebie podając sposób obrony, „która ze wszystkich niewątpliwie najsilniejsze má po sobie pozory prawdy.”

Że to, co utrzymywał już ks. Malinowski o gieniezie miękczenia spółgłosek ze zléwu jich z jotą, a co jako najsilniejszą obronę dla joty przed samogłoską *i* — zawsze miękczącą — wskazuje prof. Małecki: że to nie tylko w zakresie naszego języka má pozory prawdy, lecz jistotnie jest prawdziwe, już wyżej udowańniałem.

Za ks. Malinowskim i ja przytoczyłem Dobrowskiego zda-

nie na dowód, że już w starosłowiańskim języku samogłoska *i* miała właściwość miękczenia z tego powodu, że była jotowaną. Prof. Małecki dowodzi, że takiego wniosku czynić z ks. Dobrowskiego słów nie można. Zobaczmy. Dobrowski w swych *Institutiones linguae slavicae dialecti veteris* tak powiada: „samogłoska *y* (napisana przez znak *i* s poprzedzającym znakiem stwardzenia, *jorem*) tak się różni od *i* (napisanego przez postać wielką greckiej głoski *eta*), jak *a* twarde (*solidum*) od płynnego *ja* (*liquidum*). Przeto *y* policzyć należy pomiędzy samogłoski twarde, *i* zaś do płynnych.“ (Rocz. T. I str. 15).

S tego wyrzeczenia ks. Dobrowskiego takie wnioski czyni ks. Malinowski; „Według Dobrowskiego więc, jak się má *a* do *ja* tak się má *y* do *i*. Samogłoski *a*, *y* są czyste, wymawiające i piszące się s przydechem ciekim (w grecczyźnie cum spiritu leni): więc *i* według Dobrowskiego jest podobnie jak *ja* jotowane, jest zgłoską składającą się ze spółgłoski *j* i samogłoski *y*. W tym jednak jest niedostateczność, że ks. Dobrowski uważa *i* za jotowane *y*, kiedy ono i w starosłowiańskim, rosyjskim i polskim składa się ze spółgłoski *j* i samogłoski *i* czystej, a nie *y*. Dobrowski widząc całą różnicę pomiędzy *i* a *y* w tym, że pierwszą wymawia się ze spółgłoską *j*, drugie zamiast z *j*, s przydechem ciekim, pomija drugą różnicę, którą zależy na tym, że *i* wymawia się kanałem ust ściśnionym, *y* zaś rozwartym. Cyrylskie *i* (pisane przez postać *ety*) jistotnie i graficznie składa się z dwu połączonych z sobą krések, w których pierwsza oznacza spółgłoskę *j*, drugą zaś czystą samogłoskę *i*.“

Przytoczyłem rozmyślnie cały ten ustęp zawierający rozumowanie ks. Malinowskiego, żeby je łatwiej było każdemu porównać s prof. Małeckiego krytyką.

Rozumuje prof. Małecki najpierw przeciw twierdzeniu, że cyrylskie *i* graficznie przedstawia naszą głoskę *ji*.

Przyznajemy mu słuszność, że „wynalazca kirylicy znak greckiej *ety*, (która już w czasach bizantyńskich zamiast jako długie *e*, wymawiało się jako *i*) żywcem przejął na oddanie samogłoski *i* słowiańskiej. A nie przypuszczamy wcale, żeby mógł sądzić, iż ks. Malinowski, który tyle grafiką słowiańską się zajmuje, uważał ten znak *ety* w kirylicy dotąd za samodzielny utwór jej wynalazcy, że dopiero od prof. Małeckiego się dowiedział, iż to postać jak inne przejęta.

Ale choć przejęta ta postać *ety* na oznaczenie słowiańskiej

samogłoski *i*, to można jednak s ks. Malinowskim twierdzić, że graficznie przedstawić *i* jotowane zgłoskę *ji*. Mógłby przecież wynalazca kirylicy, dobierający sobie postaci z alfabetu greckiego na oddanie brzmień słowiańskich, być uderzonym złożoną z dwu krósek postacią dawniej ety, (pierwotnie długiego *e*, później wymawianego jak *i*) właśnie dla tego, że się tak graficznie nadawała dla oznaczenia słowiańskiej samogłoski *i*, która będąc zawsze miękką, a więc jotowaną, tworzy też właściwie zgłoskę *ji*.

To przypuszczenie (a o pewności mowy tu być wcale nie może, jeno o hipotezach mniej lub więcej prawdopodobnych) zapewne nie jest nierozsądne.

Prof. Małeckiego przypuszczenie, jeżeli nie jest mniej uzasadnione, to przynajmniej „nie zdaje mi się tyle jasne, żeby dalszego dowodzenia nie potrzebowało.“

Utrzymuje on, że wynalazca kirylicy mając „w greckim alfabecie dwa znaki na *i*, tj. grecką iotę i etę, wziął postać *ety* na oddanie w słowiańskim abecadle samogłoski *i*, a greckiej joty do jotowych słowiańskich kombinacji, jak np. *ju*.“ (Pierwszą postać jotowanej głoski nie wiedzieć czy má wyrażać *ja* czy *je*, bo zdaje się, źle w Szkole wydrukowaną.)

Sprostować tu najpierw należy twierdzenie prof. Małeckiego, jakoby znak joty użyty był tylko do kombinacji jotowych: wszak bo *y* napisane też przez jotę z jorem tj. ze znakiem twardości. Czemużby tedy wynalazca nie miał wziąć greckiej joty na oddanie samodzielnej samogłoski *i*, gdyby miała być zarazem czystą, nie jotowaną, kiedy napisał nasze *y* przez tę jotę z uprzednim jorem (znakiem twardości)? Sama iota bez wszelkiego znaku, albo ostatecznie z jerem (znakiem miękkości) mogłaby przecież bardzo dobrze i nawet odpowiednio, analogicznie do *y* konsekwentnie oznaczać *i*, gdyby ono w słowiańskim było tak jak *y* czyste. Więc i tu znów nastęrczą się nám nasze przypuszczenie jako najodpowiedniejsze; że wynalazca kirylicy, który dla wyrażenia *y* twardego użył ioty z jorem, który dla oznaczenia jotowych kombinacji użył ioty bez wszelkiego znaku: rozmyślnie przejął postać *ety* greckiej dla słowiańskiego *i*, zawsze w starosłowiańskim, tak jak w rosyjskim i polskim miękkącego, a więc jotowanego, przeto już jakby umyślnie dla zgłoski *ji* stworzoną, graficznie wyrażała kombinacją, (*ji*), *i* z jotą. Ależ kulawe jest ks. Dobrowskiego przyrównanie, mówi prof. Małecki, boć nikt z nim nie będzie wywodził miękkącej, czy jotowanej samogłoski *i* od twardego *y*. „To byłoby arcybłędym, przyznać mój

czcigodny przeciwnik i każdy; a Dobrowski, gdyby żył, przyznałby to przed wszystkimi.“

Czcigodny przeciwnik ks. Malinowski nie potrzebuje dopiero teraz przyznawać, kiedyś on to właśnie, a znacznie wcześniej od prof. Małeckiego, bo w r. 1860 w T. I. Roczników T. P. N. poznań. już tę pomyłkę Dobrowskiego wytknął, com wyżej dosłownie przytoczył.

Że ks. Dobrowski błędnie ze względu na fizjologiją mowy wywodził początek *i* jotowanego (a więc zgłoski *ji*) od twardego *y*, nie bącząc, że *i*, a więc także *ji* wymawia się kanałem ust ściśnionym, *y* zaś roztwartym: „to wszelako nie pozbawia cechy prawdziwości tego spostrzeżenia jego co do etymologicznej i fonetycznej natury samogłoski *i* (*ji*), którego prawdziwość wcale nie zależy od słuszności jego mniemania błędnego, że fizjologiczną pokrewne są *y* z *ji*: to wszelako nie ujmuje wartości spostrzeżeniu temu bardzo ważnemu, że jak *a* i *y* są czystymi samogłoskami, tak *i* (*ji*) (napisane w kirylicy przez graficzną dwójkę jot w postaci greckiej ety), również jak *ja*, jest jotowane i dla tego miękkie.

Ależ, „gdyby w kirylicy postać *ety* rzeczywiście była znakiem zgłoski *ji* (jotowanego, bo miękczącego *i*) to np. narzędnik l. mn. od ryba brzmiałby rybámji. A tego przecież, zarzuca prof. Małecki, nikt na seryo twierdzić nie zechce.“

Że ta forma rybamji w naszej mowie byłaby potworną, tak jak np. wziąć jak pisze Muczkowski za wziąć, gjąć, njego, jak pisze Łazowski za giąć, niego wydalyby się każdemu strachowiskiem: nie przeczę. My formę naszą: rybami, jak to ks. Malinowski słusznie powiadać, czytać nie możemy rybamy, jak lud wymawia, bo końcówka ta powstała ze sanskryckiej *bhis*, co już w litewskim przemieniła się w *mis*; ani też rybamji, bo u nas jot *s* poprzedzającą twardą pierwotną spółgłoską w pochodną miękką zléwa się etymologicznie i fonetycznie.

Ale też sama forma rybamji w starosłowiańskim języku, sądzę, nie jest czymś tak potwornym. Wszak bo starosłowiański język, nie mając tak, jak na przyciskowe, osobnych postaci na pieściwe, miękkie spółgłoski, zastępuje tam brak przez łączenie twardych spółgłosek z jotowymi samogłoskami. We formie więc rybamji nie nie byłoby nadzwyczajnego; raczej zwyczajny sposób oznaczenia miękkości — tu spółgłoski *m*, byłby tu zastósowany.

Co ks. Malinowski dawał na dowód organiczności pisowni *ji*, że zarzuciwszy jotowanie na sposób czeski przez *g*, używali go starzy Polacy; jednak jeszcze w Zygmuntowskich czasach w zajimku *ji* (nasze go) albo przez *gos* czeska, albo już przez nasze *j*, a to zapewne dla odróżnienia od spółnika *i*, w którym jest to i czyste, niejotowane; to stara się także wywrócić do szczętu prof. Małecki.

Ale i tu nie możemy mu trafności w jego wywodach przyznać.

W swój gramatyce (§ 224) zapewniał: że *g* w zajimku starym, jak go jeszcze pisali s czeska Wujek, Skarga, Kochanowski „nie miało ani znaczenia *j*, ani *g*, tego można dowieść niewzruszenie.

O jile wiem, nikt nie twierdził, żeby tu *g* miało znaczenie *g* właściwego: przeciw temu też dowodu nie żądamy. Ale że brzmiało jako *j*, to za ks. Malinowskim twierdzimy i będziemy się starali uzasadnić, a wywrócić wywody przeciwnie prof. Małeckiego, choć zapewne teraz te w Szkole podane miały być niewzruszone.

Cały wywód prof. Małeckiego redukuje się na to: Zygmuntowczycy pisali zajimek *i* (*ji*-go) przez rozmaite graficzne postacie jedynie dla tego, że, jak to z Knapskiego słów wyrozumieć można, starali się odróżnić go w piśmie od spółnika *i*, który zresztą wedle Schlejchera ani fonetycznie ani etymologicznie nie różni się wcale od zajimka onego. Gdyby byli uważali naszą dzisiejszą jotę tu za uprawnioną, byłiby też pisali w jinnych przypadkach nie im, ich, lecz gich gim; byłiby jinne także wyrazy poczynali piśmiennie przez gi.

Oczywiście nie pisali tak, bo i nie wymawiali *i* z jotą, lecz hijatycznie jak wyrazy starosłowiańskie, włoskie, francuzkie i t. p.

Schlejchera wywodów na tożsamość fonetyczną i etymologiczną spółnika *i* a zajimka *ji* nie znamy.

Co Knapski powiada, ganiąc pisanie spółnika *i* przez *y*, jak to Zygmuntowscy pisarze czynili; „cur *y* scribendum sit non video“: to niczego nie dowodzi na korzyść prof. Małeckiego twierdzenia. Jeżeli bowiem za niego pisali wszyscy zajimek przez *ji*, lub *gi*, to już dostatecznie go przez to odróżniali graficznie od spółnika *i*; i dla tego to zapewne dziwi się i nie rozumie, czemu go piszą po dawnemu przez *y*, kiedy nie brzmi tak twardo jak jinne *y*.

Jednak Zygmuntowscy pisarze, trzymając się dawniej tradycyi

pisania tego spółnika przez *y*, pomimo naganienia przez Knap-skiego, okazali wielką troskliwość o dobrą wymowę, lękając się widocznie, żeby napisanego przez samo *i* spółnika nie czytano jak *ji*, kiedyć zapewne brzmiało w jich ustach każde *i* na początku wyrazu jako *ji*. Kochanowski piszący żyścić, zymać, też samą niezawodnie obawą się powodował.

Zapewne każde *i* początkowe brzmiało w ustach Polaków s czasu Zygmunów jako *ji*. Bo czyż podobna przypuścić, żeby pod wpływem nauki języków klasycznych, cierpiących rozróż, a więc aspirujących lekko samogłoski początkowe, nie jotujących tak często, jak słowiańska mowa samogłosek, mieli się tak wnet, tak od razu wynarodowić pod względem wymowy rodzimych dźwięków? Prawda, że opuszczali oni nagłosy nawet tam, gdzie my jich dziś używamy np. w wyrazie uf (nasze hufiec), uj (nasze wuj), usárz (husarz); ale żeby całkiem a całkiem mieli wyrzucać jotę nie tylko w piśmie, lecz i w wymowie, kiedy dawniej powszechnie była pisaną s czeska przez *g*; cóżby to za przewrót był w fonetyce języka ogromny!

Jich Ojcowie przecież z epoki Piastów i pierwszych Jagiellonów przed 16 wiekiem dopóki używali za przykładem Czechów postaci *g* na oznaczenie naszego *j*, pisali często gich, stogi, mogli za formy Lelewela, Żochowskiego, ks. Malinowskiego; jich, stoi, moi. (R. T. II. str. 101); Psáltérz Małgorzaty pomnik 14 wieku, w jednym psalmie pisze 27 giszto za jizto, 4 razy gich za jich, 2 razy gim za jim; Parkosz w wieku 15tym. pisze v gijmę za w jimię (T. II. str. 59).

Jeżeli się przypuściło, że ongi Zygmunowscy pisarze, tak jak Dr. Cegielski ninie, uważali opuszczanie nagłosów *j*, *h*, *w*, a wymawianie samogłosek czysto, hijatycznie, s cudzoziemska, s francuzka, s włoska za cechę ukształcenia: to czemużby mieli tylko przed samogłoską *i* opuszczać nagłos *j*, a nie również przed *a*, *e*? czemuż nie wymiawiali po starosłowiańsku ako, awor, ądoł, za jako, jawor, wadoł?

Czy w przeczuciu, że kilka stuleci później postawi uczony profesor twierdzenie, iż kombinacją *ji*, jest „herezyą gramatyczną“?! że jest „monstrum i niepodobieństwem fizyologicznym i że będzie pracowicie starał się wmówić w naród, że *j* przed *i* jest zawalidrogą dla języka, choć dotąd wszyscy i uczeni i prostaczkowie *j* przed *i* uważali za ułatwienie wymowy?

Nie czytali Zygmunowscy *ji* kiedy tak nie pisali, utrzymuje prof. Małecki.

Nie tak to jednak proste i pewne przypuszczenie i wniosko-
wanie, jak się na oko zdaje.

Mamy w wnioskach Deputacyji przykład oczywisty, że się nie
koniecznie to pisze, co się wymawia.

Żądała ona, aby *j*, które przed i pozornie znika,
nie pisać, i co więcéj, nie wymawiać. Za karę, że tylko pozor-
nie znika, biédná jota wskazana na zágładę nie tylko w piśmie,
lecz nawet w wymowie!

Dziwaczno-go tego wyroku na niedorzecznym rozumowaniu
opartego, náród s pewnością nie byłby, tak tuszyć náleży, posłu-
cháł, gdyby nie był do pisowni tą uchwałą zaleconęj przywykł
już od czasów Zygmun-towskich.

Jak Deputacyjá późniéj zalecała, pisali już wpiérw Zygmun-
towscy pisarze: stoi, moi; Deputacyjá słyszała tu jednak jotę,
i za to że upornie się w wymawianiu utrzymywała, i tylko po-
zornie znikała, wskazuje ją na całkowite wytépienie. Czyż
s tego nie oczywisty wniosek, że i Zygmun-towskim pisarzom w na-
széj kombinacyji joty ze samogłoską *i*, chyba pozornie biédná
jota znikać mogła?, kiedy nie pisaná przez tyle wieków, zata-
janá w piśmie, jednak aż do czasów Deputacyji przeciągnęła
swój żywot?

Jeżeliż zasię, nie pisząc stoi, moi, lecz stoi, moi, wy-
mawiali jednak Zygmun-towscy pisarze tak, jak przedzygmun-
towscy, którzy s czeska pisali stogi, mogi: to jakże rozsąd-
nie przypuszczać można, że tak samo nie wymawiali jim, jich,
jiż, choć pisali im, ich, iż, kiedy i to ojcowie jich pisali
s czeska przez gim, gich, gize, a więc jotę tu dobitnie
wygłaszając?

Że wymawiając jotę przed każdym *i*, mogli jednak pisać
samo *i* na początku wyrazów i zgłoski: to tym się tłumaczy.

Postaci joty zaledwie wtedy tu i owdzie używać poczęto
na oznaczenie spółgłoski, gdy dawniéj n. p. u Czechów ozna-
czono nią raczéj samogłoskę długą, tak jak zresztą i Włosi do-
tychczas piszą ją zamiast dwóch *ii*; pisownią s czeska przez *gi*
zarzucono już téż słusznie: jakże tedy było pisać jotę? Pisali
ją Zygmun-towscy pisarze przez postać *i* n. p. iadę, stoią,
iego, gdy stała na początku wyrazu i zgłoski; przez *y* n. p.
ńiey, gdy była końcową zgłoski: którą to pisownią jeszcze
Kópczyński zachował w swéj grammatyce, a dopiéro odstą-
piła od niéj Deputacyjá zalecając natomiast postać naszéj joty,

choć ją już wyścignęli w tej formie pojedynczy mężowie, jak Szopowicz, Feliński, Lelewel.

Jeżeli tak, tedy Zygmuntovczycy pisali jotę przez *i*; czyż przypuścić nie można raczej: iż i każdą zgłoskę naszą *ji* pisali przez samo *i* (jile że łatwą regułą była do spamiętania: *i* przed samogłoską, oznaczá dawne czeskie *g* (*j*), a więc zgłoskę *gi*, *ji*; przed spółgłoską, oprócz *g* (*j*) nadto samogłoskę *j* pokrewną *i* aniżeli, że wyrodzili się w wymowie od Ojców swoich pod wpływem nauki cudzoziemskich języków? Já przynajmniej o naszych na wskroś národowych pisarzach s tak świetnej doby piśmienictwa naszego, wolę pierwsze raczej, aniżeli drugie przypuścić.

Ale czemuż tedy, pyta prof. Małecki, jotowali oni zajimek osobisty 3. os. tylko we formie odpowiadającej naszemu *go*, albo po dawnemu s czeska *gi*, albo już téż *ji*, a nie czynili tego w jinnych przypadkach? W jinnych przypadkach, jest odpowiedź nasza, nie pisali joty s téjże przyczyny, co i w jinnych wyrazach. Zajimek zaś przez postać *gi* lub *ji* oddawany, odróżniając od spółnika *i*, pisali po dawnemu. Że ta pisownia nie była tylko graficznym odróżnieniem od spółnika *i*, lecz miała fonetyczną przyczynę w rzeczywistym jego wygłaszaniu jako *ji*: na to dowód w tym, że Zygmuntovcy pisarze spółnik *i* pisali przez *y*. Gdyby byli każde *i* samo wymawiali jako czyste, hijatyczne, niejotowane, nie byliby mieli potrzeby pisania spółnika przez *y* zamiast przez *i*, jile że zajimek już odmienną miał postać. Że tak go pisali, a nie przez *i*, oczywisty stąd wniosek, iż się lękali, aby go nie czytano jako *ji*.

Ale czemuż tedy zajimka *ji* nie pisali przez *i*, jeżelić samo *i* miało być zawsze u Zygmuntovczyków jotowane?

W tym jest owá aż zbytnia troskliwość jich, odpowiem, żeby odróżnienie było jak nájwybitniejsze. Analogiji zaś nie trudno poszukać w owym troskliwym kréskowaniu spółgłosek pieszczonych miękkich przed *i*, np. *ciało*, choć i bez znamionowań spółgłosek wonezas było można się tak obyć, jak dziś, gdy i oni już tak jak my dzisiáj po przyciskowych zamiast *i* pisali zastępczo *y*, np. *chłopcy* za *chłopci*.

Ks. Malinowski, jak i Schlejcher miękczenie spółgłosek uważá za skutek zléwu pierwotnych twardych z jotą zawartą w samogłoskach jotowanych; prof. Małecki za Mikłosiczem twierdzi, że i czyste samogłoski *i*, *e* (rodzime) mają tę moc mię-

kczenia, przy czym powołuje się na wymawianie naszej zgłoski np. *si* jako *śi* na dowód, że te tak zwane przezeń spłaszczone samogłoski *i*, *e* miękcą zawsze.

Gdyby powołał się na sam fakt, że *s* przed *i* pieściwie się wymawia, toby żadnego w tym poparcia nie znalazł na swe twierdzenie. Fonetycznie brzmi *si* jak *si*, odeprzeby można bowiem krótko; ale nie koniecznie *s* tej przyczyny, że następuje tam *i* czyste; owszem przyjąć można, że jota się już zlała s twardym *s*, tworząc nowe brzmienie miękkie *s*. Powołuje się tedy na fizjologiją mowy naszej: że żadną gęba polską pozostawioną w stanie natury nie wymówi *si* jinaczéj jak *si*; że tylko wykształceni umieją z łacińska *si* twardo wymówić s powodu gimnastyki narzędzi mownych, nabytéj z nauki obcych języków; a że wymówić tego tak nie można dla tego, iż w kanale spłaszczonym do wymówienia *i* żadną spółgłoska w twardym pierwotnym brzmieniu swym nie dá się wymówić, lecz przechodzi w odmiennie brzmienie miękkie. —

Cały ten wywód nie má prawdy w sobie.

Możemy bardzo dobrze z łacińska*) wymówić twardo *si* (nie *si*, ale téż nie *sy*), przyznaje prof. Małeki, a więc spłaszczenie kanału mownego przy wygłaszaniu samogłoski *i* nie koniecznie wpływa na przemianę brzmienia twardej spółgłoski na miękką w każdym języku; wymawia rzeczywiście Czech swoje *si* nie pieściwie, nie mając ani naszego *s*, ani *z*; a więc i w słowiańskiej mowie spłaszczenie organu mownego s powodu wygłoszenia *i* po *s* nie koniecznie w pieściwe *s* przejinacza spółgłoskę.

Spłaszczenie organu mownego, gwoli wymówienia *i*, jeżeli nie miękczy w łacińskim, włoskim, francuzkim, w słowiańskich jinnych językach, czyż może być podane za fizyologiczną przyczynę miękczenia u nás spółgłosek? Wszak nie? Boć prawa fizyologiczne muszą być przecieź te same dla każdej gęby ludzkiej.

Mogło np. hebrajskie *r* mieć w wielu względach odmienną od naszego *r* naturę; ale tego przyczyna była w tym, że Żyd ten głos wydawał gardłem, kiedy u nás jest ono podniebiennym; jinna geneza, jinne urábianie fizyologiczne, jinna téż oczywiście przyroda i właściwości.

Lecz samogłoska *i*, jeżeli we wszystkich językach tak samo fizyologicznie się urabia, jakoż może jinne wywoływać zjawiska w jednym języku, jak w drugim?

*) Wróćam ze szkółki. Dziecko po niemiecku bardzo dobitnie czytało *sind* przed *i* polskie, a jednak nie *s* lecz *s*. Czyż to z łacińska?

Przypuszczam odrębną logikę w języku każdym, co do odmiennych zasad słowotwórstwa, co do wymiany brzmień, odmienego sposobu w układzie, bo wszystko to pozostawione więcej dowolności człowieka; ale prawa fizjologiczne, przyrodzone gębie ludzkiej, a przeto konieczne, muszą być, sądzę, te same w każdym języku. Prawa miękczeni^a, jako fizjologiczne, również we wszystkich językach muszą być te same: a tak albo we wszystkich językach i splaszczone, tak jak u nas wedle uważania prof. Małeckiego, przemieniać powinno twarde spółgłoski w miękkie; albo nie miękczące i w jinnych językach, nie może i u nas być przyczyną miękczeni^a; lecz raczej coś jinnego, co odmienné jest odeń przyrody, a zjawisko wywoływać musi toż samo koniecznie we wszystkich językach. Co jest tego zmiękczeni^a powszechną przyczyną, sám prof. Małecki s Schlejchera przytoczył: „że tak zwane zmiękczenie spółgłosek we wszystkich językach jest skutkiem joty.“ (o jile to zdanie swe mógł zmodyfikować Schleicher, szkoda, że nám prof. M. nie podał.) Tego zaś, jak sám prof. M. przyznaje, uczy on badacz zgodnie s ks. Malinowskim.

Że nie splaszczoną samogłoska *i*, jak prof. Mał. i Mikłosicz twierdzą, lecz raczej spółgłoska najmiękksza podniebienná *j*, jak utrzymuje ks. Mal. i Schlejcher, jest miękczeni^a spółgłosek przyczyną: tego ostatecznie nie będzie mógł nie przyznać samże prof. Mał., bo go do tego przyprzemy dedukcyją logiczną z własnych słów jego.

Żeby zyskać podstawy dla naszego wywodu, potrzeba nám tylko, żeby prof. Mał. nám przyznał, iż pieszczone miękkie spółgłoski z wyjątkiem wargowych i fonetycznie miękkich gardłowych *k'*, *g'*, przechodzą wszystkie na podniebienne; jak to ks. Malinowski w rozbiórze głosowni *Mrozńskiego* wywodzi. (Rocz. T. II. str. 24.)

U prof. Małeckiego nie ma ani dokładności, ani ładu w oznaczeniu natury spółgłosek; nie rozklasyfikował on wszystkich wedle organów, którymi się urabiają np. pierwotne *s*, *z*, *ł*, *r*, *n*, *m*, i pochodne: *ś*, *ź*, *c*, *dz*, *ć*, *dź*, (do jakich należą: czy zębowych, czy wargowych, czy podniebiennych, wcale nie powiedziano); ani téż wedle trwania tonu, głosu (np. oczywiście trwałe powiewne *f*, *w*, policzone przezeń do niemych czyli chwilowych (zob. tablicę § 41); płynne i syczące, że są twardymi, nie powiedziano), a co najwięcej, razi, że męsza klasyfikacyje, przeciwstawiając np. zębowym pierwotnym jich pochodne miękkie, jakoby do jinnej jakiejś klasy *syczących* przechodziły; syczącym zaś tym spółgłoski *sz*, *cz*, *ż*, nie

szumiącymi, jakby spodziewać się należało, lecz podniebiennymi znów nazwane.

Nieoznaczone przezeń co do organu, jakim się tworzy *s*, zaliczamy s ks. Malinowskim (cf. Oświata tabl. spółgł.) do powiernych zębowych, podobnie jak *f* powiernym jest wargowym głosem; czemu zapewne nie będzie przeciwnym prof. Małecki.

Syczące to *s* zębowe, gdy zmiękczeniu ulegą, przechodzi w podniebienne *ś*, które jakim organem się urabia, także prof. Małecki zostawił nas w niepewności.

Że *s* jest podniebienne, na dowód tego przytaczam zdanie znów pana Matuszewskiego, nauczyciela przy Instytucie głuchoniemych w Poznaniu, kompetentnego sędziego co do fizjologii mowy.

„*Ś* wymawia się, pisze mi, zbliżeniem końcowej płaszczyzny języka nieco więcej, jak końcem, do dolnego (przodkowego) podniebienia, — zęby prawie zwarte, aby pieściwe wydostać syczenie uchodzącego a ścieśnieniem tamowanego powietrza.“

Ze zębowego powiernego *s* urabia się podniebienne *ś* żadną miarą przez wpływ *s* płaszczonej samogłoski, i lecz raczej przez zlew ze spółgłoską *j*.

Tego dowodzę s prof. Małeckiego własnych orzeczeń.

„Samogłoski (powiedział na str. 12,) wymawiają się bez pomocy (?) poszczególnych narzędzi do mówienia służących (a wargowe *u*, a podniebienne *i*?) przez samo tylko wydanie głosu kanałem mównym, który się w krtani poczyną, a *u* ust kończy. Spółgłoski przeciwnie wymawiamy za poruszeniem i właściwym użyciem owych poszczególnych narzędzi.“ Jeżeli ze spółgłoski zębowej *s* powstaje podniebienne *ś* przez dotknięcie językiem podniebienia przy prawie zwartych zębach, to cóż tego dotknięcia może być przyczyną, pytam? czy podniebienna samogłoska *i*, czy podniebienną spółgłoska *j*éj pokrewna *j*? Że się podniebienia język dotknął, który dawniej na zębach oparty, wydawał syczące zębowe *s*: oczywiście coś go powiodło ku temu podniebieniu i o nie potrafiło. Powieść go mogła i samogłoska *i* i spółgłoska *j*, bo obie są podniebienne, obie wygłaszają się, gdy język podnosi się ku podniebieniu: *s* tego atoli zbliżenia ku podniebieniu żaden jeszcze głos nie urośnie. Ale potrafić go o podniebienie, żeby spółgłoskowe brzmienie urosło nowe, podniebienne, mogła tylko spółgłoska *j*, kiedy tylko „spółgłoski wymawiamy za poruszeniem narzędzi mownych kiedy „w stanie zupełnego spoczynku języka i podniebienia brzmi samogłoska *i*, a za naj-

mniejszym drgnieniem języka poprzek (?) natychmiast słyszemy brzmienie joty" (str. 13). Sądzę, że logicznie i prawdziwie dowiodł, iż *si* czyta się *si* nie dla samogłoski *i*, lecz dla zléwu z jotą.

Co podaje prof. Małecki za przyczynę zmiękczenia przez samo czyste *i*; że *i* jest spłaszczoną samogłoską, a że miękczy przeto, iż w takim składzie kanału mównego spłaszczonym, jak ułożyć go trzeba dla jej wymówienia, nie może spółgłoska zatrzymać pierwotnego, twardego swego brzmienia: to nie ma najmniejszej fizyologicznej prawdy. Tego dowodzimy.

„Najprostszy ton, który bez napięć z gardzieli wychodzi przy otwartych ustach, szczękach i wargach, jest: *a* (Gdybyśmy za prawdę przyjąć mieli, cośmy o urabianiu samogłosek s prof. Małeckiego przytoczyli, to chyba jedyne *a* byłoby samogłoską). Gdy wargi się ściągają nieco i przedłużają naprzód, powstaje *o*. Gdy i wargi i szczęki prawie się dotykają: *ö, ü, y, u*. Gdy język podnosi się coraz wyżej ku podniebieniu to: *e i i*." (Physiologie des Menschen.)

Nie jeno samogłoski *i, e*, wymawiają się tedy spłaszczonym organem, lecz co najmniej już *i u, y* nasze. A więc i teby miękczyc powinny spółgłoski wedle teoryji prof. Małeckiego, że spłaszczone samogłoski mają moc miękczenia: jest to konsekwencyją logiczną, a przecież tak niezgodną z faktyczną rzeczywistością, gdy *y* nigdy, przynigdy miękczyc nie może.

W niwecz zatem obraca się teoryją miękczenia spółgłosek przez spłaszczone samogłoski, s której propagowania u nas chwale sobie obiecywał prof. Małecki.

W końcu dodamy spostrzeżenie, które się nam nasuwa, a które zdolne jeszcze potwierdzić zdanie ks. Malinowskiego i Schlejchera: że wszelkie zmiękczenie jest skutkiem joty. Spłaszczone samogłoski, jak je zowie prof. Małecki, są nie tylko *i, e*, lecz co najmniej *i u, y*.

Samogłoski *i, e*, zawsze miękczą, chyba, że zastępują *y* lub *o*; samogłoska *u* miękczy wyjątkowo; samogłoska *y* nigdy nie miękczy: a wszystkie są spłaszczone. Więc jakąż przyczyna, że niektóre prawie zawsze miękczą, a niektóre wyjątkowo, niektóre nigdy?

Samogłoska *u* miękczy wtedy tylko, kiedy jest wyraźnie jótowaną np. dziura (djura) a durny, durak. W tym jest wytłomaczenie zaraz całej zagadki; prostym logicznym wnioskiem stąd, że tylko jótowane miękkie to jest zaraz: *ji, e* (rodzime)

zawsze dla tego też miękczą, że zawsze mają jotacyją, gdy w słowiańskich językach żaden wyraz nie zaczyna się od czystych, lecz jotowanych samogłosek *i, e*; a już *y* dla tego nigdy nie miękczy, że z natury swój nie może przed sobą przyjąć joty. —

Prof. Małecki sili się na fizjologiczne dowody, że gęba nie má wygódki z joty przed samogłoską *i*, jak ją má przed jinymi samogłoskami *e, a, e, q*. W tym oczywista sprzeczny ze zdaniem powszechnym; bo wszak i Dr. Cegielski napisał w swéj broszurze: „Ma i dziś naród skłonność, lubo daleko już słabszą, do aspirowania i jotowania *i*,“ co się „opiera na skłonności organów naszych mównych do dogadzania sobie i ułatwienia onego przejścia do czystego brzmienia samogłoskowego.“

Wykládá prof. Małecki teorią tak zwanych przygłosów *h, j, w* i wedle niéj wywodzi niepodobieństwo przygłosu *j* przed samogłoską *i*. Przygłos powstaje, wedle prof. Małeckiego, „z wygodnictwa i zaniedbania gęby,“ że kanał mowny zamiast „w milczeniu tak się sformować, jak tego wymaga wymówienie samogłoski, już głos przedwcześnie wydaje w chwili, kiedy dopiero zaczął się formować.

„Jeżeli krtán czyli gardło się odezwało przedwcześnie, to usłyszymy przygłos *h*; jeżeli podniebienie z językiem, przygłos *j*, jeżeli wargi, to *w*. Przygłos wskazuje punkt wyjścia poruszeń narzędzi mownych ku utworzeniu samogłoski; samogłoska wyobraża punkt dojścia. Przygłosu *j* przed *i* być nie może; bo punkt wyjścia (spółgłoska) i punkt dojścia (samogłoska) przypadałaby tu bowiem jeden na drugi; gdyż w tém samém miejscu i składzie kanału obie głoski się wymawiają.“

Najpiérw nie zgádzám się na to, żeby z wygodnictwa i zaniedbania gęby początek swój wywodziły tak zwane przygłosy, *h, j, w*, że wyrwywają się mimo wiedzy człowieka nie panującego nad swym organem mownym. Szlachetniejszy jim początek naznaczám, czy słusznie, oddaję sąd znawcom.

Nasuwiki *h, j, w*, nie mimowolnie i mimowiednie, lecz w poczuciu bardzo wáżnej przyczyny kładziono, żeby zrównoważyć ciężkość następnych zgłoszek. Prawo ciężkości głosów, które wywołało w językach indo-europejskich zjawisko stopniowania głosów, tak logicznego, tak rozumowego, było téż powodem przygłosowania samogłosek zaczynających wyraz. Samogłoska sama cięższą od spółgłosek, lecz lżejsza od każdéj zgłoski odkry-

tój, a tym więcej zakrytój: żeby tedy mogła samogłoska, sama jedną na początku wyrazu stojącą, zrównoważyć jako tako ciężkość następnych zgłosek i oddkrytych i zakrytych; przydawano jim spółgłoski najpowiewniejsze jako poniekąd powiewne.

Że mamy trzy takie przygłosy i trzy téż pierwotne samogłoski, dorozumiewać by się można, iż dla nabrania ciężkości większej pierwotnie przybrała samogłoska gardłowa *a*, przygłos gardłowy *h*, wargowa *u*, wargowy przygłos *w*, podniebienna *i*, podniebienny przygłos *j*. Gardłowa *a* u nas przyjęła jotę, zatrzymując *h* tylko w obcych wyrazach. Pochodne samogłoski *e* i *o* przybierały później przygłos albo jednéj, albo drugieję pokrewnéj jakoto: samogłoska *e* albo przygłos *i* od *a*, albo *j* od *e* (porównaj nasze jedwab' czeskie *h'edwab*); *o* albo *w* od *u*, albo *j* od *a* które zamiast pierwotnie sobie właściwych *h* u nas przyjęło jotę; gdzie jest pochodne od *u*, jego takóž przygłos bierze *w*. Że te nasuwki przygłosy nie były takim mimowolnym odezwaniem się gęby, wygodki lubiącéj, za co wydaje je prof. Małecki; lecz raczéj zaspokojeniem głęboko uczutéj potrzeby, żeby zrównoważyły się samogłoski czyste, same zgłoski składające, co do ciężkości z następnyimi zgłoskami odkrytymi i zakrytymi: potwierdzą najprzód to, że rzeczywiście czasami samogłoski na początku wyrazu giną dla ciężkich zgłosek następnych jak: skra za iskra, gra za igra; potwierdzą daléj i to, że one przygłosy *h*, *j*, *w*, o których możnaby jeszcze przedéj, choć na chwilę, przypuszczać że mimowolnie wyrwywają się z gęby wygodnéj, zastępują się przez jinne bądź to na początku wyrazu, bądź na początku zgłoski; jak *s*, *z*, *ż*, *z*, *ł*, *n*, których wymówienie już nie tak wygodne np. greckie hals łąć: sal nasze sól; łąć. hiems nasze zima; łąć. juvenis słow. jun(iec-ak) franc. jeune (żön); na przedaj, lub na sprzedaż: słow. rjeka nasze rzeka; niemówię (a to za niemow-ję) i niemowlę; grobla za grobja; jedwab, ludowe niedwab; kraniec za krajec; starosł. jegda nasze niegdys, jetera, nasze niektóry, niego za jego.

Na prof. Małeckiego nazwanie przygłosu punktem wyjścia dla głosu ludzkiego, samogłoski punktem dojścia, zamiast prostego oznaczenia, że przygłos poprzedza, samogłoska następuje, możnaby się zgodzić; gdyby tych nazw nie brął znów dosłownie, mechanicznie, i nie żądał, ażeby narzędzia mowne rzeczywiście odbywały jakąś drogę od przygłosu do samogłoski, od punktu wyjścia do punktu dojścia. Tego jednak żąda, a bez najmniejszej konsekwencyji jedynie w kombinacyji joty z *i* (*ji*),

nie w jinnych złożeniach. A przecież zapewne prędzej jeszcze możnaby dopatrzeć jakiegś podróży języka od składu kanału mownego, w którym się *i* urabia, do uderzenia, potrącenia o podniebienie, s czego rośnie jota; aniżeli w kombinacyji np. *ha* lub *wu*, gdzie „obie głoski w tym samym miejscu i składzie kanału się wymawiają,” bo obie gardłem, obie wargami zarówno ułożonymi, jeno z odmienną modulacyją głosu.

Gdyby zatem fizyologiczną przyczyna przez prof. Małeckiego podana na twierdzenie, że nie może nigdy stać jota przed *i*, prawdziwą była, neurojoną: to nie moglibyśmy mieć zgoła żadnej kombinacyji samogłosek z przygłosami. Jest w tym konsekwencyją ściśle logiczną.

Ostatecznie co do wymawiania joty przed *i*, które się wydaje tak anormalnym prof. Małeckiemu, to jeszcze nadmienimy: kto wymówi *ji* z długim, nie polskim, chyba czeskim *i*, a przycisk wielki położy na jocie, temu zabrzmi nieprzyjemnie ta zgłoska; lecz niech podobnie przycisk położy na *h*, a będzie miał odbrzmiewające w gardle *ch*; przycisk na *w*, a będzie miał gwizdzące *f*, a więc również anormalne tony. Wymów normalnie *jiskra*, *jich*, jak wygłaszasz *Halszka*, *wądoł*, a nawet *jawor*, *jabłko*, a nie będziesz potrzebował przypuszczać jakichś nawyczek prowincjonalnych u tych, którzy wraz z ludem wymawiają, a za przykładem najstarszych naszych pisarzy Piastowskich i Jagiellońskich i dzisiejszych jinnosłowiańskich piszą zgłoskę *ji*, uprawnioną całkowicie w organizmie mowy naszej.

W kwestyi, jak pisać cudzoziemskie wyrazy na *ija*, *yja*, ważne nowe momenta podał prof. Małecki.

Wpół na szczęśliwą myśl, żeby i jilość zgłosek i akcent, nie podające się dostatecznie s pisowni Zygmyntowskich pisarzy, oznaczyć z rytmów tej epoki. Niezbicie dowiódł, że były one i czterozgłoskowe i s przyciskiem polskim na przedostatniej.

Począwszy od reformy Konarskiego zaczęto uwzględniać łacińską akcentuacyją tych wyrazów i wymawiać już stale z akcentem na trzeciej od końca, ale zawsze jeszcze wymawiano je czterozgłoskowo. W nowszych czasach akcent łaciński zachowany, ale poczęto skrócić o jedną zgłoskę w wymowie np. jimię *Marja* wymawiają dwuzgłoskowo; poeci najznamienitsi romantyczni używali raz dłuższych, raz skróconych form.

Prof. M. na pytanie jaką pisownią przyjąć, odpowiada:

„Gdzie chodzi o to, żeby forma nieściągnięta jako taká dobitnie była wyrażoną piśmiennie, może pisownią przez *yja*, *ija* bardzo słuszenie być zastosowaną, gdyż zresztą zupełnie ona odpowiada duchowi głosowni polskiej, pisownią przez samo *ja* (tradycja) mająca wyrażać spolszczone wyrazy podług form jich ściągniętych, nie oddaje form ściągniętych, ale chyba poprzetrącane, które opłaciły to nowomodne swe skrócenie męczeństwem, kosztem samogłosek, które choć do źródłosłowu należą, jednak na odstawkę iść musiały; najwłaściwszą jest pisownią, którą najwięcej się zbliżając do łacińskiej, u nas będąc tradycyjną, tę má zaletę, że chwiejność i dwoistość wymawiania (we formach dłuższych albo krótszych) najlepší i dla oka przedstawia pozwalając każdemu wymawiać, jak się podobá.“

Nájpierw zapisujemy, że w téj kwestyi przechylił się prof. Małecki wielce ku zásadzie jotowania. W swéj gramatyce (§ 830) przyznając, że pisownią przez *ija*, *ija* má wiele za sobą, zarzucał jéj, że przez niąby i akcent łaciński polszczał; dziś już nazywá spór o akcent kłótnią *de lana caprina*. Daléj zarzucał jéj, że przeciwná jest wykształconéj mowie potocznej, która skracá zgłoski wskutek akcentu posuniętego w tył na trzecią od końca, i użyciu w poezyi: dziś już tylko się jeszcze troská o poetów, że jim się popsuje rym, gdy napisawszy wyráz obcy przez *yja*, *ija*, w wierszu trzynastozgłoskowym mieliby tym razem zgłoszek cztyrnásie.

Ta troska o poetów zdaje mi się przesadná. Jeżeli Zygmuntownscy poeci rymowali, wybijając wszystkie zgłoski obcego wyrazu; jeżeli i klasycy, jak Krasicki, Trembecki, Feliński i tychże współcześni zawsze wyrazów takich używali s pełniejszą liczbą zgłoszek: jakoż nowszych tylko posądzać o taką nieudolność, że w rymowaniu nie dadzą sobie zawsze rady s formami dłuższymi obcych wyrazów? Nareszcie niechby to uszło za licencyją poetyką skracanie nieprawidłowe jedynie prawowitych dłuższych form: ale jakimże prawem można żądać, żeby dla wygody poetów cały náród zatrzymywał tradycyjną, ale łacińską, nie rodzimą pisownią, a jizby nie przyjmował pisowni, którą „skądinąd przyznać trzeba, że gdyby nie ta niedogodność (dla poetów), zupełnieby odpowiadała duchowi głosowni polskiej?“

Żeby poeci mogli wedle upodobania używać w wierszu dłuższych i krótszych form, zalecá prof. Małecki pisownią, dozwalającą chwiać się w wymowie, a raczéj wymawiać, jak się ká-

żdemu podobą. Jábym sądził, że gdyby taká pisowniá wogóle jistnieć mogła chwiejná i dwojistá, trzebaby ją zarzucić dlá jej bałamuctwa. Ale ani podobno sobie coś podobnego pomyśleć: żeby w jeden sposób napisany wyráz mógł dwojako się czytać. To téż złudzeniu uległ jak największemu prof. Małecki, który sądzi, że po Zygmunrowskich pisarzach odziedziczóná pisowniá przez *ia*, *ya*, chwiejność i dwojistość wymowy przedstawia i dlá oka: końcówki bo *ia*, *ya* przez starych zawsze z osobna wybijane (§ 830 gr. więk.) nigdy nie mogą się czytać skrócono jako *ja*, (§ 183) chyba żebyśmy wrócili do zászady dáwniej grafiki polskiej, że *i* przed samogłoską czytało się jak nasze jota; chyba żebyśmy nawet *y* nie tak, jak dáwni po samogłosce, lecz i przed samogłoską zechcieli czytać jako jotę. Czyż w tym nie bałamuctwo? A od takiej chwiejnej i dwojistej pisowni przez *ya*, *ia* napisanych wyrazów jakby zdołał prof. Małecki utworzyć dopełniające l. mn., jakich używá w rozprawie: kombinacyj, monografij. (w gramatyce § 186 na pozór bardzo zasadniczymi nazwał te formy, ale nie przyjmował jich, iż jich nikt nie wymawia.)

A wszak to formy żywcem wzięte s pisowni jotującej, wtrącającej jotę w końcówki *ia*, *ya*!

Co do akcentu obcych wyrazów cudzoziemskiego nastroczą mi się tu uwága.

Zygmunrowscy pisarze akcentowali obce wyrazy s polską na przedostatniej zgłosce; od reformy Konarskiego poczęto łaciński kłaść przycisk na trzeciej od końca. Pytanie, czy dobrą była ta odmiana, czy nie?

Jábym sądził, iż jak nájgorszą. Nájpierw, s powodu że przyjęty powszechnie łaciński akcent na trzeciej, kaził znów wymowy greckich wyrazów, jak filozofija, który wyráz przycisk powinien mieć na przedostatniej; że kaził nawet wymawianie wyrazów przez pośrednictwo łaciny s hebrejskiego np. przejęte, jak Maryja, które to jimię s hebr. Mirjam nawet w łacinie brzmi Maria, nie Mária; dálej, s powodu, że w pokuszeniu tak wielu stąd się znajduje, żeby wyráz obcy, zwięzłej jakoś dlá oddalonego na trzecią zgłoskę akcentu wygłaszany, i w piśmie nawet skracać, wytrącając zeń samogłoskę źródłosłowu, s czego powstają w końcówkach anormalne one w polszczyźnie kombinacyje jak dja, cja, zja, a nawet gja, mja, nja.

Czyż nie lepiej było, tak jak jinne to czynią národy, nadávać rodzimy swój akcent i obcym wyrazom: anizeli cudzoziemski z jednego tylko języka łacińskiego, choć dlá wyrazów jinnych je-

zyków przyjąć (filozofija)? a nawet i ten kazić niebacznie (Maria)? i przez onę cudzoziemszczyznę w akcencie dać sobie poprzetrzącać organiczne formy onych obcych wyrazów (tragedja)?

Przyimek s, z.

„W kwestyi pisania przyimka s zam. z przed spółgłoskami mocnemi, tak p. Rzepecki, jak ks. Malinowski najniekonsekwetniejszymi się okazali i wprowadzili bałamuctwo największe w świecie:“ tak twierdzi Dr. Cegielski.

Nim wypróbujem wartość jego dowodów, wpiérw w kilku słowach skreślimy sobie naukę ks. Malinowskiego (R. T. I. str. 51 i nast.) o pisowni przyimka s, z, którą przejął Dr. Rzepecki. (Oświata str. 376 i nast.).

Z nielicznymi wyjątkami, jako to w wyrazach dech, tchu, łeb, łepok, rozwinęła się w naszej pisowni zasada etymologiczna; choć niekiedy zdarzało się, że raczej ucha, niż rodowodu radzili się dawni pisarze np. Leopolda piszący chfalebny, Wujek piszący rozpacz, bes.

Od téj głównej zasady etymologicznej, rodowodowej odstąpily przyimki s, z, przez wszystkich pisane w wyrazach złożonych bezwzględnie jeden za drugi, odpowiednio do następującej mocnej lub słabej spółgłoski, a więc wyłącznie fonetycznie.

Pierwotnie były i w polskim języku tak, jak dotąd u jinnych Słowian trzy przyimki, które wedle powszechnej dzisiejszej pisowni, gdy stoją osobno, oddajemy jedną postacią z. Dwa z nich pisały się ongi przez s: jeden brzmiący pierwotnie sam, są, później so, w znaczeniu łąć. cum, niemieckiego sammt, mit, który w złożeniu się zachował w wyrazach jak sąsiad (samsiad), sobor, sejm, sumnienie (su za są, jak czeskie dub za nasze dąb); drugi w znaczeniu łąć. de, niem. herab.

Trzeci dopiero w znaczeniu łąć. ex, niemieckiego aus pisał się przez z, dawniej jiz. (cf. Suchecki Budowa str. 13, 24.).

Różnica tych trzech przyimków s czasem się zacierala: pisali więc jedni etymologicznie, ale błędząc wielokrotnie; drudzy, jednostajność chcąc zaprowadzić, narzucili już w wielu drukach Zygmuntowskich jeden przyimek z miasto wszystkich trzech; jinni náreszcie fonetycznie pisali ten przyimek przez s, z, bez względu na etymologiją wszędzie tam, gdzie brzmiał mocno przed mocnymi, słabo przed słabymi spółgłoskami następnych wyrazów, czy to

w złożeniu, czy rozłącznie pisany. Etymologicznie pisali Baltazar Opeć, Rej, Szymanowicz, Zbylitowski (cf. Oświata str. 371). Fonetycznie pisał Grzegórz z Żarnowca, naśladowali go dosyć często Kochanowski, Górnicki, Orzechowski i jinsi; zalecał tę pisownią ks. Kopczyński w swęj gramatyce pozgonnej: słownikarz ks. Knapski zasię wyłącznie powstać z oblubił sobie. (cf. ks. Kopczyński gr. pozg. str. 190.).

Jakąż z tych pisowni nájodpowiedniejszą?

Byłaby bez wątpienia nájodpowiedniejszą etymologiczną, a więc żeby pisać: góra s gorą się nie sejdzie, słazi s góry (de monte), wydobywa kruszec z góry (t. j. z wnętrza) (ex monte). Tak piszą Czeši dotychczas.

U nás atoli, jak już trudnoby żadać odstąpienia fonetycznej pisowni: tchu za dchu; dészcz, dészczu obok staręj formy deždž, dždžu, gwoli za k'woli, grzeciyny za krzeciyny; tak zapewne już niepodobnaby było wedle różnej etymologii odpowiednią wrócić pisownią przyjimkom s, z. W słowach złożonych przyjimek s mógłby prawowicie być używany, każdy bo przyjimek z (jiz) zastępuje się w złożeniach przez przyjimek u z digamą w, po łużycku wu, u nás przemieniony we wy; s czego wypada, że powinniśmy i tam, gdzie w wyrazach złożonych z dobitnie słyszemy, pisać s tak, jak Czech pisze sbłoudziti, jak Włoch narreszcie sdegnare (zd): otoż bardzo zapewne już tu dziś rzeczą trudną byłoby odstąpić fonetycznej pisowni i wymowy, kiedy tak wyraźnie wygłaszamy z przed słabymi spółgłoskami, nawet s przemieniamy na eufoniczne ze np. zrobić, zebrać, ze Stwórcą, zetrzeć, co powinniśmy się piśmiennie stósownie do etymologii zawsze wyrażać: srobić, sbrać, s Stwórcą, strzeć.

Zresztą przyjimek s w znaczeniu niem. herab, łac. de, od przyjimka z ze znaczeniem niem. aus, łac. ex, dziś też już nie tak łatwoby każdemu było odróżnić, kiedy od tak dawna się zatarło poczucie téj różnicy.

Jeżeli nie jest etymologiczną pisownią, toć nie może już być jinną, jak fonetyczną. Każdą jinną byłaby chyba jakimś dziwologiem. A więc wedle zasady fonetycznej wypadnie przyjimki s, z pisać według brzmienia albo słabego, albo mocnego, jakie przybierają, stojąc to przed samogłoskami, to przed spółgłoskami słabymi i płynnymi, to znów przed mocnymi spółgłoskami; a to bez względu, czy się piszą osobno, czy rozłącznie s powodu, że w żywej mowie zawsze się spájają z następnym wyrazem, a przecież

spojenie żywe w mowie, uderzające ucho, nie może być mniej istotnym od graficznego, w piśmie, dla oka.

Bez wszelkiej zasady jest pisownia konwencyjonalna, z ugody gramatyków dziś powszechnie używana: że, jak i prof. Małecki tę regułę podaje (§. 819), przyimki te trzy *s* cum, *s* de, *z* ex wyrażają się przez jedną tylko postać *z*, gdy się piszą osobno; w złożeniu zaś odpowiednio do zasad fonetycznych albo przez *s*, albo przez *z*.

W tej pisowni nie ma dla dowolności granic. Dowolnością jest przyjęcie postaci *z* zamiast *s*: dowolnością tym większą, że dwa były przyimki *s* w dwóch odrębnych znaczeniach, a jeden tylko przyimek *z* (*jiz*); (błędnie twierdził prof. Małecki § 571, że dwa pierwotnie tylko były przyimki *s* w znac. cum, *z* w znac. ex i de;) że więc w dwu trzecich częściach przypadków, gdzie się dziś pisze *z*, powinno się graficznie wyrażać postacią *s*, a w jednej trzeciej zaledwie postacią *z*. Dowolnością jest: pisanie tego przyimka konwencyjonalnego *z* wedle zasad fonetycznych w złożeniu; a niezmiennie przez *z*, a więc zawsze w onej ugodnej błędnej formie, gdy stoi osobno. Dowolnością nareszcie są stanowione przez gramatyków reguły coraż to jinsze co do jego pisowni nawet w złożeniu: że nie wiedzieć z jakiej przyczyny kążą jedni jak Muczkowski, Małecki choć przed mocnymi *s*, *ś*, *sz*, *cz*, *c* wyrażać go przez postać *z*, zamiast przez *s*; że drudzy, jak Suchecki, kążą tu zawsze przyimek całkowicie upodobniać do następnej głoski jak *scedzić*, ale i *szczernieć* (*szczernieć*) *ścierpieć*.

Rozsądną niezaprzeczenie zasada ks. Malinowskiego: kiedy nie piszemy, i już pisać nie możemy etymologicznie przyimków *s*, *z*; piszmy je wedle fonetycznych zasad promiscue, jeden za drugi: *s* przed mocnymi, *z* przed słabymi i płynnymi spółgłoskami, jakoteż samogłoskami; a tylko tam je w złożeniu więcej upodobniajmy do następnych spółgłosek, gdzie straciły znaczenie przyimkowe, służąc po prostu za nągłoskę twórczą jak w *wyrażam* od *pieję*. (R. T. I. str. 33.).

Jakżeż przeciw niej polemizuje Dr. Cegielski?

Najpiérw wcale niepotrzebnie, potym sofistycznie.

Wcale nie potrzebnie podejmował Dr. Cegielski trud wykazywania niekonsekwencyji tak ks. Malinowskiemu jak Dr. Rzepcekiemu, już trzymając się powszechnie etymologicznej pisowni, tu oświadczyli się za fonetyczną: sami bo oni dobrze tę niekonsekwencyją widzieli, ze świadomością jój się dopuszczali; przewidzieli nawet, że jim ją zarzucać będą, i dowodzili, że mają pra-

wo ją popełniać. Po cóż ta próżna jigraszka, żeby dowodzić tego, czego nikt nie przeczy?

Pożytku z niekonsekwencji ks. Malinowskiego nie widzi Dr. Cegielski żadnego: my jich mu wyliczymy naprędce choć kilka. Naród się dowie, pisząc dwie postacie *s*, *z*, że ongi było etymologicznie i graficznie różnych od siebie więcej przyjmków; i niepodobną będzie taką ignoracją jego uczonych, jaką okazał ks. Szwejkowski dowodząc, że pierwotne brzmienie przyjмка było zawsze tylko *z*. Wejdzimy, pisząc dwie postacie *s*, *z*, choć w jaki taki związek na polu umiejętności języka ze Słowianami, którzy jeszcze odróżniają nawet etymologicznie te przyjмки.

Pisząc dwie postacie, *s*, *z* wszędzie, czy w rozłączeniu, czy w złożeniu, jednym zamachem usuniemy dowolność nieraz nądzawaczną gramatyków naszych w obecnej pisowni; a postawimy zasadę jakąś rozumową, stałą, nieodmienną. Pisząc stale a wszędzie dwie postacie *s*, *z*, zagrodzimy drogę dziwacznym reformom językowym, jakie proponują gramatycy, jak Suchecki, żeby w złożeniu upodabniać przyjme*k* i do pieściw*y*ch i przyciskow*y*ch następnych głós*ów* i pisać szczyniać. Przy obecnych zasadach pisowni, jakie zatrzymuje prof. Małecki, nie możnaby prof. Sucheckiego przekonać o błędzie. Boć jeżeli *s* jest tylko fonetyczną przemianą *z* podobnie jak *g* za *k* w wyrazie gwoli, to i dalszej assymilacji podlegać powinno, podobnie jak w wyrazie szczęście za szczęście *s* przeszło w *sz*; a więc *s*, *z* przemieniać się winno w *sz*, *ż* przed każdym jin*ym* *sz*, *cz*, *ż*; a nawet w *s*, *z* przed każdą pieściwą miękką, jak *ś*, *ć*, *ź*, *ł*, *ń*, *b'*, *p'*, *f'*, *w'*, *m'*. Tylko ks. Malinowski może słusznie go odeprzeć swą zasadą: że *s* nie jest natężeniem słab*ej* *z*; lecz że i *s* i *z* są pierwotnymi przyjmkami, dziś promiscue, jeden za drugi używanymi wedle fonetycznych zasad, s powodu, że etymologiczną jich różnica już się zatarła, że więc ani jeden, ani drugi sw*ej* postaci zmieniać też nie mogą, nie mogą się przejinaczać ani w *z*, ani w *ż*, *sz* odpowiednio do natury następnych głós*ów*. —

Całą polemika Dra. Cegielskiego w założeniu antilogiczną, nadto i we wszystkich szczegółach posługuje się sofizmatami. Jest antilogiczną w celu swoim: bo cóż w tym za logika, kiedy gramatyka (cf. M. §. 811) dwie tylko przyjmuje zasady w pisowni: albo etymologiczną, albo fonetyczną, a każdą jin*ą* z natury rzeczy wyłączać i wyłączać musi (tertium exclusum), właśnie t*ej* trzeci*ej* wyłączonej bronić? a bronić dla tego chyba jedynie, że ona uświęcon*ą* zwyczajem, choć to nie zwyczajem poważnym, lecz n*á*-

wyczką, nálogiem nieracyjonalnym, niegramatycznym, nielogicznym nazwaćby wypádało?

Sofizmatami i twierdzeniami bez nájmniejszej prawdy umiejętnéj wálczy Dr. Cegielski przeciw ks. Malinowskiego zásadzie, co do pisania przyjmków *s*, *z*. I tak wydaje mu się niepotrzebną rzeczą wywodenie różnic etymologicznych pomiędzy trzema przyjmkami *s cum*, *s de*, *z ex*: ale „byłoby warto i należałoby uczyć naród téj różnicy etymologicznój, gdyby była zarazem fonetyczną, gdyby etymologija wykazała, że przed spółgłoską mocną był *s*, a przed słabą miał pochodzenie *z*.“

Na to odpowimy. Wywód etymologiczny u Dr. Cegielskiego má jéno wykazać nieodpowiedniość przyjęcia jednéj tylko postaci *z* na oznaczenie trzech przyjmków; przywrócić drugą postać *s*, jeżeli już nie tam, gdzieby tego znaczenie etymologiczne wyciągało, to choć tam, gdzie fonetyka tego żąda. Że wywód pierwotnych różnic etymologicznych byłby przydatny, w tym razie gdyby etymologija (która uważa wyráz każdy sám w sobie, rdzeń jego bez względów fonetycznych na jiné wyrazy) wskazywała odmienne pochodzenie przyjмка przed mocnymi a odmienne przed słabymi spółgłoskami: to przypuszczenie Dr. Cegielskiego jest po prostu niedorzecznością i sprzecznością, *contradictio in adjecto*.

„Że się źródłosłowowa różnica nie tylko zatarła, ale nawet zmieszała, i ponieważ jeden tylko znamy przyjmek *z* jakiegokolwiek on jest pochodzenia: więc téż jeden mamy znak“: tak Dr. Cegielski rozumuje, lecz nie dość trafnie. Prawda, że różnica etymologiczná przyjмка *s cum*, *s de* *z ex*, zatarła się i pomieszała; ale nie w skutek tego, że w jich miejsce jeden przyjmek powstał, dostaliśmy téż jeden nań znak *z*; lecz odwrotnie, że jeden znak przyjęły niektóre druki w czasach zygmuntofskich na te przyjмки, które jinni pisarze w onczas oznaczali jeszcze pierwotnymi dwiema postaciami, *s* czasem wyrobiło się błędne mniemanie, jakobyśmy tylko jeden mieli przyjmek *z*. Błąd druków niektórych w czasach zygmuntofskich nie godzi się za Dr. Cegielskim, przyjmować za pewnik, jile że przyjęcie jakiegoś znaku ugodnego na rzeczy różne, nie zdolne natury tych rzeczy odmienić, ani tym mniej złać je w jedno. Przyjęcie znaku ugodnego *z* na trzy starodawne przyjмки odmieniło u Dr. Cegielskiego przeciw logice rozumu i języka przyrodę przyjмка *s* (który w słowach złożonych jest prawie zawsze dawnym *s cum*, lub *s de*.) do tyła: że każde *z* w złożeniach, które właściwie tu jest eufonicznym tylko zesłabieniem fonetycznym pierwotnego *s*, wydaje się jemu prawo-

witą postacią; a natomiast każde *s* pierwotne, i etymologicznie samo jedno tu uprawnione, jest dlań natężeniem tylko fonetycznym, jego jedyne przyjimka *z*.

Któż się nie dziwi, czytając u Dr. Cegielskiego dwa takie zdania, logicznie sprzeczne sobie, wyłączające się wzajem, jak następujące?

„Kazać się ciągle zajimkowi *z* przemieniać według tego, jaka po nim następuje spółgłoska (tego żąda w złożeniach Suhecki, upodabniający *s* na *sz* przed przyciskowymi; ale ks. Malinowski żąda tylko użycia fonetycznego obu postaci trzech dawniej od siebie etymologicznie różnych przyjimek) jest to od ogółu żądać rzeczy nader trudnej, jeśli nie niepodobnej.“

A zaraz następnie. „Brzmienie przyjimek *z* może się modyfikować według natury spółgłoski następnej i czyni to każdy bez trudności, bez namysłu i bez błędu“.

Co bez trudności, bez namysłu, i bez błędu się modyfikuje w brzmieniu, w głosie, to ma być rzeczą nader trudną, jeśli nie niepodobną wyrazić w piśmie; otóż rozumowanie Dr. Cegielskiego, które chyba o nieukach mogłoby być prawdziwym.

Dłá Dr. Rzepeckiego jistnieje nie tylko przyimek *z*, ale *s*“, lecz nie „dlá tego, że istnieje takie jego brzmienie przed spółgłoskami mocnymi“; i dla tego, choć nie chce żartować publiczności, (humoru tak wiele má tego tylko Dr. Cegielski), przyznać nie musi, „że obok przyjimek *w* istnieje *f*, bo tak się słyszeć daje przed spółgłoskami mocnymi“. Dłá Dr. Bzepeckiego, tak jak dlá ks. Malinowskiego, jistnieją wszystkie trzy przyjimek w naturze języka naszego. Że przez niedbalstwo i nieumiejętność jich różnice, dotąd u jinnych Słowián wybitne, u nás się zatary a raczej zamieszały; to wszelako obu jich postaci *s*, *z*, nie jednej *z* ugodnie, (lecz ani dogodnie, ani *z* naturą rzeczy zgodnie, za obie powszechnie dziś przyjętą) używaćby należało tam przynajmniej, gdzie tego zasady fonetyki wymagają.

Ks. Malinowski zatym nie natęża postaci przyjimek *z* na *s* przed mocnymi spółgłoskami, jak się to Dr. Cegielskiemu zdaje; ale obu postaci *s*, *z* co najmniej zarówno uprawnionych, nie tylko w złożeniu, co wszyscy czynią, lecz i konsekwentnie w rozłącznym pisaniu przyjimek używa promiscue jeden za drugi, odpowiednio do praw fonetyki.

Nie można zatym ks. Malinowskiemu narzucać konsekwen-

cyji takiój, że obok *w* powinno i *f* być przyjimkiem, jeżeli obok *z* jest nim i *s*.

„Czemuż, pyta Dr. Cegielski, nie pisze p. Rz. *f* twarz, *f* kąt? Przyczynę má na pogotowiu bo na cóżby się w świecie przyczyna nie znalazła! Oto, powiada, nie piszemy *f* kąt zamiast w kąt, „bo przyjimka *f* nigdy nie było i nie ma“.

Co Dr. Cegielskiemu wydaje się naciągany wytlumaczeniem, to jasną i rozsądną wydać się powinno każdemu czytelnikowi po naszym przedstawieniu zasady i poglądów ks. Malinowskiego.

Co dalej rozprawiá Dr. Cegielski, to nám się w głowie pomieścić nie może. „A gdzież był i jest, pytam się w oczy p. Rzepeckiego i ks. Malinowskiego, gdzież był i jest przyimek *s*? Nie má go i nie było go właściwie, bo przyimek *s*, który p. Rzepecki kładzie przed spółgłoską mocną z powodów fonetycznych nie jest przecie ten sam, który kiedyś w znaczeniu *cum* i *de* różnił się od przyjimka *z* w znaczeniu *ex*. Nie ma przyjimka *s* tylko *z*“.

Dr. Cegielski pyta się nie tylko gdzie jest, ale nawet gdzie był przyimek *s*, choć w zdaniu zaraz następnym pisze, że było *s* w znaczeniu łąc. *cum* i *de*. Więc: twierdzi nie tylko że nie má, leez że nie było właściwie przyjimka *s*, s powodu, że, jinny ten przyimek, który Dr. Rzepecki pisze, a jinny on starodawny.

Ten przytoczony powód jest arcysofisteryją: terażniejszość má przeszłość czynić niebyłą; terażniejsze użycie jinaższe jakiejś rzeczy od starodawnego má unicestwiać w ogóle i byt jój w przeszłości; „nie było właściwie przyjimka *s*“, bo go p. Rzepecki dziś używa nie etymologicznie, lecz fonetycznie.

„Na Boga; cóż to za dowodzenie w ustach i pod piórem poważnego“ pisarza! możemy jegoż słowy wykrzyknąć.

Jeżeli Dr. Cegielski utrzymuje, że „przyjimka *s* nie má, tylko *z*“; że nie má przyjimka *s*, bo używaná fonetycznie przez ks. Malinowskiego postać *s* nie zawsze odpowiada etymologicznie starodawnemu *s* w znaczeniu *cum* i *de*: to my mu odeprzemy na to, że tym mniój tedy nie má przyjimka *z*; bo pisząc fonetycznie obie postacie *s*, *z*, więcj razy *z* naszym *s* trafimy w dawne etymologiczne użycie i pisownią przyjimków *s*, *z*, aniżeli Dr. Cegielski że swym jedynym przyjimkiem *z*.

I tak, we wszystkich złożeniach jest właściwie tylko *s* prawowite; bo dawny przyimek *z* (jiz) prawie nigdy się w złożeniu

nie używá, lecz zastępuje przez przyimek *u* z digamą *w* (łzycie *wu* nasze zesłabione *wy*).

Wszędzie, gdzie przyimek, przez ugodną postać jedną dziś pisany tj. przez *z* má znaczenie łac. cum niem. mit, łac. de niem. von, herab, tam jedynie *s* jest prawowite. S fonetycznych względów dokonane tu zesłabienie *s* na *z* przed słabymi spółgłoskami i samogłoskami jest tu tylko eufonicznym; bez wszelkiej rozumowej przyczyny zastępowane tu *s* przez *z* nawet przed mocnymi spółgłoskami, jest całkowicie anormalne. A przyimek *z* gdzież etymologicznie uprawniony? W drobnej tylko liczbie przypadków, gdzie má znaczenie łac. ex niem. aus.

Moglibyśmy zatem i my Dr. Cegielskiego się pytać: gdzież jest on jedyny przyimek *z*, kiedy używany dziś powszechnie choć ani etymologicznie ani fonetycznie, a więc wcale nielogicznie, nie odpowiada w niczym zgoła dawnemu użyciu etymologicznemu trzech dawnych przyimków?

A gdyby nám wskazał na powszechnie dziś używany jeden znak *z*, odpowiadając: „Otóż jest jedyny przyimek *z*“: my odpowiedzieć byśmy mogli: „Znak to nie rzecz sama; nie trzeba ściśle brać *signum pro re signata*; jeden znak dowolny *z* na przyimki dawne trzy, choć uświęcony zwyczajem, niestety! tu nielogicznym, nie daje prawa twierdzić, że tylko téż jeden jest przyimek *z* w organizmie języka. Zatarły się różnice dawnych trzech etymologicznie od siebie różnych przyimków; lecz dla tego nie má prawa jeden jich znak wyprzéc drugi, a tym mniej może kto twierdzić, że jest jeden tylko przyimek w naturze języka.

Jakże! zdolá Dr. Cegielski uzasadnić swe twierdzenie, że n. p. w złożeniach jak spróchniały, strącić, spychać, jest jego jedyny przyimek *z* pierwotnym, a *s* jego natężeniem: kiedy wedle historyji świadectwa właśnie przeciwnie każde *z* jest tu zesłabieniem pierwotnego *s*?

Pisownią dzisiejszą przez jeden tylko znak *z* má jedyną swą zasadę w dowolnym zwyczaju: rozumne zaś, logiczne powody má etymologiczną pisownią naszych, pobratymców, którzy u nás już zatarte różnice trzech zajmków *s* (cum), *s* (de), *z* (ex) wyrządzają dotychczas; má je téż fonetyczną pisownią ks. Malinowskiego, który obu postaci, tak *s* jak *z* używá jednej za drugą wedle praw fonetyki języka naszego.

Na zakończenie dyskusyjji téj o pisowni zajmków *s*, *z*, jeszcze jedna uwága. Ks. Malinowski a za nim Dr. Rzepecki żądał:

żeby wedle zasad fonetyki nie tylko w wyrazach złożonych, lecz konserwentnie i tam, gdzie się przyimek osobno pisze, używać obu postaci dawnych *s*, *z*; żeby jednak jich więcej nie upodabniać, jak chciał Suchecki, na pieściwe i przyciskowe, z wyjątkiem, gdzie stracił znaczenie przyimkowe, a przybrał znaczenie nągłoski twórczej, jak w śpiewam od pieję, w którym razie *s* się miękczy podobnie, jak gdy należy do tematu *n. p.* w wyrazie śpieę.

Dr. Cegielski zaś twierdzi, że „niepodobna żądać od ogółu, aby on w każdym szczegółowym wyrazie był sobie świadom tego, czy głos *s* jest integralną częstką wyrazu, do którego należy, czy też przez złożenie do niego się kiedyś przyczepił.“ A więc jakiej chce reguły Dr. Cegielski? Czy żąda, żeby upodabniać każde *s*, *z* na *ś*, *ź*, *sz*, *ż*, bez względu, czy ono ma przyimkowe znaczenie w wyrazie dochowane, czy też należy do tematu, lub jest nągłoską twórczą, a więc integralną częścią wyrazu? czy też ani wtedy, gdy jest tematowe *s*, nie dozwalać go assimilować na pieściwe *s* lub przyciskowe *sz*? czy każe pisać: ściérać, szczyniać, żziębnać, żżymać tak jak śpieę, szczęście? czy ściérać, zziębnać, żżymać, zczyniać lub szczyniać, ale też śpieę, spiewać? *)

Powodu przez niego podanego nikt doprawdy za słuszną przyczynę nie weźmie. Ta, a nie jinná zasada być powinna w każdej umiejętności: co prawdą jest, tego uczyć, nigdy fałszów; a zresztą nie troszczyć się, czy tam nieuk jaki prawdę tę pojmie czy nie. Wedle zasady Dra. Cegielskiego, to francuzki gramatyk jakimże tyranem bezwzględny, kiedy żąda od piszącego, żeby umiał różniam wszystkie jego *e*, *o*, *ę*, *ą*, *an* tak rozmajicie pisane. Albo czy śnać ogół tylko polski tak tępy, żeby tak mało poczuć miał właściwości rodzimój swój mowy, i nie zdołał tak prostych reguł assimilacji, jakie ks. Malinowski podaje, zastosować prawidłowo?

5. Czy pisać można: niski, bliski, męski, francuski?

Náwiasowo rzucić Dr. Cegielski twierdzenie, że można też pisać niski, bliski, męski, francuski. Nie mogę tego milczeniem pominąć, nie tylko s powodu, że uważamy tę pisownią za zgoła niczym nieuzasadnione odstępianie od zasad etymologi-

*) Dr. Cegielski pisze spieszyć (str. 43) nie wiem w jakim znaczeniu. Spieszyć znaczy z jeźdnego piechotnym uczynić: śpieszyć od śpiałć („jenże był przyspiał za wierne“ pieśń Bogarodzicy), stąd pośpiech, nie pospiech.

cznych na korzyść fonetyki, — że w tym odstąpieniu widzimy nąchylanie się do cudzoziemszczyzny a zacieranie słowiańskiej cechy, którą jest właśnie wierność etymologii; lecz nadto, że otwiera się przez to wrota dowolności coraz szerszej, coraz większej. Małecki na zasadzie, że pisać się (wedle niego) powinno męski, żąda już pisania *męszczyzna* zamiast *mężczyzna*; a któż nam zaręczy, że jutro nie wystąpi kto z żądaniem, żeby na mocy tej samej zasady jak się pisze męski, tak też pisać lucki, co czynił już Knapski?

Małecki przeciw zdaniu Deputacyji uczy też pisowni fonetycznej; ale niesłusznie. Wywodzi on swe formy w ten sposób: pierwiastki *mąż*, *niż* (na *Niżu*), *bliż* (w *poblizu*), *papież* przybierając pogłosy *stwo*, *ski*, zbijają ostatnie tematowe z nasuwką *s* pogłosu twórczego w jedno mocne *s*. Podobną zbitkę spółgłosek widzi w wyrazach z ostatnią tematową *g* jak *boski* (z *Bog-ski*) zam. *bozki*, *bóstwo* zam. *bóztwo*, jako też w trybach bezokolicznych *pieć* (za *piek-ć*) *móc*, dotąd pisane *módz* (za *mog-ć*). (Mał. §. 94 i 95.).

S przytoczonych przez Dra. Cegielskiego czterech przymiotników dwa t. j. *nizki* i *blizki* tworzą się przez dodanie pogłosów *ki* nie *ski*, jak wogóle przymiotniki abstrakcyjne, oderwane, wyrażające pojęcie np. *rzadki*, *prędkie*, *słodkie*, *gromkie*: w dodanym pogłosie *ki* spółgłoska twarda *k* upodobnia do siebie miękkie *z* tematu na *z*, skąd formy organiczne, zachowujące etymologiją wyrazu: *nizki*, *blizki*. Gdyby kto chciał pisać *niski*, *bliski*, a więc z tematowe upodobniać na *s* dla pogłosowego *k*; toby również pisać powinien *Francuska*, a nawet *obraski*: kto bowiem w jednym razie etymologiją niepotrzebnie dla fonetyki gwałci, powinien zawsze pisać fonetycznie, jak u *Bułgarów* lub *Serbów* wedle grafiki *Wuka*: *srpski* (za *serbski*), *ślotki* (za *słodki*).

Drugie dwa przymiotniki *męzki*, *papieżki*, tworzą się, jak wogóle u nas konkretne, przez pogłosy twórcze *ski*, z nasuwką *s* przed *k*, które to *s* w łącinie również jak w polskim występuje albo przed *k* albo *t*: np. *abscondeo*, *abstineo* a nasze *skóra* (*kora*), *wszystek* (dawnie *wszytek* — kto ma żytko, ten ma wszystko). Jednak nie można się i tu zgodzić na zdanie prof. Małeckiego, że przez zbitkę tematowego *z* z nasuwką pogłosu *s* powstają formy: *papieski*, *męski*.

Nie zná bo nasz język zbitkę dwu spółgłosek jinnych, jak tylko takie, s których powstają nowe brzmienia, nowe głosy, za-

wierające jednak w sobie owe pierwotne tony, z jakich były powstały. Takimi rzeczywistymi zbitkami są syczące, w których słyszym części jich składowe jako to: *c* (*t* + *s*), *é* (*t* + *ś*), *cz* (*t* + *sz*), *dz*, *dź*, *dż*.

Zębowe chwilowe s powiewnymi zbiły się w jedno brzmienie, w którym jednak ton chwilowy (*c*, *dz*) przeważa, zapewne s powodu, że i w pierwotnych była zębowa chwilowa a nie powiewna tematowa, a więc główną, ważniejszą. Odbył się tu poniekąd proces chemiczny, że z dwu tonów utworzył się nowy całkiem odrębny, zachowujący jednak w sobie składowe części. Chemicznie łączyć się zdolne jednak tylko niektóre, pokrewnymi dla tego też zwane, pierwiastki: oto podobnież i w języku pokrewne sobie, bo znoszące się obok siebie, słabe spółgłoski ze słabymi, mocne z mocnymi zbijać się jedynie mogą, a raczej zlewać w ton nowy jeden, *d* i *z* w *dz*, *t* i *s* w *c* i *t*. p.

Mocną spółgłoska ze słabą złąć się nie mogą ze sobą, nie mogą utworzyć zbitki w rozumieniu prof. Małeckiego; chyba wytrącić może mocną słabą, z nią się zetknawszy.

I tak też we formach Dra. Cegielskiego męski, papieski tylko taką wyrzutnią słabiej *z* przed *s* przypuściłby można. Wszak bo ze zbitki, ze zlewu dwóch spółgłosek musi koniecznie nowe brzmienie pochodne się urodzić; a pochodne spółgłoski są miękkie; jakimi też są rzeczywiste zbitki *c*, *é*, *cz*, *dz*, *dź*, *dż*: aliści w zbitkach prof. Małeckiego we formach męski, papieski nie powstaje ani nowe brzmienie, ani oczywista też pochodne, więc i nie miękkie, lecz pozostaje mocna pierwotna spółgłoska.

Takięj wyrzutni nie należy atoli we formach onych przyjmować dla tego: że jest przeciw logice języka naszego, żeby zacięrać etymologiją dla fonetyki; żeby wyrzucać tematowe z dla nasuwki *s* w pogłosie *ski*, który w jinnych przymiotnikach brzmi tylko *ki*, jak w wielki, szeroki, głęboki, gromki. Takięj wyrzutni dorozumiewać się tu zgola nie można dla tego: że, gdziekolwiek jistotnie wyrzutnią zasła spółgłoski tematowej w tworzeniu przymiotników, tam język nasz, s cechującą słowiańskie języki troskliwością o zachowanie etymologii, oznaczył ten ubytek jotą np. od miasto, mieszcza przymiotnik miejski, za mieszc-ski; od wieś, przym. wiejski, za wieś-ski; od Zamość, przym. zamojski, za zamość-ski; podobnie jak za dożrzyć mówimy dojrzyć, jak za oćca (od ociec) mówimy ojca, s którego to dopełniacza jota przeszła do mianownika, że dziś mówimy oj-

ciec za staropolskie i ludowe ociec. (cf. R. T. I. str. 47 i nast. Oświata str. 374 i nast.). —

6. Jimiesłów na szy.

Uboczną wycieczkę, wielczenieszczęsną dla siebie, czyni Dr. Cegielski przeciw Dr. Rzepeckiemu oraz ks. Malinowskiemu s powodu pisowni jimiesłowu na *szy*.

„Ks. Malinowski — mówi on — uznał był po pierwszych badaniach swoich imiesłowu na *szy*, jak upadłszy, czyli upadwszy za błędne i nie z mniejszą pewnością i zagorzałością nauczał, że formy: poszedłszy błędne i przez gramatyków wymyślone. Aliści w kilka lat później do jinnego przyszedł przekonania i to (nawiasem i bez pretensyi mówiąc) zgodnego z tém, com w téj mierze powiedział w rozprawie mojej o słowie polskiém str. 47; dziś znów uczy, i to bardzo słusznie, że formy upadłszy, splótszy itp. straciły wprawdzie w ustach ludu, skłonnego do dogádzania organom mównym, a zatem także w drukach dawniejszych brzmienie *w*, a dzisiejsze *ł*; ale że to *w* i to *ł* mają swoje prawa, praktykowane w mowie wykształconej, i słusznie ich ks. Malinowski w dzisiejszej pisowni używa.“

Któż s czytelników broszury Dr. Cegielskiego, zaleconej przez fejletonistę Dziennika Pozn. wszystkim miłośnikom ojczystego języka, któż z nieznających doktryny ks. Malinowskiego, podejrywiał Dr. Cegielskiego o jaki błąd, a choćby niedokładność w opowieści jego historycznej o wynikach studyjów ks. Malinowskiego?

A przecież w całym przytoczonym powyżej ustępie nie má jednéj odrobiny prawdy; jile zdań, tyle w nim fałszów.

Nie prawdą jest, żeby ks. Malinowski miał za jedno formy upadłszy á upadłszy, żeby obie zarówno uważał za wymysł gramatyków. Nie prawdą, żeby ks. Malinowski dziś przyszedł do tego przekonania, które już dawno w téj mierze był wypowiedział na str. 47 swój rozprawy o Słowie polskim Dr. Cegielski, a które on był w swój krytyce téjże rozprawy (cf. Biblioteka warszawska Z. lutowy z r. 1859) stanowczo woczyas odrzucał. Szkoda, że to nieprawdą! byłaby się takim łatwym sposobem udała świetná rehabilitacyjá onój rozprawy, zamierzona przez Dr. Cegielskiego (téj przynajmnieć pretensyi

nie będzie się chciał wypierać); a obecnie zrobiła fiasco. Nie prawdą, żeby ks. Malinowski dziś uznawał *ł* przed *szy* w jimiesłowach za uprawnione; a rzekomą wyrzutnią tego *ł*, żeby uważał z Dr. Cegielskim za skutek dogądzania organom mównym, jakiego tylko chyba lud sobie prosty może dziś pozwalać, jakiego sobie pozwalali i przodkowie nasi, s powodu że mieli grubą jeszcze, nieokrzesałą mowę, co atoli nie dozwolono wykształconym naszej epoki. Nie prawdą, żeby ks. Malinowski w dzisiejszej pisowni sám używał form, które dawniej zwał potwornymi, jak poszedłszy, upadłszy.

Skąd te wszystkie urojenia o onych nie jistniejących zgola przemianach poglądów i nauki ks. Malinowskiego Dr. Cegielskiemu się uprzedły, pojąć nie mogę: niczego bowiem podobnego nie doczytá się nikt ani z Roczników (T. I. str. 75—82), ani z Oświaty (str. 320), w których ten badacz naukę swą wyłożył.

W rezultatach niezmienioná bynajmniej nauka ks. Malinowskiego; uzasadnioná jéno lepiej.

Przedstawimy to, o jile się dá, pokrótce.

Ks. Kopczyńskiego wymysłem są nieorganiczne formy poszedłszy, upadłszy, zamiast nie gminnych wyłącznie, bo i w piśmiennéj mowie przez wszystkich pisarzy aż do czasu téj rzekoméj reformy „prawodawcy języka naszego“, używanych form: poszedłszy, upadłszy. Przed ks. Kopczyńskim nikt tego wtęta *ł* przed *szy* nie znał, w mowie go nie usłyszał, po piśmie go chyba jako błąd widział. On to piérwszy, przyjąwszy w swéj gramatyce metodę ułatwiającą młodzieży niedorosłej spamietanie form gramatycznych w językach obcych, wywodząc jedne od drugich, postawił téż regułę, że od czasu przeszłego dokonanego przez odrzucenie końcówki *em*, tworzy się jimiesłów nieodmienny przez dodanie końcówki *szy*; że to *ł* końcowe s czasu przeszłego, gdy poprzedzá je w temacie samogłoska, przemienia się na *w* w jimiesłowie. Nie wiedział oczywiście, że formy słów w czasie przeszłym są właściwie złożone, omówne, periphrastica, jak łac. hortatus sum napominał jeśm, napominał-e-m; że, rzekomá ona końcówka *m* jest skróconym słowem posiłkowym jeśm, a temat po odrzuceniu tego *m* pozostający jest jimiesłowem starym na *ł*, dawniej od wszystkich słów tworzonym, a do dziś zachowanym ze znaczeniem jimiesłowu tylko od słów nijakich jak np. od osiwieć, osiwiáł (y).

Mroziński, spostrzegszy w dawnych drukach spółgłoskę *w*

przed końcówką *szy* jimiesłowu, a wiedząc, że u Rusinów *ł* nie-raz przez *w* się zastępuje, utwierdził tak siebie, jak drugich w błędnej pisowni ks. Kopczyńskiego.

Teoryji ks. Kopczyńskiego w całości już dziś nikt przy-
mować nie może. To też jedni ją modyfikują, drudzy odrzucają
całkowicie, z nie nazbyt wielką logiką, przyjmując wszelako jęj
rezultaty i broniąc jich jakby prawd największych. Ci, co mody-
fikują teoryje ks. Kopczyńskiego, wywodzą jeszcze za jego przy-
kładem jimiesłów na *szy* od formy jinnéj; ale pouczeni z now-
szych badań wywodzą jimiesłów ten od drugiego jimiesłowu na *ł*,
nie od czasu przeszłego.

Ci co całkiem odrzucając teoryją, wynikające z niej formy
nieorganiczne przyjmują wszelako, przyznają, że w jich utworze
zaszła anormalność; lecz to złe za tak wkorzenione uważają, że
ten wtór *ł* przed *szy* má już wedle nich być przyczyną przemian
głosowych w jimiesłowach wielu.

Trzeba nám się s tym dwojim obozem rozprawić.

Tych, co wywodzą jimiesłów na *szy* od jimiesłowu na *ł*, ła-
cno nám pobić jedną uwagą: że wywodenie takie form języko-
wych jednych od drugich jest wcale nie złe, dopóki służy do
ćwiczenia młodego umysłu przez uważanie analogji podobieństw;
że staje się atoli błędem i zuchwałym przesądzaniem w kwestyi
ogromnej doniosłości, a przesłoniętej tajemnicą, jak tylko by ze-
chciało się w ten sposób tłumaczyć samoż powstanie tych form.
Kto wyszuká sobie pewnych analogij wé formach językowych
i powie: *amavissem* tworzy się od *amavi*, *que je fusse* od
je fus: ten ułatwiá sobie po prostu naukę przez środki mne-
moniczne.

Aliści, kto na prawdę chciałby twierdzić, że *amavissem*
pochodzi od *a mavi*, a więc jest od niego późniejszym, pocho-
dnym utworem w języku: tenby lekkomyślnie przesądzał w kwe-
styji wielkiego znaczenia, wcale jeszcze nierozwikłanej, jak się
tworzyły języki i wogóle mowa ludzká. Gramatyk jnaczéj nie
może, ani powinien wywodzić form w języku, jak wyłącznie od
tematu, s którego wszystkie się tworzą przez dodanie nágło-
sów i pogłosów stósownych, z uwzględnieniem szczegółowych praw
głosowych. Zresztą, choćby możność wytwarzania się form ję-
zykowych jednych od drugich przyjęło się, nie możnáby wszelako
jimiesłowu na *szy* wywodzić od jimiesłowu na *ł*, już s tego po-
wodu: że oba są w języku naszym sobie współczesne; a przecież
ten na *szy* jako pochodny powinien być późniejszym utworem.

W tym samym czasie, kiedy używano w mowie naszej całkowicie omównych form słownych jak: widział jeśm, za nasze widziałem, złożonych z jimiesłowu czynnego na *ł* i posiłkowego słowa jeśm: znano już nasz jimiesłów na *szy*, choć brzmiał on tak na onczas w rodzaju tylko żeńskim, w rodzaju natomiast męzkim, mając formę na *w* albo na samą tematową spółgłoskę np. „Boże, ty obróciw się, ożywisz nas“ (psałtérz Małg.), a nawet przyszedw, wszedw (tamże). (cf. M. § 325.)

Co więc, zupełnie odpowiednie naszym formom staropolskim jimiesłowu tego na *w* w rodzaju męzkim, na *wszy* w rodzaju żeńskim, są w sanskryckim końcówki *vans* w r. męz., na *uszi* w rodz. żeńskim.

Któż z wywodzących jeden jimiesłów od drugiego chciałby na prawdę utrzymywać: że sanskryckie *v-ans* i *u-szi* (to *u* wyraźnie za *v* stoi; w staropolskich formach to *w* z rodzaju męskiego przechowało się wiernie w żeńskim we formie *wszy*) powstały z naszego jimiesłowu na *ł*? może przez przemianę *ł* na *w* w rodzaju męzkim i dodanie końcówki *ans*, *łszy* na *vszi* a to na *uszi*? Ależ sanskrit raczej macierzą języka naszego, dawniejszy od naszego! Zajisteć niepodobną żadną miarą wywodzić jimiesłowu na *szy* od jimiesłowu na *ł*.

Ci, według których jimiesłów na *szy* powstał samodzielnie obok jimiesłowu na *ł*, a który jednak końcówkę tego drugiego jimiesłowu *ł* przed *szy* kładą, a więc w praktyce zbijają potworne końcówki dwu form odrębnych, przyznają: że to *ł* weszło tu przez nieporozumienie, że jednak dziś trzeba się z nim pogodzić. Prof. Małecki jest głowaczem, przywódcą tego obozu.

Wedle niego (§ 325) nasz jimiesłów na *szy*, miał pierwotnie albo końcówkę *w* po samogłosce tematowej, albo wcale bez końcówki się obywat, gdy już temat miał w posłowniu spółgłoskę, choć i tu czasami nieorganicznie *w* przyjmował, a więc kupiw, pad (i padw). Według pierwotnej rzeczownikowej deklinacji odmieniany, przybierał w dalszej odmianie brzmienie *sz*, np. w dopełniaczu kupiwsza, padwsza, lub padsza; w miejscowniku brzmiał kupiwszy padwszy i padszy (§ 325 i 256.) Ten miejscownik, wzięty w przysłówkowym znaczeniu, utworzył nasz nieodmienny na wszystkie rodzaje i liczby jimiesłów na *szy*.

S formy padwszy przez przemianę *w* na *ł* powstała nasza forma obecna tego jimiesłowu z nieorganicznym *ł* przed *szy* np. padłszy. Z nieorganicznym *ł*: bo już w mianowniku *w* nie było organiczne po ostatniej tematowej spółgłosce, gdy właściwie

służyło ono tylko tematom z ostatnią samogłoską; w miejscowniku końcówka *wszy* anormalne *w* mianownika przechowała oczywiście; i stąd przez przemianę nieorganicznego *w* na *ł* powstały nieorganiczne formy: spadłszy, poszedłszy.*) Tęj przemiany *w* na *ł* mamy dotąd nawet śląd niezatarty we formach jimiesłowów, w których *e* tematowe natężyło się na (i) *a* np. miawszy za miewszy od mieć. Widocznie tu wpłynęło zastępcze *ł* za *w*, że natężyła się samogłoska; *w* bowiem nie należy do tych spółgłosek, które natężają.

Że formy jimiesłowu na *szy* z uprzednim wtrętem *ł* są nieorganiczne: za ks. Malinowskiego jidąc zdaniem, zgadzamy się całkowicie s prof. Małeckim; jednak wcale z jinnęj przyczyny, aniżeli są przezeń przytoczone powody, piszemy się na to zdanie.

U prof. Małeckiego forma *padłszy* jest nieorganiczną, że już *w*, s którego tu następnie *ł* powstało, było nieorganiczne: u ks. Malinowskiego *w* to jest organiczne, ale przemiana *w* na *ł* jest nieprawidłową i w takim zbiegu spółgłosek fizjologicznie niepodobną; i dla tego to formy jimiesłowu na *łszy* są nieorganiczne.

Ks. Malinowski jeszcze w rozprawie swęj zamieszczonej w Rozcznikach o jimiesłowie na *szy* był tegoż, co prof. Małeczki zdania, że *w* po tematach kończących się na spółgłoskę było nieorganiczne, błędne: oba zaś w tym zapatrywaniu zgodni byli ze znakomitym Mikłosiczem.

Ale też wcale jiniego nie mogli bádacze powziąć o tym zdania, jak długo w dociekaniach swych ograniczyli się na zakres języków słowiańskich. We wszystkich bowiem słowiańskich nárzeczach, jako też i w starosłowiańskim nie znachodzą się nigdy formy jimiesłowów tych na *w* i *wszy*, tak samo, jak u naszych Zygmontowskich pisarzy, którzy pisali zawsze: poszedszy, upadłszy, a z *w* jedynie po samogłosce tematowej kocha-w-szy. Przedzygmontowscy nasi pisarze wpráwdzie to *w* nieráz jeszcze kładli: poszedłszy; ale że też nieráz mieszałi dwa różne całkowicie jimiesłowy na *w*, drugi na *ł*, jednego za drugi używając; można było łączno jich posądzić, jż również bałamucili i bładzili,

*) Dr. Cegielski widocznie albo sám nie zná tych wywodów prof. Małeckiego, do którego swych przeciwników po naukę odsyła; albo radząc drugim zgodę s tegoż zásadami, sám przeciwne jego poglądom má zapatrywanie: kiedy formy przez Małeckiego nieorganicznymi nazwane u niego „za normalne, prawidłowe,” a bez *ł*, „jedynie organicznie urobione” wedle Małeckiego, u niego uchodzą za skażone przez wygodnictwo, przez dogá-dzenie organom mównym. —

pisząc *w* tam, gdzie téj spółgłoski nie było ani w starosłowiańskim, ani w jinnych słowiańskich językach.

Dopiero rozpatrzywszy się, — jak pisze w Oświacie (str. 320) dokładniej w urabianiu jimiesłowów sanskryckich, litewskich i greckich, przyszedł do przekonania: (a więc w tym jedynie zmienił swe zapatrywanie), że staropolskie formy upadw na rodzaj męzki i nijaki, upadwszy na rodzaj żeński, zupełnie są organiczne, i zostają w związku pod względem końcówki z jimiesłowem sanskryckim — wans, uszi, vat — i greckim praeteriti reduplicati i z jimiesłowem przyszłym litewskim — ęs, usi; — że następnie w dzisiejszej polszczyźnie końcówką nie jest *szy*, lecz *wszy*, które to *w* po tematach kończących się na spółgłoskę we wszystkich nárzeczach słowiańskich i w Zygmunowskiéj polszczyźnie odpadło przez wyrzucnię np. upadszy,*) poszedszy, upłótszy, — a tylko po samogłoskach ocalało np. ubiw, ubiwszy, ukuw, ukuwszy, umyw, umywszy. (Uzasadnienie obszérniejsze zobacz w Oświacie str. 320.) Nie odstąpił ks. Malinowski swego dawnego zdania, że ks. Kopczyńskiego formy jimiesłowu na *wszy* są błędne; lecz raczój, że staropolskie formy na *wszy* miały być nieorganiczne.

Owszem: uznając w staropolskich formach jimiesłowu *w* za organiczne, zowie jednak formy, jak upłótszy, (z wtrętem *ł* przed *szy*) „potwornością i niedorzecznością, narzuconą narodowi przez Kopczyńskiego i Mrozińskiego“ (Oświata str. 320 na wstępie.)

I słusznie. Przemiana bowiem *w* na *ł* w jimiesłowach jest u nás niepraktykowana, a po tematach zakończonych na spółgłoskę nawet fizjologicznie niepodobną.

Przemiany *ł* na *w* na końcu zgłoski mamy liczne przykłady w ruskim i łużyckim; np. buw za buł nasze był. Lecz odwrotnie *w* na *ł* przemienia się w dziedzinie słowiańskiéj mowy w dwóch jedynie wyrazach: słodki, sanskr. svadus, i słoboda, nasze swoboda, co Ukraińcy wymawiają suoboda. W samymże języku polskim niema ani jednego przykładu przemiany *w* na *ł* lub odwrotnie. A przecież jako pewnik stawiają nasi gramatycy: że właśnie ta tak rzádká, bo zaledwie w dwu wyrazach słowiań-

*) Ks. Malinowski uważá nasz jimiesłów zaprzeszły na *szy*, a nawet społeczny na *ęć* dawniej *ęcy* (nie wiele myślęcy ludowe) za formę starodawną żeńską na *i*, która straciła znaczenie rodzajowe i posługuje obecnie na wszystkie rodzaje. Prof. Małecki uważá téż jimiesłowy za miejscowniki, wzięte przysłówkowe (§§ 254, 246 i 325). Sporu tego nie poważám się rozstrzygać.

skich zachodząca przemiana *w* na *ł* we formach jimiesłowu na *szy* dokonuje się powszechnie w języku, który nawet ani jednej przemiany, choć w jinnych nárzeczach powszechniejszój, *ł* na *w* nie zná zgoła. I to pod jakimi jeszcze warunkami ta przemiana się má uskuteczniać! W ruskim bu w przemienią się *ł* na *w* bezpośrednio po samogłosce; we wyrazie ruskim *słoboda* za nasze *swoboda*, w naszym wyrazie *słodki* za sanskryckie *svad-us* przemieniło się odwrotnie *w* na *ł* znów przed samogłoską: a w naszym polskim języku, wcale téj przemiany nie praktykującym zresztą w swym słowotwórstwie, má we formach jak *spadłszy* za staropolskie *spadwszy* to *w* przemieniać się na *ł* przed spółgłoską i po spółgłosce; má się przemieniać na *ł*, choć takie *ł* po spółgłosce odpadá w wymawianiu zwyczajnym np. ludowe *jabko* za *jabłko* a nawet *pád* za *pádl*.

Ależ u ruskiego ludu w wymawianiu wyraźnie tu w jimiesłowach brzmi *ł*, jak np. *miałszy*, *zrobiłszy*, jak i Przegląd form staropolskich i prof. Mał. (w gr. § 325) poświadcza.

A cóż piśmiennemu językowi polskiemu do gminnego wymawiania w jinnym zgoła nárzeczu! A tobyśmy daleko zaszli, żebyśmy chcieli formy naszego języka przez piśmienne pomniki wyświadczone za organiczne, stósować do zjawisk językowych w jinnych choć pokrewnych nárzeczach.

Zresztą, jeżeli rzeczywiście lud ruski mówi *zrobiłszy*, a nie mówi *padłszy* (takich form przynajmniej ani Przegląd form, ani Małecki nie przytacza); to jeszcze trudno konsekwencyją narzucać stąd jakąś naszemu językowi, żeby fizjologicznie daleko potworniejsze formy, jak *padłszy* cierpiał w swym organizmie.

Ależ tak widoczny dotąd śląd w niektórych jimiesłowach, że jistotnie *ł* zastępowało u nás *w*, woła prof. Małecki, bo natężamy *e* na (*i*)*a* we formach np. *miáwszy* od *mieć* za *miewszy*, choć *w* nie należy do tych spółgłosek, które poprzedzającą samogłoskę *e* natężają.

Má to coś pozoru prawdy, lecz nie konieczn jest prawdziwym. Sám prof. Mał. (§ 29) rozróżniał dwojakie przemiany jednych samogłosek na drugie: stałe, konieczne s przyczyn zewnętrznych, albo niezawisłe, i stąd téż niejednostajne. Natężenie samogłoski s powodu następującej samogłoski należy do stałych, koniecznych; i tego wyznajemy że we formie *miawszy* nie możemy dopatrywać, gdyż spółgłoska *w* jak wszystkie wargowe i gardłowe nie natęża wátlejszego (*i*)*e* na silniejsze (*i*)*o*, (*i*)*a* (cf. M. § 68).

Przemiany niezawisłe, zwane przez M'go postąpieniem, co ks. Malinowski zowie stopniowaniem, pojawiają się głównie „w słoworodzie tj. we wywodzie wyrazów jednego z drugiego i z wspólnego pierwiastku.“ Czasem stopniowanie samogłoski má wiele podobieństwa do zwyczajnego tylko natężenia brzmienia, jest jednak rzeczywiście postąpieniem na wyższy stopień, np. gniátać od gnieść, látać od lecieć, jak to nám prof. Małecki powiada. (§ 32,3.)

Prof. Małecki upatrujący we formie miáwszy przyczyny natężania samogłoski (i)*e* na (i)*a* w jakimś wyrojonym *ł* zastępczym za *w*, byłby snąć prędzéj prawdziwą przyczynę odgádl ónej przemiany samogłoski, gdyby przypuścił tu stopniowanie jat' o wątlejszym brzmieniu *e* na cięższe brzmienie *a*.

Stopniowanie takie jinnych téż samogłosek przed *w* w tychże jímiesłowach zachodzi: np. podobnież samogłoska *a* z otwartéj na pochyloną się stopniuje, u ludu wedle jego błédnej wymowy w *o* n. p. kocháwszy; samogłoska nosowa *ę* postępuje takóž na *a* n. p. dąwszy.

Dotychczas rozbiéraliśmy krytycznie, co na uzásadnienie ks. Kopczyńskiego nieorganicznój pisowni jímiesłowów na *szy* przytáczali jéj obrońcy. Ostatniego naszego atoli argumentu jeszcześmy przeciw nim nie użyli dotąd, co jich od razu bije na głowę i jak młotem kruszy wszelkie wysiłki uczoności i logiki. A tym jest ten nasz zárzut: choćby kto, dájmy na to, zdołał udowodnić logiczności form ks. Kopczyńskiego; toby tylko nás przekonał, że gdyby coś podobnego jistniało, nie byłoby w tym zjawisku nic przeciwnego rozumowi, logice języka; ale nie jeszcze, że już jistnieć w języku má prawo. Gdyby dziedzina języka była polem działalności woli wolnéj człowieka; toby można słusznie co się komu rozsádnym zdaje, stósować w języku. Wiéć komu-by się formy ks. Kopczyńskiego logicznymi utwory widziały, móglby jich wtedy słusznie używać. Ale język má swe prawa, przyrodzone, konieczne, jak je má przyrodzenie: każde zjawisko językowe musi mieć swe uprawnienie w historyji języka; co nie s tradycyi mowy zaczerpnięte, to choćby najgienialniejszym się zdawało, jest mrzonką, utopiją, i nie może, nie powinno wejść w organizm mowy. Wiéć choćby nieorganiczne formy ks. Kopczyńskiego, zdawały się najgienialniéj wymyślone, jak nájlogiczniejsze, nie mają prawa jistnienia już przeto, że nie

są wzięte s tradycyi mowy, że się nie wyrobiły w historycznym rozwoju języka, że są raczej wymysłem pojedynczego męża, gramatyka, (w którego wmówili, iż jest prawodawcą języka, co równieź dziwacnie brzmi, jakgdyby jakiego uczonego prawodawcą przyrodzenia mianowano).

Nikt, począwszy od czasu Stojęńskiego aż do ks. Kopczyńskiego rzekomój reformy, nie mówił i nie pisał tak, jak mówić i pisać kazał obrońcy jego teoryji: więc prawa tradycyi nie ma ta pisownia za sobą, więc nie wyraża jistotnego żadnego zjawiska w języku, lecz jest utopiją męża pojedynczego; więc nie ma prawa jistnienia w języku.

Dr. Cegielski jest surowy w swych gromkich sądach do-
rażnych.

„Cóżby to było, pytam się, jakżeby to wyglądało n. p. nowe wydanie Śniadeckiego o wychowaniu dzieci, gdyby je p. Rzepecki drukował w czasie pierwszego przekonania ks. Malinowskiego bez ł w imiesłowach, i był wtedy bezwzględny naśladowcą i wykonawcą téj nauki swego mistrza? Byłby nauczał i propagował fałsz, byłby obalamucił nauczycieli elementarnych, jak ich dziś bałamuci swoim jutowaniem: i byłby w edycji *Śniadeckiego* z roku pańskiego 1867 zostawił *niezatarty pomnik — lekkomyślności wieku i reprezentantów jego.*“

Surowy jest wyrok Dr. Cegielskiego na Dr. Rzepeckiego, niestety! że bez wartości naukowej.

Jest bez wartości naukowej. Bo jakąż wartość umiejętną może mieć wyrzeczenie tego, który wyrokuje o doktrynie, co jój ani nie zna, ani poznać się nie stara? który nawet w grubéj pograżony nieznajomości co do faktów historycznych, dotyczących téj doktryny?

I tak jużśmy uprzednio mu wykázali, że ks. Malinowski nie zmienił swego zdania o pisowni imiesłowów i nie przeszedł w liczbę jego adeptów, jak o nim Dr. Cegielskiemu podobało się głosić. Ale co dziwniejsza: Dr. Cegielski nie wie nawet, że *Śniadeckiego* dzieło jistotnie jest przedrukowane ze zmianą ks. Kopczyńskiego nieorganicznej pisowni imiesłowów na prawidłową Zygmunrowskich pisarzy.

Jest bez wartości naukowej. Bo nie dosyć rzucić na

wiatr twierdzenie, że błędu uczy, kto pisze jimiesłowy na szy bez wtrętu ł: trzeba je uzasadnić!

Nie mam zaś wyrazu, na wydanie oburzenia mego na to, że Dr. Cegielski tego, któryby tradycyjnej po Ojcach a jedynie przytym rozsądnej używał pisowni jimiesłowu na szy, śmie zwać lekkomyślnym!

Na to chyba mu jego słowa odpowiemy. Dr. Cegielski, który w swój broszurze rzucił się na krytykę doktryn, co jich nie zna; który je potępił, nie starając się jich choć przed wyrokiem swym poznać; który popisał o nich pełno fałszów, nawet historycznych; który przeciw nim polemizuje bronią niegodną, bo napęścią na osoby, bo płazkim conceptem: „postawił niezatarty pomnik — lekkomyślności“ (nie: „wieku i reprezentantów jego nauki“, lecz) krytyki swojej.

Domówienie.

Zdziwi się zapewne niejeden, oburzy niejeden, żem wystąpił przeciw powągom literackim.*) Aliści ja nie sędzę, żeby powągi

*) Choć w przypisku nie od rzeczy będzie wspomnieć o „Przyczynku do historyji sporów o pisownię p. prof. L. Rzepeckiego.“

Pán Hieronim Feldmanowski wydał do niej dla przyszłego historyjografa materyjały ze swęj teki. Jaki cel tego Przyczynku? Nie „dogodzenie próżności,“ — tak zaręcza p. H. F., co dziwnie rymuje z nąjwiwym wyznaniem jego, iż musiał chwytac dziś mu się nadarzającą „jedyną sposobność poszczycenia się, że był pierwszym z tych szermierzy, po za którymi Redakcyja Dziennika Poznańskiego dzisiaj z tak chwalebnyim stanęła animuszem (czy tego latinizmu, przeciw którym zresztą tak bije mocno, użył p. F. rozmyślnie s przekasem, co on wyraża? czy też ironiji w swym wyrażeniu nie czuł wcale?) do otwartej o nową pisownię walki.“

Uwagę tu nie zawadzi uczynić, że animuszu tego chwalebного Redakcyjy Dziennika nie zaczerpnęła wcale ze szermierki p. Feldmanowskiego, co dopiero teraz na świat s teki wyrzała. Bo wszakże ta Redakcyja wtedy, jak się z dokumentów doczytujemy, raczej znajdowała się w jednéj „menażeryji“ z Redakcyją Oświaty, tak, że się ten sojusz dwu Redakcyj wydał p. Feldmanowskiemu jako potwór, złożony z łbalwiego i ogona węzowego.

Polecił p. Feldmanowski czytelnikom wynalezienie odpowiedniejszego niż „potwór“ nazwiska. Sądzimy, żeśmy je znaleźli; jest nim: umidło rozjigranęj fantazyji obrażonego literata.

Śpieszył się też p. F., żeby być „pierwszym, który Redakcyji Dzien-

nie ulegały krytyce, gdy błędu uczą, gdy błędu bronią, zwłaszcza w sposób nąganny. Zresztą, okrom przed Bogiem na niebie, i nieomylnym w rzeczach religiji i moralności Kościołem Jego na ziemi, przed żadną powagą nie chylę czoła do tyła, żeby się za-

nika Poznańskiego publicznie dziękuje, nie dla tego że dogodziła jego próżności, potwierdzając spełnienie się przewidzeń jego (aż) przed dwoma przeszło laty, ale że choć tak późno (*przebaczenie pokutującym!*) uznała przecież doniosłość nowotwornej pisowni i śmiało stanęła po stronie broniących (*pewnie ma być wzbraniających*) rozszérszenia jój i psowina ojczystego języka.

Mojim zdaniem lepiej nie było tak się śpieszyć, żeby być pierwszym; lepiej było obeznać się wpiérw ze wszystkim dokładnie, żeby nie wyrokować pośpiesznie, a więc i niesłusznie; żeby nie stáwiał twierdzeń tak niczym niepopartych, że pisowniá „Oświaty“ i ks. Malinowskiego psuje język ojczysty. Piérwsi wedle Ewangeliji św., nieráz bywają ostatnimi. Oświata (Rok II. str. 5) pochlebiała sobie, że „nie tylko pisowniá jój nie kazi języka, lecz że ze wszystkich dotychczasowych nájlépij oddaje brzmieniá rozsádnéj, a niepokaleczonéj mowy polskiéj.“ Ależ Oświaty Redakcyjá (czy ona téż łbem była lwim, czy ogonem wężowym?) nie dała się przekonać, że jest w błędzie, choć ją wielu o tym pouczało. Chociáż napisała: „wręcz to oświadczaamy i wzywamy do zadania nam fałszu,“ jednak nie chciała słuchać protestacyj, i zastáwiała się tym, że one bez wartości gramatycznój. A wszak to i p. F. zadał jój fałsz; a Oświaty Redakcyjá nie dała mu się ani przekonać, ani się w dyskusyji z nim wdać chciała. Prof. Su checki, który s poważnéj strony ujął pisowniá Oświaty, spiknął się oczywiście z jój Redakcyją na „psowanie ojczystego języka, kiedy jój pisowniá zowie postępową.“

Nie bédziem się zatrzymywali nad ubolewaniami p. Feldmanowskiego „na babilońskie odgłosy mącące czyste dźwięki, na bałwany babilonizmu, grożące zalewem;“ pominiemy téż jego wywody, że badania są kwiatem, który nie zawsze zawiezuje się w owoc, jak np. ks. Malinowskiego badania, „choć jednego z najuczestszych lingwistów naszych;“ nie bédziem się spierali z nim, czy dowiódł czego ks. M., czy on nie, a wszystko za niego jinni: Sztochel, Muczkowski, Morzycki, Łazowski, prof. Małeckij — woląc go raczej odesłać do Roczników T. P. N. Poznańskiego, s których jeżeli się nie nauczy jinać, to my nie mamy pretensyi przekonać go o czymbądź; nie bédziem nawet podziwiali sztuki gádania ozdobnie a niedorzecznie, jak tego przykład od str. 3—5 incl., gdzie mówi, że gramatyka za nie, bo „mimo przepisy formalne“ język się rozwijał, jak sobie chciał, s powodu, iż jest „zwierciadłem ducha narodu;“ a gdzie téż badania lekce waży, „co zbite mogą być przez inne badania,“ a przenosi nad nie „g o t o w e p r a w i d ł a z e ż y w é j u r o b i o n e m o w y, a o p a r t e n a g r u n t o w n é j z n a j o m o ś c i j ó j d u c h a“ (sic), o których tylko zapomniáł nám powiedzieć, czy snać z nieba nám są dane, kiedy przezeń przeciwstawione badaniom; nie bédziem się dziwili nad trafnością jego wywodów, że Dr. Rzepeckij nie prawdę powiedział, iż w ortografiji „w ogóle poszedł za zasadami ks. Malinowskiego“ (Oświata R. I. str. 6); — nad trafnością jego wywodów, pomiędzy którymi figuruje i ten argument, że Dr. Rzepeckij pisze

pięrać i wypięrać swego przekonania, żeby nieśmięć go bronić. Podziwianie bezwzględne wszystkiego, co jakas powaga wypowie, napisze, zdaje mi się rodzajem nowożytnego bałwochwalstwa.

Przeciw dwom mężom (boć o p. Feldmanowskim niema co mówić) wystąpiłem. Pobudką do wystąpienia była mi zączepka Dra. Cegielskiego. Prof. Małeckiego opinije potrzeba jednak było także uwzględnić: już dlá tego, że nás do jego gramatyki Dr. Cegielski odesłał, fejletonista Dziennika Poznańskiego sprzymierzeńca w nim powitał, s powodu jego o jocie rozprawy w Szkole; już téż, żeby się nie wydawało, że naszój nauki przeciw fachowym gramatykom obronić nie możemy, jéno naprzeciw takim, co już „zeszli z polá umiejętności języka.“

Z Dr. Cegielskim, otwarcie to wypowiadám, porozumienia nie spodziewám się wcale. Bo s fanatycznym przeciwnikiem jakiej doktryny, do tylá fanatycznym, że potępiá naukę, którój nie zná i wcale poznać się nie stará, a przytym osoby swych przeciwników odziérá ze czci i sławy, w nadzieji zapewne, że takiemu argumentowi tłum przykłaśnie nájprędzej: — porozumienia nie ma. Przeciw Dr. Cegielskiemu polemizując, mieliśmy jedynie na celu: żeby wrócić cześć osobom ks. Malinowskiego i Dra. Rzepeckiego, wydartá jim przezeń; żeby obronić zwolenników nauki ks. Malinowskiego a Towarzyszów Dra. Rzepeckiego od obelgi, że są fanatycznymi głupcami, i, choć może mimowiednie, záprzańcami i wrogami swego národu; żeby wynieść

Warszawa a wedle ks. Malinowskiego pisać należy przez *v*: Warszawa (sic!), przy czym, oczywista, zapomniał p. Feldmanowski, że grafika to nie ortografija!

A tak, nie mielibyśmy nic do nadmienienia o „Przyczynku do historii;“ chyba to, że p. Feldmanowski karci szkoły wielkopolskie, již jedne trzymają się starego Muczkowskiego, drugie Suheckiego, że nie zaprowadziły wszystkie Małeckiego, a wedle którój záśady na cały świat jedna tylko powinna być gramatyka łacińska; chyba to, że karci Redakcyjá Oświaty, již nie wybrała sobie już gotowój jakiej pisowni, którego z pism „najwyborniejszych“ wychodzących w Krakowie, Lwowie, Warszawie.... zamiast co zadała sobie pracę zaprowadzenia pisowni własnego (sic) wynalazku; chyba to, że wszystkie (zapewne i onych najwyborniejszych) pism Redakcyje upominá do przyjęcia przez samego tylko prof. Małeckiego „umiejtnie, z głęboká znajomościá naszego języka napisanych prawideł;“ chyba to nareszcie, již czytając broszurę Dra. Cegielskiego i jój parafrazę w fejletonie Dziennika Poznańskiego, a mając wiadomość, że i prof. Małecki się rozpisuje o jocie, przypomniał sobie p. Feldmanowski, że i on ma nie tyle pod naukowym ile pod historycznym względem ten spór wzbogacające a publicznej wiadomości zaprawdę godne materyały.“

nareszcie napowrót na wyżyny naukowe spór o pisownią, przez napaści osobiste, insynuacje, denuncjacje, liche koncepta złożony do rzędu obelżywych sprzeczek.

S prof. Małeckim szczerze pragniemy porozumienia: bo on przynajmniej dyskutuje, nie lży i nie wydrwiva; trzyma się rzeczy, osób nie tyká; a spodziewamy się téż, że chodzić mu będzie o prawdę, nie o przeparcie swego zdania. — Zásługom jego bynajmniej uwłóczyć nie myśląc, ani odmawiając mu nauki lub talentu i w dziedzinie umiejętności języka, rozbiéraliśmy jego wywody krytycznie, „z całą swobodą pracom podobnym należną,” a tuszemy sobie, że całkiem bezstronnie.

Przyznajemy, żeśmy się poniekąd zdziwili niegruntownością jego wielu wywodów. W tym braku atoli já widzę, i sámże prof. Małecki widzieć powinien poznać błędności teoryj, których broni: bo fałszu zawsze trudniej bronić, aniżeli prawdy.

Jeżeli ostatecznie sąd zdáćby nám przyszło ogólny o broszurze Dra. Cegielskiego: to jest ona pod względem moralnym — zdrożnością; pod naukowym — nicością; a w całym żywocie Dra. Cegielskiego literackim jest — wielką omyłką.

I sám to on uzná zapewne, jak tylko oklaski koteryji chwálców jego zgłuchną. A co najmniej! nigdy, przenigdy słowy Walenroda nie powie on z dumą:

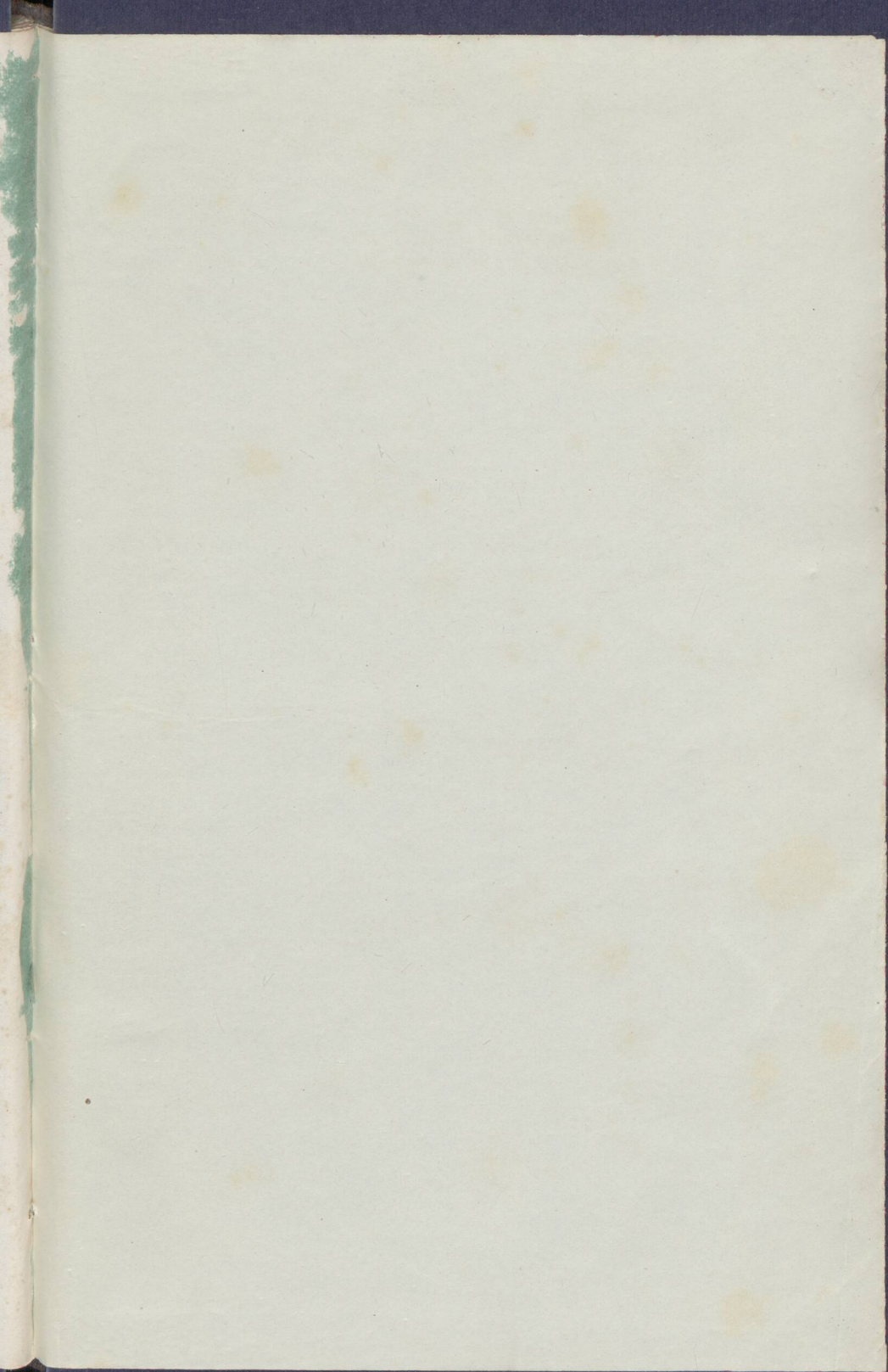
„Já to sprawiłem! Jakem wielki, dumny:

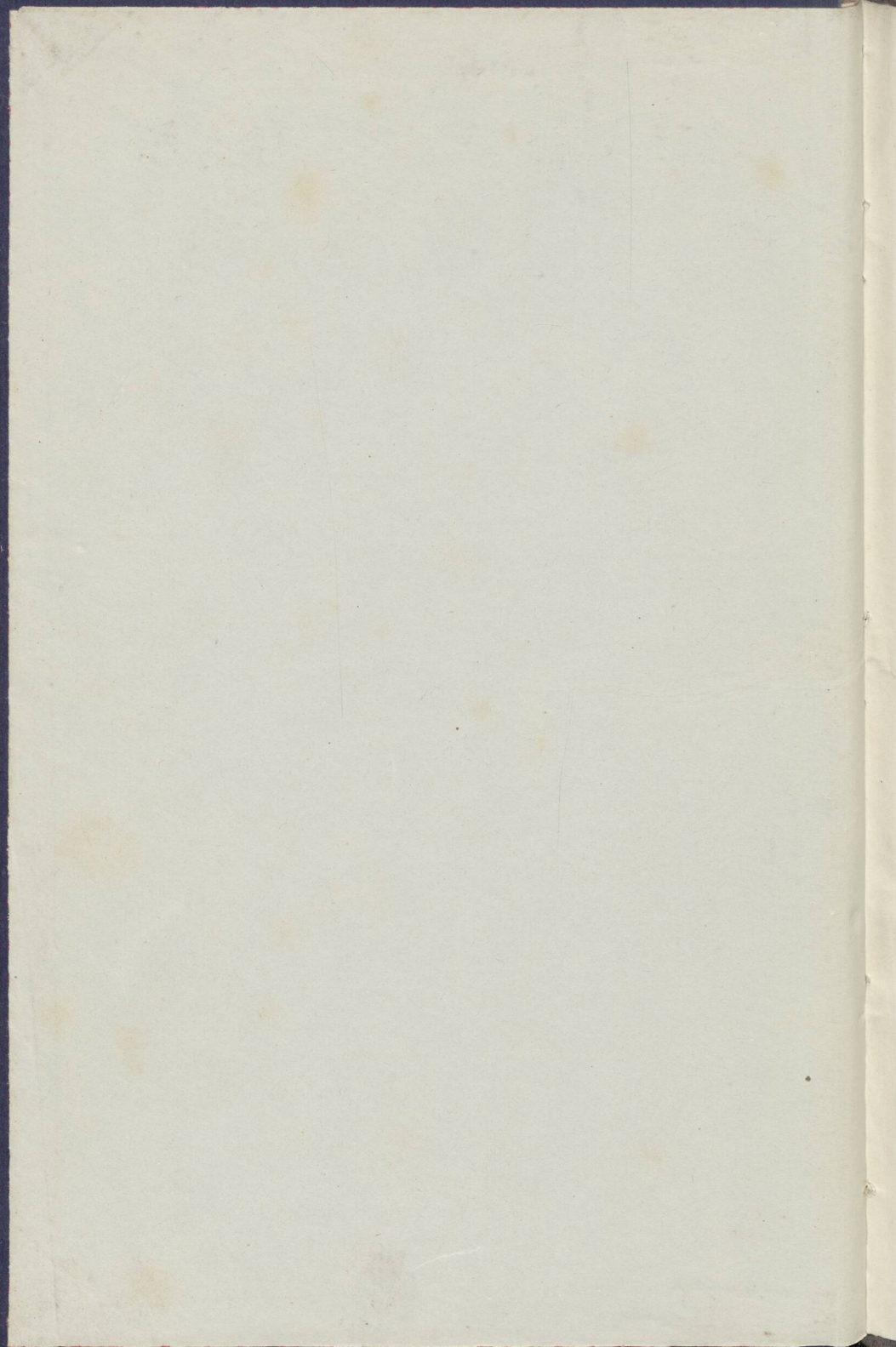
Tyle głów hydry, jednym ściąć zámachem!“ —

Bo zajiste:

Nie taki Samson do takiej kolumny

Bądźmy spokojni! — gmach zostanie gmachem.





BOOKKEEPER 2008



BG0486312

